

NIEWYSPANI

Kiedy dobrze
nam w łóżku

TEST HIGIENY

Wyniki kontroli
w sanepidzie

ROZWÓD KOŚCIELNY

Dlaczego wszyscy
myślą, że istnieje

PLANETA MAŁP

Jak człowiek został człowiekiem

FAJKI POKOJU

Inna historia
Dzikiego Zachodu

Kraków 2 sierpnia 2020 nr 31 (3708)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY



MAREK KAMIŃSKI

Wolność
moja droga

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

JUŻ W SPRZEDAŻY

MISTRZYNI I MISTRZOWIE PREZENTUJĄ

dobre życie

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

WYDANIE SPECJALNE

OLGA TOMARCZUK

WISŁAW WYŚLIŃSKI
Krzysztof TWARDOWSKI
ZUZANNA RABIEJ

HENRYK ZYDŁOŃSKI

WYŻSZARZ KOZIÓŁEK

RAFAŁ WOŚ

OLGA STANISŁAWSKA
ANDRZEJ STASZAK
JANINA OGIŃSKA

T O. JAMES MARTIN
ES. MICHAEL HELLER
FEB. 20/1940

STEPHEN JENKINSON
ANJA FRANCIK
PAULINA WILK

JERZY HAUSSNER
AGNIESZKA KRĘGLIŃSKA
FABIO PRASACOLI

JUSTYNA BARGIELSKA
TADDEUSZ ŚLAWEK
PIRA AJAYN EKAGGATA

NATALIA DE LEBEANO
STEFAN CRIVIN
BARBARA SANCIA

**DR. BARBARA CYRBUŁOWICZ
KŁ. ADAM DOWIECKI**

100%

NR INDEKS
■■■■■■■■■■■

1 2 3 4 5 6

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480000

PREMIERA – już w sprzedaży!
DOBRE ŻYCIE – najnowsze wydanie specjalne
bestsellerowej serii „Tygodnika Powszechnego”



O pojęciach takich jak DOM, MIŁOŚĆ, NADZIEJA, CZAS,
WIARA, ŻYWIÓŁ czy WOLNOŚĆ opowiadają mistrzynie i mistrzowie.

Więcej na powszech.net/dobrezycie

KS. ADAM

Boniecki: Wiara i Kościół naszych dzieci

ZAINTRYGOWAŁ MNIE ARTYKUŁ DARIUSZA KOTA „Wiara po remiksie” (zob. str. 39). Sięganie do amerykańskich doświadczeń, by przewidzieć przyszłość Polski, nie zawsze się sprawdzało. Słusznie więc autor o polskich dzieciach (i wnukach) pisze wstrzemięźliwie, ograniczając się do tego, co już na pewno wiadomo. A wiadomo, że w 2018 r. Polska „była najszybciej laicyzującym się krajem świata, jeśli brąć pod uwagę różnice międzypokoleniowe. O ile wśród starszych 40 proc. stwierdziło, że religia jest dla nich w życiu bardzo ważna, wśród młodych – tylko 16 proc.”. Wiadomo też (na podstawie sondażu CBOS z 2015 r.), że gdy chodzi o znajomość treści wiary, to w głowach polskich katolików (obu pokoleniowych grup) panuje spore zamieszanie.

Co zaś do przyszłości, to prosta obserwacja pozwala zanotować niektóre zwiastuny idących przemian. Rzuca się w oczy np. to, że młodzi Polacy, lepiej poinformowani o świecie niż ich rówieśnicy z lat 60. ubiegłego wieku, coraz bardziej kwestionują autorytet Kościoła. Dlaczego? Czasem się słyszy, że jest to skutek wszechobecnej antykościelnej (lewackiej) propagandy i zawłaszczania przez europejskich (i światowych) ateistów coraz większych przestrzeni kultury i oświaty. Dowodem tego miałyby być m.in. poparcie dla Rafała Trzaskowskiego w kampanii wyborczej. Ale – powiadają zwolennicy tego wyjaśnienia – Bóg nas ustrzegł! Inni przypuszczają, że przyczyna obniżenia prestiżu Kościoła leży w popularyzacji nauk przyrodniczych, jeszcze inni, że w upadku obyczajów (czytaj: w moralnym zepsu-



ciu, które przyszło do nas z Zachodu), a nawet w reformach wprowadzanych przez papieża Franciszka.

Sami młodzi widzą to inaczej. Kiedy rozmawiam o tym z nimi, mówią o szokującym zjawisku pedofilii wśród księży, o hipokryzji w ukrywaniu tych przypadków w trosce o wizerunek instytucji. Często mówią o lekcjach religii odklejonych od prawdziwych problemów ich wiary, o nudzie kazań i kościelnych zgromadzeń, o interesowności księży, o przywilejach dla Kościoła i powiązaniach ludzi Kościoła ze świecką władzą. Ostatnio dodają jeszcze ślub w łagiewnickim sanktuarium. Jak rozumieć – pytają – stanowczość Kościoła w sprawie nierozwrotności małżeństwa (zobacz rozmowę z jezuitą ojcem Markiem Błazą na str. 32), skoro rozwrotność można sobie w Kościele załatwić?

Ale ci rozgoryczeni Kościołem młodzi ludzie, którzy przestali chodzić do kościoła, wyszukują w internecie msze i homilie księży, których cenią. Jak ich dziadkowie i rodzice, kiedy się znajdują w tragicznych, a czasem w po prostu trudnych sytuacjach, pytają o „jakiegoś mądrego księdza” i u niego szukają pomocy. W Polsce, mimo rekordowo szybkiej laicyzacji, ksiądz wciąż jednak czuje się potrzebny.

Jaka przyszłość czeka nas, wierzących? Jaki będzie „polski katolicyzm” naszych dzieci? Jaki za 40 lat będzie nasz Kościół? Jakiego byśmy chcieli i co – oprócz narzekania – możemy czy nawet powinniśmy zrobić? Wokół tyle głów pochowanych w piasku. ©©

FILM „xABO. KSIĄDZ BONIECKI” – JUŻ W KINACH!

W środę 22 lipca w warszawskim kinie Muranów miała miejsce uroczysta premiera filmu dokumentalnego „xABO” w reż. Aleksandry Potoczek, zrealizowanego w dużej mierze dzięki Czytelnikom „Tygodnika Powszechnego”.

Już teraz film można zobaczyć na ekranach kin w całej Polsce – zapraszamy!

Więcej o filmie i galeria zdjęć z premiery na www.powszech.net/xabo

Reżyserka Aleksandra Potoczek na premierze
w kinie Muranów, Warszawa, 22 lipca 2020 r.



TEMAT TYGODNIKA



12 Wyśniona rewolucja
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Sen długo pozostawał jednym z ostatnich obszarów życia, gdzie można było po prostu się zrelaksować i zdać na naturę. Spanie to spanie? Nic bardziej mylnego!



22 Prosimy spróbować ponownie
MACIEJ MÜLLER
Kontrolują kolonijne stołówki, na zapleczach restauracji sprawdzają, czy droga naczyń brudnych nie przecina się z drogą czystych – tak kojarzyli się do tej pory. Dzisiaj sanepid jest na froncie walki z epidemią.



32 Co Bóg złączył
ROZMOWA Z MARKIEM BŁAŻĄ SJ:
W teologii sakramentu małżeństwa istnieje ciągłe napięcie między porządkiem łaski a prawem kanonicznym.



42 Pax Pandemica
OLAF OSICA

Czy nowy koronawirus przyczyni się do budowy nowego ładu światowego? Oraz czy Polska może na tym wygrać?

52 Operacja obiad
PATRYCJA BUKALSKA
Każda rocznica jest dla nich ważna. Ta, po kilku miesiącach izolacji, jest szczególnie. Jak warszawscy powstańcy przeżywają czas epidemii?



78 Wróżba jaguara
ROZMOWA Z MARKIEM KAMIŃSKIM, PODRÓŻNIKIEM:
Najdalszym biegunem Ziemi jest dla mnie Japonia. Jeśli jesteś cudzoziemcem, nigdy nie będziesz swój. A polską Japonią są Kaszuby.



INFORMACJA DLA CZYTELNIKÓW Z przyczyn przez Wydawcę niezawinionych, pismo może nie być dostępne w niektórych punktach sprzedaży – szczególnie tych prowadzonych przez Garmond Press SA. W zaistniałej sytuacji najkorzystniejszym i najpewniejszym sposobem otrzymywania naszego pisma jest prenumerata – szczegóły na stronie TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate. **WYDAWCA**

6 Droga do lockdownu
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

19 Tygodnik Czytelników

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

**22 Prosimy spróbować
ponownie**
MACIEJ MÜLLER

26 Zapomniany protest
BARTOSZ JÓZEFIAK:
*Blisko 40 lat temu ulicami Łodzi
przeszła demonstracja włóknienek*

29 Wichry rentowności
MAREK RABIJ *o przejęciu Lotosu
przez Orlen*

■ ■ WIARA

32 Co Bóg złączył
ROZMOWA Z MARKIEM BLAZĄ SJ

36 Droga do źródła
PIOTR SIKORA: *Jak i gdzie
pielgrzymować w czasie pandemii*

39 Wiara po remiksie
DARIUSZ KOT:
*Synkretyczne religie bez Boga
rozwijają się także w Polsce*

■ ■ ŚWIAT

42 Pax Pandemica
OLAF OSICA

45 Tylko nie on
MARTA ZDZIEBORSKA Z USA:
*Dlaczego coraz więcej
Republikanów włącza się
w kampanię wyborczą
Joeja Bidena?*

48 Śmierć feministy
ROMAN HUSARSKI Z SEULU:
*Jeden z najważniejszych polityków
Korei Południowej odebrał sobie
życie*

DODATEK SPECJALNY

66 WŁÓCZYKI I POWSINOGA

W trzecim odcinku wakacyjnego cyklu
dodatków:

- Przegląd najciekawszych wydarzeń
kulturalnych wakacji
 - Kameralne festiwale muzyczne i wystawy
 - Spotkania literackie,
w tym Festiwal Miasto Słowa, towarzyszący
Nagrodzie Literackiej Gdynia
- Zapraszamy do lektury i kulturalnej włóczęgi
po Polsce!

BARTOSZ BAŃKA / INSTYTUT KULTURY MIEJSKIEJ GDAŃSK



■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 51 ANDRZEJ STASIUK

92 JAN KLATA 93 PAWEŁ BRAVO

98 STANISŁAW MANCEWICZ

98 BARTOSZ MINKIEWICZ

Na okładce: Marek Kamiński

Fotografia: Dorota Czocho

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

■ ■ HISTORIA

52 Operacja obiad
PATRYCJA BUKALSKA

■ ■ POŻEGNANIE

56 Uniwersytet i miasto
TOMASZ BILCZEWSKI
*o Franciszku Ziejce,
wieloletnim rektorze UJ*

57 Złota legenda
ANNA CZABANOWSKA-WRÓBEL

■ ■ NAUKA

60 Dobrze mieć problemy
ROZMOWA Z JUANEM LUISEM
ARSUAGĄ, PALEOANTROPOLOGIEM:
*Co potrzeba, żeby stworzyć
cywilizację?*

64 Udane białko
PAWEŁ JEDYNAK, PIOTR GRABARZ:
Odpady keratynowe mogą się przydać

■ ■ KULTURA

78 Wróżba jaguara
ROZMOWA Z MARKIEM KAMIŃSKIM

83 Potęga żartu
PIOTR KOSIŃSKI:
*W Zamku Ujazdowskim trwa
wystawa „Żarty żartami”*

86 Droga do Onondaga
BARTOSZ HLEBOWICZ:
*Jak pionierzy wyrąbali ścieżkę
cywilizacji w dzicy*

90 Okna i balkony
ANITA PIOTROWSKA
o cyklu filmowym HBO „W domu”

92 Gdy ślepień noc
LEKTOR o tomie Giacoma Leopardiego
„Pieśni/Canti”

■ ■ ZMYŚŁY

94 Święty spokój
ROZMOWA Z WIKTOREM SEDLAKIEM,
PSYCHOANALITYKIEM:
*Najbardziej warto starania są miłości
i pasja. Także do zawodu*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

Sędziwi władcy Arabii Saudyjskiej i Kuwejt, najstarsi
przywódcy świata arabskiego, trafili do szpitali – o tym, jak na
tronach monarchii z Półwyspu Arabskiego dokonuje się zmiana pokoleń,
pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Sztuka powszechnie nieznana [Podkast Powszechny]

Jak wyobrażano sobie moce jednorożca, zwyczaje gryfa, grozę
bazyliuszka i wyjątkowe zdolności bonnacona? Jaka jest symbolika
tych niebywałych stworzeń? – o tajemnicach średniowiecznych
bestiariuszy opowiada **MAGDALENA ŁANUSZKA** powszech.net/podkast



**WOŚ
SIĘ JEŻY** wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

[f /TYGODNIKPOWSZECHNY](https://facebook.com/TYGODNIKPOWSZECHNY) ■ [T /TYGODNIK](https://twitter.com/TYGODNIK) ■ [i /TYGODNIK](https://instagram.com/TYGODNIK) ■ [YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY](https://youtube.com/TYGODNIKPOWSZECHNY)



OBRAZ
TYGODNIA

DROGA DO LOCKDOWNU

Koronawirus jest w Polsce w natarciu.
Ale izolacja podobna do tej marcowej nie ma sensu – potrzeba szybkich,
punktowych decyzji na poziomie powiatów.

MACIEJ MÜLLER

PRZYPOMINAMY O OBOWIĄZKU ZASŁANIANIA ust i nosa podczas wykonywania usługi” – takie esemesy wysyła fryzjer przed wizytą. Ale na miejscu mówi: „Daj pan spokój z tą maską”. W kościołach nie lepiej: tłok, duszno, mało kto wytrzymuje z zasłoniętą twarzą dłużej niż do czytań. W restauracjach, pubach, kolejkach – maski wiszą na uchu bądź podtrzymują żuchwę.

COVID-19 jest w odwrocie? Zniesienie kolejnych obostrzeń 25 lipca (większa liczba uczestników meczów, koncertów, konferencji, targów; mniejszy dystans – 1,5 metra) opatrzone komentarzem: „Sytuacja związana z COVID-19 w Polsce jest ustabilizowana, jed-

nak epidemia trwa nadal i dlatego nie wszystkie ograniczenia zostały zniesione”.

Tylko środkowa część tego zdania jest prawdziwa: żaden wykres epidemiczny – ani liczby nowych zachorowań, ani zgonów, ani hospitalizacji czy przypadków kwarantanny – nie ulega wyraźnemu wypłaszczeniu. Sanepidy poszukują uczestników nabożeństw, w czasie których doszło do zakażeń – wszyscy powinni trafić na kwarantannę. Media donoszą o takich wydarzeniach jak „koronawesele” w Mszanie Dolnej czy o imprezach na kataranie w Gdyni, które stały się ogniskami zakażeń. Są o tyle groźne, że ich uczestnicy rozjeżdżają się potem po Polsce. Epidemiolo-

*Tłumy na Rynku Głównym. Pomimo rekordowej liczby zakażeń koronawirusem w ten weekend w Małopolsce większość turystów nie zachowuje dystansu ani nie nosi maseczek.
Kraków,
26 lipca 2020 r.*

dzy z niepokojem patrzą na zatłoczone stadiony: krzyk zwiększa zasięg aerozolu wydobywającego się z ust. Trwają też podróże wakacyjne, a ignorowanie zasad sanitarnych sprawia, że wirus z mocniej zaatakowanych województw śląskiego, małopolskiego, łódzkiego czy mazowieckiego trafia do nowych populacji na Pomorzu czy Mazurach.

W zeszłym tygodniu wskaźniki dziennych zakażeń w Polsce sięgały 600. Potem opadły, niemniej długi okres, kiedy mieściły się w przedziale 250-350, wydaje się zakończony. W porównaniu do 60 tys. przypadków dziennie w USA czy 50 tys. w Indiach to może niewiele, ale wskaźnik reprodukcji koronawirusa zbliżający się do 1,2 wróży jak najgorsze. Były szef NFZ Tadeusz Jędrzejczyk przewiduje rychłe przekroczenie tysiąca zachorowań dziennie.

Czy nadchodzi druga fala COVID-19? Właśnie przechodzi przez kraje, które zdawały się mieć epidemię już pod kontrolą. Jak Serbia, gdzie liczba zachorowań skoczyła do poziomu z kwietnia, czy Izrael – gdzie aktywność wirusa drastycznie wzrosła po otwarciu szkół, i gdzie przywrócono część obostrzeń. W Katalonii zamknięto kluby, odwołano imprezy, przywrócono zakaz zgromadzeń większych niż na 10 osób. Niektóre restrykcje przywrócili Czesi i Francuzi.

Tymczasem decyzje polskiego rządu idą w kierunku przeciwnym, a spora część społeczeństwa nie wierzy w realność epidemii. To efekt z jednej strony skutecznego zduszenia infekcji podczas marcowej i kwietniowej izolacji, z drugiej – nieodpowiedzialnych wypowiedzi polityków z czasu kampanii. Szczególnie premier Morawiecki lubił podkreślać, że wirusa już nie trzeba się bać, ale wszyscy kandydaci organizowali wiece, na których nie przestrzegano zasad sanitarnych. Czy grozi nam kolejny lockdown? Niewykluczone, ale może mieć inny charakter niż ten marcowy: eksperci wskazują, że zamykanie całego kraju jest bezzasadne. Potrzebne są raczej szybkie, punktowe decyzje na poziomie powiatów. Niestety działania rządu trudno przewidzieć – zarówno polityka obostrzeń, jak i odmrażania prowadzona jest „po uważaniu”. ©P

Nowak nie zatopi Trzaskowskiego

ANDRZEJ STANKIEWICZ



ZATRZYMANIE PRZEZ CBA SŁAWOMIRA NOWAKA nie zaszkodzi nowemu liderowi opozycji Rafałowi Trzaskowskiemu. To jeden z ostatnich ciosów w odchodzącą do przeszłości starą Platformę.

Większość Polaków usłyszała o nim na nowo po raz pierwszy od „afery zegarkowej” z 2013 r. Jako minister transportu w drugim rządzie Donalda Tuska, Nowak uporczywie nie wpisywał drogich zegarków do oświadczenia majątkowego. Skończyło się aferą w mediach, sprawą w sądzie, a co najważniejsze – odejściem z rządu i z polityki. Po zwycięstwie PiS Nowak wyjechał na Ukrainę, tak jak kilku innych polityków i urzędników kojarzonych z Tuskiem, którzy nie mogli liczyć na pracę w Polsce Kaczyńskiego. Robił to, co do tej pory – budował drogi. Ale i tam szybko wpadł w kłopoty – znów miał nie ujawnić całego majątku w oświadczeniu. Choć przed sądem się wybronił, jesienią 2019 r. i tak odszedł ze stanowiska szefa Państwowej Agencji Dróg Ukrwatodor.

Wrócił do Polski i zaangażował się w kampanię prezydencką. Potem był gotów włączyć się w tworzenie nowej formacji na bazie dobrego wyniku wyborczego Rafała Trzaskowskiego. W powyborczy piątek pojawił się na wiecu w Gdyni, gdzie prezydent Warszawy zapowiedział tworzenie nowego ruchu politycznego. Choć był w ścisłym centrum PO, dla

większości wyborców pozostawał niewidoczny. Dlatego kiedy trzy dni po gdyńskim wiecu Nowaka odwiedziło CBA, była to dla partii sprawa trudna, ale nie dewastująca.

Nowak został zatrzymany i aresztowany za korupcję. Miał przyjąć co najmniej 1,3 mln zł, m.in. od tureckiej firmy, która budowała drogi na Ukrainie. Sprawa jest jednak skomplikowana, bo w grę wchodzi operacje finansowe między spółkami w Polsce i na Cyprze, w które Turkowie inwestowali ze znajomymi Nowaka. Zatrzymanie to wspólne dzieło CBA i ukraińskiej agencji antykorupcyjnej NABU. Nie jest jasne, która ze służb pierwsza wzięła b. ministra pod lupę. Ukraińcy twierdzą, że zaczęli Polacy, a Polacy – że Ukraińcy. Sam Nowak uważa, że jego zatrzymanie to „polityczna ustawka”.

CBA miało i ma na oku kilku byłych członków rządu Tuska. Część już usłyszała zarzuty (Stanisław Gawłowski i Sławomir Neumann), część wciąż jest pod lupą. Wszystko to jednak obciąża Platformę, której już nie ma, a Trzaskowski od kampanii systematycznie buduje swój wizerunek w oderwaniu od partii. Zarzuty dla Nowaka to kolejne potwierdzenie, że PO potrzebuje nie tylko zmiany dekoracji, ale i wymiany głównych aktorów. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Komisja ds. pedofilii: polityczno-fabularna zbieżność

„**FILM #TYLKO NIEMÓWNIKOMU** będzie trylogią. Skoro druga część ma być w październiku, to kolejna z pewnością przed prezydenckimi wyborami w 2020 r. Zapewne zbieżność polityczno-fabularna jest tutaj całkowicie przypadkowa” – pisał na Twitterze 12 czerwca 2019 r. Błażej Kmiecik, socjolog prawa, do niedawna członek Ordo Iuris, wybrany w ub. tygodniu przez Sejm na przewodniczącego państwowej komisji ds. wyjaśniania przypadków molestowania nieletnich. Tej, której powstanie politycy PiS zapowiedzieli tuż po premierze pierwszego dokumentu Sekielskich.

Trzymając się hasła o zbieżności polityczno-fabularnej, można zadać kilka py-

tań. Nie tylko o poglądy nowego szefa, który dwa lata temu pisał na Twitterze, że seksualność „to sfera, która u dziecka winna podlegać wychowaniu, a nie edukacji”, lecz także o tryb powołania i zakres działalności komisji.

Jej siedmioosobowy skład jest w dużej mierze z nadania politycznego – trzech członków wybrał Sejm, po jednym – Senat, premier, prezydent i rzecznik praw dziecka.

Trzy najważniejsze cele komisji wymienił Kmiecik podczas konferencji: monitorowanie i sprawdzanie toczących się postępowań, wpis na listę sprawców osób, które komisja uznała za sprawców, oraz działania profilaktyczne i edukacyjne. Wsparcie ma otrzymać także rodzina, bo rodzice – jak mówił Kmiecik – są pierwszymi rzecznikami dzieci.

Należałoby dodać: pod warunkiem, że to nie oni krzywdzili. ©P ANNA GOC

Śmierć dziecka na Śląsku: schemat zbrodni

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



DZIECI SĄ ZABIJANE PRZEZ WŁASNYCH RODZICÓW. I nie wynikają z tego żadne wnioski – mówi Joanna Luberańska-Gruca z Fundacji Polki Mogą Wszystko, pracującej m.in. na rzecz dzieci z trudnych rodzin.

Co wyniknie z kolejnej zbrodni – na miesięcznym chłopcu z Rudy Śląskiej? Zdarzenia znowu przebiegną zapewne wedle ćwiczonego tyle razy schematu.

Etap pierwszy: tragedia. W tym przypadku dziecko trafia do szpitala nieprzytomne. Ze złamaniami kości, obrażeniami głowy. Sekcja wykaże „rozległy uraz mózgowo-czaszkowy”.

Etap drugi: rekonstrukcja. Zwykle wykazuje, że urzędnicy wiedzieli o wcześniejszych przypadkach przemocy. Rodzice chłopca z Rudy Śląskiej byli pod nadzorem kuratora, pomocy społecznej, asystenta rodziny. Notowani, m.in. z powodu obrażeń (złamane żebra) starszego dziecka, dziś kilkunastomiesięcznej dziewczynki. Założono im Niebieską Kartę, ograniczono prawa rodziców, wysłano dziecko do rodziny zastępczej. A potem sprawę umorzono – dziewczynka wróciła do rodziców.

Etap trzeci: odpowiedzialność. Karna dla sprawców, zawodowa dla urzędników. Na niskim szczeblu – „leci” pracownik socjalny, rzadziej szefowa MOPS-u (tak było w głośnym przypadku ubiegłorocznej śmierci Blanki z Olecka). Nigdy do dymisji nie podaje się (ani nawet nie przeprosza) wójt czy burmistrz.

Etap czwarty: systemowe wnioski – w Polsce nie istnieje. Albo inaczej: zainteresowani nimi są tylko działacze organizacji pomocowych. – Początek epidemii, dziewczynka, wcześniej w związku z drastyczną przemocą odebrana rodzicom, wraca do nich, bo sąd uważa, że nie może być od nich na skutek lockdownu odcięta – opowiada Luberańska-Gruca. – Ale kurator wkrótce stwierdza, iż dziecko jest w takim stanie, że musi wrócić do pieczy zastępczej. Takich historii jest masa, bo w Polsce „od zawsze”, a zwłaszcza w ostatnich latach, dominuje pobłażliwość dla przemocowych rodziców. Towarzyszy temu retoryka władz idealizująca rodziny i strach przed decyzjami, które nie pasują do tej retoryki.

„Nie chcemy, by kolejne dziecko zostało zabite” – pisała rok temu (tuż po Olecku) Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, apelując do prezydenta o stworzenie – będącego w innych krajach normą – tzw. Serious Case Review: systemu analizującego przypadki drastycznej przemocy wobec dzieci.

17 lipca na profilu FDDS pojawiła się informacja: przedstawiciel Kancelarii Prezydenta zapewnia, iż trwają prace nad projektem przepisów. Kilka dni później doszło do tragedii w Rudzie Śląskiej. ©©

KRAJ W SKRÓCIE

KONWENCJA

Zbigniew Ziobro potwierdził, że Polska chce wypowiedzieć Konwencję stambulską. Zastrzeżenia rządzących budzą przepisy dotyczące edukacji dzieci i młodzieży, związków rodzinnych w kontekście LGBT+ oraz wpływu religii i zwyczajów na przemoc domową, generalnie jednak mamy się nie przejmować, gdyż – jak mówi Ziobro – „polskie prawo jest wzorcem dla innych krajów UE i innych krajów na świecie, jeśli chodzi o standard ochrony przed przemocą”.



PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

KOROWÓD

Jeśli chodzi natomiast o rekonstrukcję rządu, standardem są spekulacje na temat przyszłości Jarosława Gowina. Pozostający od kilku miesięcy poza gabinetem niedawny wicepremier wyznał w wywiadzie telewizyjnym, że nie wyklucza powrotu.

KORONKA

Inny głośny powrót ma miejsce w TVP: od 7 sierpnia p.o. prezesa tej instytucji będzie szczęśliwy nowożeniec Jacek Kurski. W wywiadzie dla „Sieci” Kurski wytłumaczył powód wyboru Łagiewnik na miejsce swojego ponownego ślubu: „Już trzy lata temu odkryliśmy dla siebie fenomen Koronki do miłosierdzia Bożego, od wielu miesięcy staramy się odmawiać wspólnie tę modlitwę w ciągu dnia”. W innych fragmentach rozmowy wątek miłosierdzia nie jest już obecny.

Jak Polska nie dotrzymuje słowa

M.K., CZECZEN, około trzydziestokrotnie stawiał się na polsko-białoruskim przejściu granicznym w Terespolu, oświadczając, że w Rosji, której jest obywatelem, grożą mu prześladowania. Mówił, że wielokrotnie aresztowano go bez powodu. Za każdym razem Straż Graniczna uniemożliwiała mu złożenie wniosku o azyl i odsyłała na Białoruś. Działo się to w 2016 i 2017 r., ale podobny los spotkał odtąd wielu jego rodaków. W minionym tygodniu Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu, rozpatrując pozew zbiorowy przeciw Polsce, uznał, że nasz kraj wielokrotnie naruszał przepisy, do których stosowania się zobowiązał, m.in. zakazujące „tortur i niehumanitarnego traktowania”. Każdemu z pokrzywdzonych nakazał wypłacenie po 34 tys. euro (równowartość ok. 150 tys. zł) odszkodowania.

O tym, że Czechenom takim jak M.K. grożą w Rosji tortury i śmierć, wiadomo od lat. Nietetyczne i bezprawne praktyki polskiej Straży Granicznej na granicy wschodniej są także udokumentowane. Nie do wiemy się tylko jednego: ilu potraktowanym tak (na skutek inspiracji polityków, niechęci wobec obcokrajowców, ale i nawyków urzędników na granicy) ludziom Polska złamała już zdrowie i życie.

© © MARCIN ŻYŁA

Nobilitacja łaciny

„DISCE PUER LATINE, EGO NOBILEM TE FACIAM”. Od września chętni uczniowie szkół średnich będą mogli uczyć się łaciny na poziomie podstawowym – jako jednego z przedmiotów do wyboru obok plastyki, muzyki i filozofii. Ministerstwo Edukacji stoi na stanowisku, że znajomość rudymen-tów łaciny i kultury klasycznej jest nadal niezbędna każdemu wykształconemu Europejczykowi. Nie wiadomo jednak, czy w Polsce wystarczy wykładowców, którzy symbolicznego chłopca z przywołanego wyżej przysłowia mogliby uczynić – zgodnie z wolą ministerstwa – arystokratą myśli. Polskie Towarzystwo Filologiczne kilka lat temu podjęło próbę oszacowania liczby nauczycieli gotowych do nauczania łaciny i doszło do wniosku, że będzie to możliwe tylko w dużych miastach z silnymi ośrodkami uniwersyteckimi. © © MR



JOAQUÍN SARMIENTO / AFP / EAST NEWS

PONAD 241 TYS. WYKRYTYCH PRZYPADKÓW I 8,2 TYS. ZGONÓW – to dotychczasowy bilans epidemii COVID-19 w liczącej 49,6 mln mieszkańców Kolumbii (na zdjęciu policyjny patrol w maseczkach w Medellín, drugim największym mieście kraju, gdzie na kilometr kwadratowy przypada 6,3 tys. mieszkańców). © P MR

Dramatyczny los francuskich kościołów

TO KOLEJNY GŁOŚNY POŻAR we Francji: podpalono budynek opactwa w Ligugé. Szczęśliwie ogień nie dostał się do biblioteki, kryjącej bogaty zbiór piśmiennictwa religijnego. Opactwo, założone w 361 r. przez św. Marcina – współtwórcę monastycyzmu w Europie – uważane jest za kolebkę francuskiego chrześcijaństwa.

Wcześniej płonęła katedra w Nantes. Podejrzany o podpalenie – Rwandyjczyk, który pracował w diecezji jako wolontariusz – przyznał się do winy. Jego motyw nie jest znany. Wcześniej zeznał, że był zły na władze francuskie, bo nie chciały przedłużyć mu prawa pobytu.

Ostatnio we Francji dochodzi corocznie do ok. tysiąca aktów agresji wobec miejsc i symboli kultu chrześcijańskiego (w kraju są 42 tys. kościołów i kaplic, wiele to zabytki). Ataki mają różny charakter, od celowych profanacji po akty wandalizmu. Pożar w Nantes wywołał teraz dyskusję, także polityczną. „Coś dzieje się z naszym społeczeństwem. Długo nie było to szerzej zauważane. Teraz, za sprawą wielkich pożarów, każdy ma to przed oczami” – komentował Stefan Lunte, działacz samorządowy. „Jeśli atakowane są miejsca kultu, stajemy przed poważnym problemem jako wspólnota” – mówił gazetce „Le Parisien” Stéphane Bern, pełnomocnik rządu ds. dziedzictwa kulturowego.

© P WP / FAZ, DR, VATICANNEWS

Plagi Afganistanu

PAWEŁ PIENIAŻEK



JUŻ 90 PROC. AFGAŃCZYKÓW ŻYJE PONIŻEJ progu ubóstwa, czyli za mniej niż dwa dolary dziennie – ogłosił prezydent kraju Aszraf Ghani. W ciągu niecałej dekady liczba mieszkańców dotkniętych skrajną biedą wzrosła ponad dwukrotnie.

Obecna recesja w Afganistanie jest spowodowana koronawirusem. Mimo ograniczonej dostępności testów, w tym 33-milionowym kraju odnotowano 36 tys. przypadków zachorowań. Ponad 1200 osób zmarło. Po zamknięciu miast władze spodziewają się spadku wpływów do budżetu o jedną trzecią. Według Banku Światowego afgańska gospodarka skurczy się o 5,5-7,4 proc. W ub. roku kraj cieszył się wzrostem PKB o 2,9 proc.

Epidemia zbiegła się też w czasie z apogeum kryzysu politycznego. Przez chwilę kraj miał dwóch prezydentów. Natomiast pomoc zagraniczna, od której Afganistan jest uzależniony, zostanie prawdopodobnie ograniczona z powodu problemów gospodarczych na świecie. Do tego maleją szanse na kontynuację procesu pokojowego, rozpoczętego przez podpisanie w lutym porozumienia między talibami a USA. Według „New York Timesa” tylko między 17 a 23 lipca zginęło 254 członków sił rządowych i 83 cywilów. Nad Afganistanem spotykają się więc dwie odwieczne plagi kraju: wojna i nędza.

©

Szczyt, pieniądze i praworządność

TO BYŁY NAJDŁUŻSZE NEGOCJACJE w historii Rady Europejskiej. Na szczęście zakończone porozumieniem, które daje Unii szansę na przełamanie kryzysu gospodarczego i otwiera nowy rozdział w dziejach integracji. Budżet Unii (trochę ponad bilion euro plus 750 mld z Funduszu Odbudowy) to wciąż niespełna 2 proc. PKB Wspólnoty. Za taką sumę nie przekształci się Europy w polityczno-gospodarcze centrum świata. Ale też nikt nie ma takich ambicji.

Polska wróciła ze szczytu poturbowana. Z jednej strony imponujący wynik finansowy: 160 mld euro, które trafią do nas, jeśli wykorzystamy i granty, i przysługującą nam linię kredytową z Funduszu Odbudowy. Z drugiej strony dostęp do tych pieniędzy jest obwarowany warunkiem zielonej transformacji. 30 proc. budżetu Unii na lata 2021-27 musi być przeznaczone na inwestycje, które ograniczą ślad węglowy w polskiej gospodarce, zarówno w przemyśle, jak i rolnictwie. Uwarunkowana wewnętrznymi sporami niechęć rządu do uznania celu neutralności klimatycznej do 2050 r. kosztowała nas kolejne miliardy na Fundusz Sprawiedliwej Transformacji. Środki te będą czekać na nasze „tak”.

W konkluzjach szczytu zapisano, że fundusze będą powiązane z oceną stanu praworządności. Choć zapis daje pole różnym interpretacjom, dwie rzeczy są oczywiste. Po pierwsze: Unia zacznie prace nad definicją praworządności, a jej Rada może kwalifikowaną większością zalecić kroki wobec państw, które ją łamią. Po drugie: zgodnie z art. 7 traktatu, aby nałożyć sankcje na taki kraj, potrzeba jednomyślności.

Porozumienie musi jeszcze przegłosować Parlament Europejski. Czeka nas więc miesiąc politycznego grillowania. Jeśli jednak stracimy jakieś środki, to tylko przez formalny sprzeciw wobec Europejskiego Zielonego Ładu, a nie ocenę praworządności.

© OLAF OSICA

Apostołki pukają do nuncjatury

SIEDEM FRANCUSKICH KATOLICZEK złożyło 22 lipca w paryskiej nuncjaturze zaskakujące propozycje. Przedstawiły siebie jako kandydatki na funkcje: świeckiej kaznodziejki, diakonek, proboszczki, biskupki i nuncjuszki w Paryżu. Była z nimi Anne Soupa, teolożka i biblistka, która zaskoczyła w maju opinię publiczną, proponując swoją kandydaturę na wakujące stanowisko arcybiskupa Lyonu (w miejsce kard. Barbarina podejrzanego o krycie pedofilii). Akcję zorganizował Toutes Apôtres! – kolektyw katolickich feministek.

Soupa tłumaczyła, że nie jest to ruch przeciw Kościołowi, ale na jego rzecz. „Apostołowanie Panu to nie kwestia płci” – podkreślała jedna z kandydatek, Claire Conan-Vrinat, pragnąca być diakonką. Z kolei prezentująca swoją kandydaturę na biskupkę Sylvaine Landrion mówiła: „Gdy Kościół Chrystusowy upada, jego połowa, którą stanowią kobiety, byłaby tchórzliwa, milcząc w poddaństwie”. Hélène Pichon, zawodowa dyplomatka aplikująca na stanowisko nuncjuszki, pytała: „Dlaczego świecka kobieta nie może pełnić tej roli?”.

Z nuncjatury poszły do kościoła Marii Magdaleny, by modlić się w dniu święta Apostołów. Przypomnijmy: święta nowego, wprowadzonego przez papieża Franciszka właśnie po to, by zrównać rangę tego dnia z dniami wspominającymi innych apostołów.

Czy gest francuskich katoliczek jest prowokacją? Trudno przypuszczać, by skończył się sukcesem. Może jest jednak gestem prorockim, obnażającym prawdę i wołającym o sprawiedliwość.

© ZUZANNA RADZIK

Biskupi: nie pij w ciąży!

JAK CO ROKU Zespół KEP ds. Apostolstwa Trzeźwości Osób Uzależnionych opublikował list wzywający do sierpniowej abstynencji od alkoholu. Tekst – jak zawsze – jest pełen odniesień patriotycznych, tym razem z naciskiem na okrągłą rocznicę Bitwy Warszawskiej, z uporem nazywanej „Cudem nad Wisłą”. Nowość polega na sięgnięciu po cytaty z prymasa Wyszyńskiego zamiast z Jana Pawła II. Niemniej aktualne pozostaje pytanie, czy biskupi dostarczają przekonującej motywacji osobom zmagającym się z nałogiem. I czy w ogóle walka z alkoholizmem za pomocą postulatów miesięcznej abstynencji może być skuteczna.

Tegoroczny list Episkopatu korzystnie wyróżnia apel o niespożywanie alkoholu w okresie ciąży. „FAS, czyli Alkoholowy Zespół Płodowy, jest jednostką chorobową w stu procentach możliwą do uniknięcia. (...) Niestety, badania przeprowadzone w Polsce dowodzą, że jedna trzecia kobiet w ciąży spożywa alkohol” – piszą biskupi.

© PIOTR SIKORA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

UPOMNIENIE

152 biskupów brazylijskich zarzuciło rządowi prezydenta Bolsonaro nieudolność w zwalczaniu kryzysu wywołanego pandemią. Duchowni wypunktowali też beczyność rządu wobec nierówności społecznych, wycinki lasów, a także niechęć wobec edukacji, kultury, systemu opieki zdrowotnej i wolności słowa. Ocenili, że prezydent nadużywa religii, aby siać nienawiść i dzielić społeczeństwo.

CHRYSTIANOFOBIA

„Wolność religijna to papiererek lakmusowy przestrzegania praw człowieka” – mówił watykański sekretarz ds. stosunków z państwami abp Paul Gallagher. W przemówieniu podczas 72. Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku zasugerował, by szukać nowych zwrotów, takich jak np. chrystianofobia, pomocnych w opisie sytuacji chrześcijan – tak jak islamofobia i antysemityzm służą do podkreślania przemocy wobec muzułmanów i Żydów.

PASTORKI

Luterański Kościół Szwecji jest pierwszym na świecie, w którym jest więcej ordynowanych kobiet niż mężczyzn – aż 1533 na ogólną liczbę 3060 duchownych. Prymasem Kościoła jest abp Antje Jackelén (zob. wywiad w „TP” 43/2019). Większość stanowisk kierowniczych nadal jednak zajmują mężczyźni, oni też zarabiają więcej: średnio o 2200 koron (ponad 900 zł). Wśród osób studiujących w Szwecji teologię kobiety stanowią 70 procent.



ROMAN HUSARSKI

opowie Pawłowi Sulikowi o sprawie b. burmistrza Seulu (tekst na s. 48) w „Światopoglądzie” Radia Tok FM, w środę 29 lipca, o godz. 15.40. 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl



YOUTUBE

PAKISTAŃSKA MATKA TERESA

– tak nazywano zmarłą 20 lipca siostrę Ruth Lewis, franciszkanę, która w zakonnym ośrodku w Karaczi od pół wieku zajmowała się porzuconymi przez rodziny osobami z niepełnosprawnością. Ośrodek utrzymywał się z darowizn prywatnych, siostrze Lewis udało się jednak uzyskać także finansowanie publiczne. Zakonnica zaraziła się – a razem z nią mieszkańcy ośrodka – koronawirusem. Od 8 lipca leżała pod respiratorem, nie udało się jej uratować. Była docenianą w kraju osobistością; w 2018 r. otrzymała nagrodę Hakima Mohammeda Saída za „pracę na rzecz ludzkości”. © PIOTR SIKORA

Naczynia połączone

PAPIESKA AKADEMIA ŻYCIA wydała dokument pt. „Humana communitas w czasie pandemii. Niewczesne rozważania o odrodzeniu życia”. Autorzy zwracają uwagę na odpowiedzialność człowieka za pandemię – nasze zachowania indywidualne i społeczne mają wpływ na to, ilu ludzi będzie chorować i umierać. Koronawirus ponownie odkrył skończoność ludzkiej kondycji, o której często zapominamy, po drugie zaś – wagę naszych wzajemnych relacji. Watykański dokument zawiera więc krytykę wszelkich egocentrycznych prób poradzenia sobie z problemem poprzez odcięcie się jednych państw czy społeczności od innych. Jako właściwą drogę wskazuje solidarność z innymi ludźmi, ale także solidarność szerszą: z całym stworzeniem.

Perspektywa, jaką kreśli „Humana communitas”, jest bardzo inspirująca: ukazuje konieczność integracji wysiłków naukowych i technicznych (np. poszukiwanie szczepionki) z głęboką przemianą umysłu. Etyczną krytykę ludzkich zachowań łączy z otwarciem horyzontu nadziei.

© PIOTR SIKORA

Przeciek metanu

WOJCIECH BRZEZIŃSKI



NIE BYŁO BĄBELKÓW. UCHODZĄCY GAZ rozpuszczał się w otaczającej wodzie. Ale badający Morze Rossa naukowcy z uniwersytetu Oregonu i bez nich rozumieli: mamy problem.

„Znaleźliśmy wyciek w miejscu, w którym nurkuje się regularnie od lat 60., więc jesteśmy przekonani, że dopiero się rozpoczął” – mówił „Guardianowi” kierujący badaniami Andrew Thurber. Jak donosi jego zespół, u wybrzeży Antarktydy trwa proces, który może zaostrzyć klimatyczny kryzys. Z martwych glonów, nagromadzonych na dnie przez tysiące lat, do wody przedostaje się metan. A z niej trafia do atmosfery.

Naukowcy sądzili dotąd, że większość gazu z procesów gnilnych na dnie stanowi pożywkę dla bakterii i nie opuszcza oceanu. Nowe badanie wykazało jednak, że nawet w pięć lat po pojawieniu się gazu w okolicy nadal nie było dość metanożernych mikroorganizmów. „To opóźnienie jest naszym najważniejszym odkryciem. To zła wiadomość” – tłumaczy Thurber.

Co prawda metan niedługo krąży w atmosferze – rozkłada się w zaledwie 9 lat, a nie kilkaset, jak dwutlenek węgla – ale też absorbuje ciepło znacznie skuteczniej. Uwolnienie 1 proc. metanu związanego w arktycznej wiecznej zmarzlinie podniosłoby średnią temperaturę globu o 1,1 stopnia Celsjusza. To jedno ze sprzężeń zwrotnych sprawiających, że trudno precyzyjnie przewidzieć skutki emisji gazów cieplarnianych. Pierwszych szacunków dokonano w 1979 r. Z tzw. Raportu Charneya wynikało, że podwojenie stężenia CO₂ w porównaniu z epoką przedindustrialną (jesteśmy w połowie drogi) doprowadzi do wzrostu średniej temperatury o między 1,5 a 4,5 stopnia Celsjusza. Te „widelki” obowiązywały cztery dekady.

Zespół 25 naukowców z całego świata, w ramach Światowego Programu Badań Klimatu, zawęził właśnie tamte szacunki. Na podstawie analizy trendów, wiedzy o systemie sprzężeń zwrotnych i badań klimatu sprzed tysięcy lat ustalono, że prawdopodobny scenariusz to ocieplenie między 2,6 a 3,9 stopni Celsjusza do końca stulecia. Dobra wiadomość: być może uda się nam uniknąć wariantu piekielnego. Zła: o optymistycznym też możemy zapomnieć. ©

KULTURA W SKRÓCIE

ZMARŁ PETER GREEN

Urodzony jako Peter Greenbaum, Green był jednym z najwybitniejszych brytyjskich gitarzystów bluesowych. Wybił się w 1966 r., w grupie Bluesbreakers zastępując Erica Claptona. Nieco później z Mickiem Fleetwoodem i Johnem McVie założyli Fleetwood Mac. Zespół wdarł się na listę przebojów debiutanckim albumem z 1968 r., w następnych latach jego sława rosła. W tym samym czasie pogłębiały się też problemy psychiczne gitarzysty, również za sprawą narkotyków – w 1971 r. Green odszedł z zespołu, kilka lat później trafił do zakładu psychiatrycznego. Zmarł 25 lipca.



YOUTUBE

WARLIKOWSKI W SALZBURGU

1 sierpnia setną edycję Festiwalu w Salzburgu zainauguruje nowa inscenizacja Krzysztofa Warlikowskiego na podstawie „Elektry” Richarda Straussa.

Wystawienie będzie jedną z zaledwie dwóch premierowych oper jubileuszowej edycji festiwalu, okrojonej z powodu pandemii.

ODSDZĘŁ BERNARD ŁADYSZ

50 lat temu w Salzburgu Bernard Ładysz wystąpił w „Pasji wg św. Łukasza” Pendereckiego. Wcześniej, w 1956 r., miał debiutować w La Scali, ostatecznie trafił na krótko do Palermo. Trzy lata później wystąpił u boku Marii Callas w „Łucji z Lamermooru”. Wybitny bas zmarł 25 lipca, dzień po 98. urodzinach.

Zanim wystąpią objawy

ZESPÓŁ CHIŃSKICH I AMERYKAŃSKICH NAUKOWCÓW opisał w „Nature Communications” nowy test krwi, nazwany PanSeer. Pozwala on na diagnozę pięciu rodzajów nowotworów – przełyku, żołądka, wątroby, odbytu oraz płuc – nawet do czterech lat przed wystąpieniem pierwszych objawów u pacjenta.

We wcześniejszych badaniach starano się zidentyfikować we krwi pobranej od osób ze zdiagnozowanymi nowotworami jakieś anomalie. Twórcy PanSeer obrali inną metodę. Od 2007 r. przez siedem lat pobrali krew od ponad 123 tys. zdrowych ochotników, z których tysiąc zachorowało później na raka. Dopiero wówczas w próbkach krwi chorych, jednak pobranych przed postawieniem diagnozy, chińscy badacze szukali biochemicznych markerów.

W ten sposób w wyizolowanych komórkach znaleziono ok. 500 miejsc w DNA, które posiadają nietypowe wzorce metylacji. Metylacja polega na dołączaniu do różnych fragmentów DNA innych cząsteczek – tzw. grup metylowych – które regulują ekspresję genów. PanSeer określa prawdopodobieństwo występowania nowotworu właśnie na podstawie wzorców metylacji DNA.

Jak dotąd skuteczność testu sprawdzono na kilkuset próbkach. Podczas badania komórek pobranych od już zdiagnozowanych osób PanSeer poprawnie wskazywał nowotwór w 88 proc. przypadków. Ze zbliżoną skutecznością radził sobie także z próbkami pobranymi od osób, u których dopiero po kilku latach pojawiły się objawy. Wyniki są więc obiecujące, choć przed ogłoszeniem przełomu i wprowadzeniem testu na rynek potrzeba przeprowadzić znacznie więcej badań. © MICHAŁ ŚWIĄTEK

Kino pod znakiem noblistki

OPOWIADANIE OLGII TOKARCZUK „Profesor Andrews w Warszawie” (powszech.net/opowiadanie), które po raz pierwszy ukazało się w 1998 r. na łamach „Tygodnika Powszechnego”, doczeka się ekranizacji. Film Kasi Adamik wedle scenariusza Sandry Buchty otrzymał dofinansowanie z PISF-u i będzie nosił tytuł „Zima pod znakiem wrony”.

Oryginalna historia opowiada o przygodach brytyjskiego profesora psychiatrii, który w przeddzień stanu wojennego i świąt Bożego Narodzenia trafia do Peerelu, kraju niczym surrealistyczny labirynt na granicy jawy i snu. Dziś podobny klimat mają filmy Palestyńczyka Elii Suleimana – ciekawe, w jakim kierunku pójdą więc polscy twórcy. W każdym razie, trzymamy kciuki. Będzie to już czwarta adaptacja filmowa twórczości Tokarczuk, po filmach „Aria diva”, „Żurek” i „Pokot” Agnieszki Holland, którego współreżyserką była Adamik. © ANITA PIOTROWSKA


 TEMAT
TYGODNIKA

WYŚNIONA REWOLUCJA

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Sen długo pozostawał jednym z ostatnich obszarów życia, gdzie można było po prostu się zrelaksować i zdać na naturę. Spanie to spanie? Nic bardziej mylnego!

NIEPOKÓJ O JAKOŚĆ SNU I DĄŻENIE DO jej poprawienia to powszechne dzisiaj zjawisko. Niemal obsesja.

Dowodzą tego księgarniane półki zastawione książkami o hakowaniu snu, odblokowywaniu potencjału, spaniu wydajnym i efektywnym, a nawet o „spaniu

jak zawodowiec”. Do wyboru jest sen polifazowy, ubersleep, i świadome śnienie; są poduszkowi celebryci, coache snu dla dorosłych i dzieci, a nawet trenerzy snu rodzinnego. W internecie kuszą cudowne preparaty odwołujące się, na przemian, do szczęśliwych czasów paleolitu i ko-

smicznych technologii rodem ze „Star Treka”. Miejsce sklepów z łózkami zajmują doradcy sprzętu do spania, którzy oprócz materaców dobranych do wzrostu, masy, wieku i znaku zodiaku oferują aplikacje i urządzenia do wydajniejszego spania.



Sam też nie śpię, bo czytam książki. Książki o tym, jak dobrze spać. Przekręcę się z boku na bok i myślę, czy aby mam właściwy materac. Minęły tak już chyba ze dwie godziny, chociaż pewności nie mam, bo zgodnie z zaleceniami telefon zostawiłem przed wejściem do sypialni. Teraz więc dodatkowo się stresuję, że nie usłyszę budzika, którego oczywiście nie powinienem nastawiać, bo gdybym kładł się i wstawał w harmonii z naturalnym rytmem mojego organizmu, nie musiałbym martwić się pobudką.

Innymi słowy: sen jest kolejną rzeczą, którą – według ekspertów – całe życie robiliśmy źle.

Akt pierwszy: Naukowiec

„»Gratuluję, urodził się państwu zdrowy chłopiec. Przeprowadziliśmy wstępne badania i wszystko wygląda dobrze«. [Lekarz] uśmiecha się uspokajająco i rusza w stronę drzwi. Tuż przed wyjściem na korytarz odwraca się i mówi: »I jeszcze jedno. Przez resztę życia wasz synek będzie regularnie zapadał w stan przypo-

minający śpiączkę. Czasami może nawet wyglądać na nieżywego. Jego ciało zniechęci, za to umysł wypełni się zdumiewającymi, dziwacznymi halucynacjami. W tym stanie spędzi jedną trzecią życia. Nie mamy pojęcia, dlaczego tak się dzieje ani czemu to służy. Powodzenia!«”.

Oto punkt wyjścia książki „Dlaczego śpimy?” Matthew Walkera. Ten genialny chwyt narracyjny lokujący się gdzieś na pograniczu baśni i *science fiction* pozwala autorowi na wydobywanie snu ze sfery rzeczy oczywistych i uświadomienie nam, że jest to fenomen fascynujący, skomplikowany i kryjący wiele tajemnic.

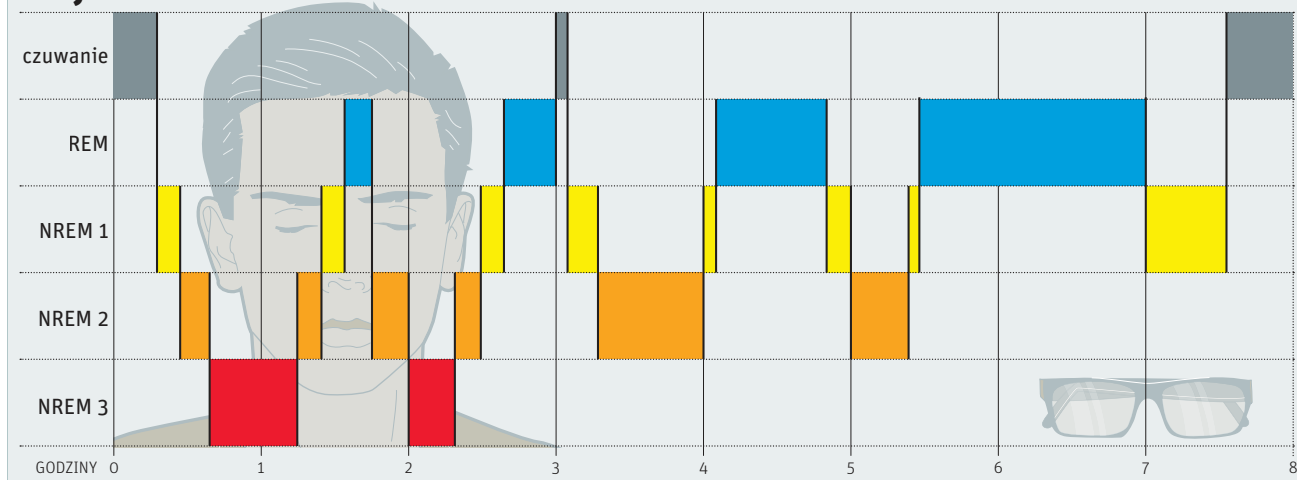
Podobnie jak sam Walker. Spektakularna blond grzywa, przeszywające niebieskie oczy, poważny brytyjski akcent i lekkie pióro – to atuty czyniące z niego ulubieńca mediów. Choć oczywiście tak naprawdę liczy się profesura na Harvardzie, a potem współtworzenie Centrum Badań nad Ludzkim Snem na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Walker to poważny badacz, który nie tylko wie, o czym mówi, ale też potrafi o tym opowiadać nie-

samowicie sugestywnie. Zazwyczaj jest to połączenie idealne. Ale w jego przypadku ma swoją ciemną stronę.

Walker umiejętnie pokazuje, że sen to nie jest prosta sprawa. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem złożonym, odpowiadającym na mnóstwo potrzeb. Sen jest ściśle związany z pamięcią, inteligencją, ale też z długowiecznością. Nawet niewielki, jednorazowy deficyt snu drastycznie pogarsza naszą wydajność, a długotrwałe niedosypianie istotnie zwiększa ryzyko przedwczesnego zgonu. Z kolei nawet krótka drzemka w ciągu dnia wystarczy, by „zresetować” zdolność zapamiętywania i przygotować mózg do przyswojenia kolejnej porcji informacji, co potwierdzają pomysłowe eksperymenty przeprowadzone przez samego Walkera i jego współpracowników.

Potrzeba snu wiąże nas z innymi organizmami żywymi. Fascynujące są fragmenty książki Walkera dotyczące sennych rekordzistów i dziwaków. Na przykład pewien gatunek nietoperza śpi 19 godzin na dobę (już wiem, czym →

MÓJ HIPNOGRAM



LECH MAZURCZYK

OTO HIPNOGRAM – wykres snu sporządzony na podstawie monitorowania aktywności mózgu. To taki dziennik (a właściwie – nocnik) podróży, ilustrujący kolejne fazy i cykle snu. Tej nocy położyłem się spać o północy. Przez kwadrans wsłuchiwałem się w odgłosy ruchu ulicznego, aż wreszcie moje myśli zaczęły odpływać, ciągnąć się jak spaghetti i zamieniać w obrazy. Spałem. Szybko prześliznąłem się przez fazy

1 i 2 snu NREM, by zanurkować w najgłębsze rejony fazy 3. Spędziwszy w sennych głębinach kilkadziesiąt minut, wynurzyłem się aż do snu REM.

To właśnie w tej fazie nawiedzała nas marzenia sennie. Gdyby ktoś nachylił się nad moim łóżkiem, mógłby dostrzec za powiekami szybkie ruchy gałek ocznych, od których ta faza snu wzięła nazwę (*Rapid Eye Movement* – szybkie ruchy gałek ocznych). Choć we śnie gonił

mnie groźny urzędnik z Ministerstwa Nauki, moje nogi nawet nie drgnęły, bo sprytny mechanizm odcina część mięśni od naszej kontroli, żebyśmy przez sen nie biegali po domu (albo nie spadli z drzewa). Dochodzi wpół do drugiej i właśnie zakończył się pierwszy cykl snu. Kolejny ma podobny przebieg, ale faza snu głębokiego jest nieco krótsza, a wypełniony marzeniami sen REM – dłuższy. Pod koniec tego cyklu na chwilę

się budzę. Zaspokoilem już chyba potrzebę snu głębokiego, bo tym razem senny batyskaf nie schodzi niżej niż na głębokość NREM 2. Faza REM wypełnia ponad połowę cyklu. Nim zadzwoni budzik, cały schemat powtórzy się jeszcze półtora raza – nieubłagany dźwięk wyrywa mnie z płytkiej drzemki na początku piątego cyklu snu. Witaj, słoneczko! Pora rozpocząć kolejny dzień pełen przygód.
© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

→ chciałbym zostać w kolejnym wcieleniu). Znany jest fakt, że u delfinów zapada w sen jedna półkula mózgu, podczas gdy druga czuwa (w końcu te ssaki muszą wynurzać się, by zaczerpnąć powietrza).

Czytelnik Walkera może się dowiedzieć, że niektóre gatunki ptaków opanowały jeszcze bardziej zadziwiającą sztuczkę. Ciasno obsiadłszy gałąź długim rzędem, sprytnie ptaszyska na dwóch jej końcach wystawiają wartowników. Każdy z nich śpi z zewnętrznym okiem otwartym. Co więcej, zwierzaki zmieniają się w środku nocy, żeby dać odespać czuwającej wcześniej półkuli. Zaskoczyła mnie jednak wiadomość, że ta dziwna sztuka nie jest zupełnie obca także ludziom. Badania sugerują, że gdy śpimy w nowym miejscu, jedna z półkul naszego mózgu zapada w nieco płytszy sen, pełniąc funkcję nocnego wartownika.

Jednak i zwykły, codzienny sen we własnym łóżku to skomplikowana sprawa. Składa się z wielu faz, które co noc po-

wtarzają się w kilku cyklach. Każdy trwa około 90 minut. Najpierw stopniowo osuwamy się coraz mocniej w sen fazy NREM, by pod koniec cyklu przebywać w wypełnionej marzeniami fazie REM. Na początku nocy w cyklach przeważa sen NREM, a pod koniec nocy – REM. Oznacza to, że zarwanej pierwszej połowy nocy nie można w pełni odespać wylegując się do południa, bo i tak czeka nas deficyt snu głębokiego.

Do tego rytmem snu rządzą dwa oddzielne mechanizmy. Jeden zsynchronizowany jest z porami dnia, bo uwalniająca się po zmierzchu melatonina wywołuje w nas uczucie senności. Drugi związany jest z kumulacją adenozy, której ilość w mózgu narasta stopniowo przez cały okres czuwania, wywołując poczucie zmęczenia. To jak wewnętrzny zegar nieubłaganie odliczający czas od ostatniego spotkania z poduszką i resetujący się dopiero po porządnej drzemce (kofeina pozwala nam na chwilę oszukać licznik).

Podsumowując, „Dlaczego śpimy?” to fascynująca opowieść o tym, jak nowe narzędzia nauki umożliwiły nam wgląd w sferę, która wcześniej pozostawała dostępna wyłącznie dla mitów i przesądów. Walker idzie jednak o krok dalej. Sen jest dla niego lekarstwem. Uważa lektura jego książki pozwala dostrzec, że autor nieustannie posługuje się językiem telezakupów albo domokraźnych sprzedawców cudownych środków. Czasem robi to w sposób otwarty i świadomy, jak wówczas, gdy półzartem zachwala sen jako „odkrytą przez naukowców nową terapię”, sprawiającą, że żyjemy dłużej, poprawiającą pamięć i kreatywność, gwarantującą szczupłość i atrakcyjność, a także chroniącą przed rakiem i demencją (lista zalet snu ciągnie się jeszcze przez cały długi akapit). W wielu miejscach znajdziemy też bardziej subtelne określenia, takie jak „sen jest znacznie inteligentniejszy, niż nam się wydawało”.

W miarę lektury okazuje się, że sen odpowiada praktycznie za wszystkie funkcje naszego organizmu, a w dodatku jest niezwykle delikatny. Łatwo go popsuć. Winna jest, oczywiście, nowoczesność, bo Walker wpisuje się w popularną w kulturze współczesnej opozycję natura – cywilizacja. Badacz twierdzi wręcz, że według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) mamy współcześnie do czynienia ze „światową epidemią deficytu snu”.

Co ciekawe, choć WHO podkreśla wagę snu i istotność problemu niedosypiania, nigdzie nie udało mi się znaleźć oficjalnego dokumentu, który deklarowałby „stan światowej epidemii” w tym zakresie, a liczne artykuły używające tego sformułowania niemal zawsze jako źródło podają... Walkera. To oczywiście skomplikowana sprawa, ale wiele analiz (np. opartych na tzw. metodzie dzienniczkowej, związanej z notowaniem przez wolontariuszy rytmu dnia) sugeruje raczej, że istotna część ludzkości wysypia się dziś lepiej niż kilkadziesiąt lat temu.

A jednak przestrogi Walkera brzmią groźnie. Czy zapewniam swojemu organizmowi dostateczną ilość snu i odpowiednią jego jakość? Przed przeczytaniem tej książki nie przyszłoby mi do głowy, że mogę coś robić nie tak. Po prostu kładłem się co wieczór i wstawałem następnego ranka. Teraz lęk o to, że źle śpię, spędza mi sen z powiek.

Interludium: Bezsenni

„Wiem, że do tej pory stworzyliście dwadzieścioro dzieci, które w ogóle nie potrzebują snu. I jak do tej pory dziewiętnastoro z nich cieszy się dobrym zdrowiem, wysoką sprawnością intelektualną i doskonale rozwija się pod względem psychicznym. Fizycznie też zresztą biją na głowę zwykłe dzieci. Najstarsze ma dopiero cztery lata, a już potrafi czytać w dwóch językach. Wiem też, że za kilka lat wypuścicie tę modyfikację na rynek. Chcę tylko, żeby moja córka otrzymała szansę już teraz. Cena nie gra roli”.

To pierwsza scena „Hiszpańskich żebraków” Nancy Kress, jednej z moich ulubionych powieści czasów nastoletnich (proszę nie oceniać mnie zbyt surowo). Doskonale pamiętam koszmarną okładkę charakterystyczną dla fantastyki z lat 90., wrażenie, jakie wywarła na mnie ta rozpisana na wiele dekad dziwna saga rodzinna, a przede wszystkim zazdrosne pragnienie, by jak główna bohaterka nie marnować ani go-



CUDOWNE ŚRODKI

- Czy istnieją techniki, substancje lub urządzenia pozwalające spać dwie godziny na dobę bez negatywnych konsekwencji zdrowotnych?
- Nie, nie istnieją.

ZŁOTY ŚRODEK

Obszerna metaanaliza biorąca pod uwagę 16 badań przeprowadzonych przez różne zespoły, opublikowana w 2010 r. na łamach czasopisma naukowego „Sleep”, potwierdza jednoznacznie, że zarówno zbyt krótki czas snu (6 godzin na dobę i mniej), jak i zbyt długi (powyżej 9 godzin) istotnie zwiększają ryzyko przedwczesnej śmierci, m.in. w wyniku chorób układu krążenia.

DRZEMKA

Wiele badań sugeruje, że najzdrowszy jest dla naszego gatunku sen dwufazowy. Przynajmniej 7 godzin solidnego wypoczynku w nocy, a do tego krótka, kilkudziesięciominutowa drzemka w ciągu dnia. Badania przeprowadzone w Grecji pokazały, że zarzucenie zwyczaju popołudniowej siesty zwiększało ryzyko chorób serca nawet o kilkadziesiąt procent. Grupą najbardziej narażoną okazali się starsi mężczyźni.

PEWNE RZECZY PRZYCHODZĄ Z WIEKIEM

Nie tylko preferowane pory snu, lecz także zapotrzebowanie na sen zmienia się z wiekiem. Według rekomendacji National Sleep Foundation noworodki powinny spać 14-17 godzin. Czas ten zmniejsza się stopniowo i dorosłym zaleca się już 7-9 godzin (za niewskazane uznaje się schodzenie poniżej 6 godzin na dobę). Osobom powyżej 65. roku życia zaleca się 7-8 godzin snu na dobę, lecz powodem do niepokoju powinno być dopiero spanie krócej niż 5 godzin.

dziny życia. Bo multimiliarder Roger Camden w końcu dopiął swego. Jego córka została poddana modyfikacji genetycznej, w wyniku której nie potrzebowała snu.

Camden był tytanem pracy, który dzięki nadludzkiemu wysiłkowi woli spać jedynie trzy-cztery godziny, resztę doby poświęcając dbaniu o swe interesy. Dla swojego dziecka pragnął jeszcze lepszego losu. Otoczona nauczycielkami i guwernantkami Leisha rozwijała się bez przerwy, błyskawicznie zostawiając w tyle rówieśników trwoniących nocne na bezproduktywne marzenia.

W „Hiszpańskich żebrakach” wszystko jest odwrotnie niż u Walkera. Sen to tylko strata czasu. W powieściowej rzeczywistości szybko okazuje się, że nieustanna wydajność podnosi inteligencję, a ostatecznie, w najbardziej zaskakującym zwrocie akcji w całej książce, dowiadujemy się, że to sen powodował starzenie, więc jego eliminacja jest kluczem do nieśmiertelności. Wąska elita genetycznie zmodyfikowanych Bezsennych tworzy nową kastę władców świata.

W wydanej w 1991 r. powieści Kress najciekawsze jest to, jak bliska jest ona rzeczywistości. Nie chodzi tylko o majaczące już na horyzoncie możliwości genetycznej modyfikacji czy selekcji zarodków ani nawet o rodzicielskie obsesje rozwoju i wysyp filozofii parentingowych. Kress zamieniła na język przypowieści *science fiction* trend, który Jonathan Crary doskonale opisał w książce „24/7. Późny kapitalizm i koniec snu”. To marzenie o świecie, który nigdy nie zasypia, stałym działaniu, podłączeniu do globalnej sieci, o kulcie wydajności, która nie zna przerw. Sen jest dla słabych. Drzemka to oznaka słabości charakteru.

Nie sposób zrozumieć fenomen trwającej właśnie Wyśniewanej Rewolucji, nie uświadamiając sobie, że jest ona buntem przeciwko dyktaturze Rogera Camdena i podobnych mu Bezsennych. Fetyszyzujemy sen właśnie dlatego, że tak długo odmawialiśmy sobie prawa do niego.

Trudno o lepszą ilustrację tej tezy niż losy Arianny Huffington.

Akt drugi: Przewodniczka

Huffington to publicystka, pisarka, ale też niedoszła polityczka i zdolna przedsiębiorczyni. Jeszcze jako Arianna Stassinopoulos w wieku 16 lat wyemigrowała z Grecji, by podjąć studia w Cambridge. Osiem lat później opublikowała pierwszą książkę i od tego czasu spod jej pióra regularnie ➔

→ wychodzą kolejne bestsellery. Założony przez nią serwis „Huffington Post” z osobistego bloga zmienił się w prężny portal, by wkrótce zostać sprzedanym za 315 mln dolarów.

Ale sukces ma swoją cenę. Pewnego dnia Huffington zasłabła, doznając bolesnego upadku. Zgodnie z popularną dziś logiką „wiadomości od natury” uznała wypadek za „sygnał ostrzegawczy od swojego organizmu”, każący jej przemyśleć poważnie swoje priorytety, zmienić radykalnie życie... i napisać na ten temat dwie kolejne książki.

Jej najnowszy przebój to „The Sleep Revolution”, po polsku wydana pod nieco mniej wojowniczym tytułem „Wyśpij się”. Tym razem Huffington znajduje bezpośredniego winnego swojego zasłabnięcia – jest nim niedobór snu. Skłoniło ją to, jak sama twierdzi, do podporządkowania swojego życia nowej misji – przekonywaniu ludzi, jak ważny i potrzebny jest sen

i jak wielki błąd popełniamy, spychając go na margines naszego życia.

Huffington to przewodniczka (gdybym wierzył w magię imion, na pewno zwróciłbym uwagę, że Arianna to uwspółcześniona wersja Ariadny). „Wyśpij się” jest klasycznym przykładem książki typu *self-help* – to poradnik samorozwoju, który obiecuje zmienić twoje życie. Taki papierowy guru. Obeznanych z gatunkiem raczej nie zaskoczy, choć przyznaje, że znalazłem tu kilka perełek. Kupuję np. określenie „pycha kalendarzowa” (*scheduling hubris*: „Jasne, że między te dwa spotkania wcisnę jeszcze trzecie, a i dzieci na pewno uda się odebrać z przedszkola. A tu jest jeszcze 15 minut wolnego, to w tym czasie zrobię obiad”). To się nie może udać. Zgadzam się z diagnozą Huffington, która stwierdza ze smutkiem, że jako Greczynka powinna była lepiej wiedzieć, że pycha zawsze zostaje przez bogów ukarana.

Jednak krytyka kalendarzowej pychy to dopiero początek. Huffington wsiada do pociągu z napisem „Wyśniona Rewolucja” mniej więcej tam, gdzie wysiedli Walker i inni naukowcy, ograniczani w swej wyobraźni dostępnymi danymi i wynikami badań. Bezlitośnie eksploatuje i nagina do granic możliwości wszelkie wątki związane z deficytem i kryzysem. Pod jej piórem epidemia bezsenności staje się przerażająca, prowadząc krótką drogą do śmierci z przepracowania. A najgorsze jest to, że całymi latami mogliśmy spać niewłaściwie i nawet sobie tego nie uświadamiać.

Koronnym dowodem na powagę sytuacji jest według Huffington fakt, że pierwszą podpowiedzią, jaka wyskakuje po wpisaniu w Google „Why am I...” („Dlaczego jestem taka...”) jest „so tired” („zmęczona”). Jakby mimo prowadzenia wartej ponad 300 mln portalu Huffington nie wiedziała, że Google dopasowuje sugestie do konkretnych użytkowników. Mnie np. na zapytanie „dlaczego jestem taki...” odpowiada... „głupi”.

Huffington napisała „Wyśpij się”, by „pomóc nam odzyskać kontrolę nad swoim życiem przy użyciu snu”. W teorii jej książka wymierzona jest w kult pracy i pogardę dla snu, jaka cechowała kulturę wydajności 24/7. Przy uważniejszej lekturze okazuje się jednak, że Huffington proponuje raczej umocnienie dyktatu produktywności niż zapowiedzianą w oryginalnym tytule rewolucję. Oto bowiem sen, który wcześniej był przynajmniej częściowo wyłączony z logiki udoskonalania i wydajności, staje się kolejną rzeczą, którą musimy robić dobrze, żeby odnieść sukces. Musimy!

W jednym z wywiadów Huffington używa wręcz określenia *sleep your way to the top* – wyśpij sobie drogę na sam szczyt. Sen staje się więc narzędziem osiągania sukcesu. Czy to przypadkiem nie jest logika Rogera Camdena, tylko w nowej wersji? Jedyna różnica polega na tym, że to nie bezsenność, lecz właściwy sen okazuje się cudownym sposobem na zawładnięcie światem i pomnożenie bogactwa.

Interludium: Gadżety

Symulator świtu i zmierzchu pozwoli za pomocą sztucznego oświetlenia zasymulować długie, płynne przejścia między porami dnia. Dawniej sprawdzał się w kurniku i akwariu, dziś polecany w każdej sypialni.



Pierre-Narcisse Guérin, „Morfeusz i Iris”, 1811 r. (fragment)

nomia 24/7 mówi w ten sposób naturalnej ludzkiej potrzebie wyciszenia przed snem głośnie komercyjne „nie”. W największych metropoliach średnia długość snu mieszkańców co dekadę kurczy się o kilkadziesiąt minut. Najkrócej – 5 godzin i 44 minuty – śpią tokijczycy. Nawet w Polsce, która do tego wyścigu dołączyła niedawno, ulice rozświetla już 3,28 mln latarni, a w rachunku za prąd przeciętnego gospodarstwa domowego koszty oświetlenia dobijają do 10 proc. – choć jeszcze w 2002 r. nie przekraczały 6,7 proc.

Prof. Piotr Gałęcki, krajowy konsultant ds. psychiatrii, mówił przed trzema laty „Tygodnikowi”: – Pacjenci skarżą się często, że jesienią opuszczają ich siły witalne i wcześniej robią się senni. Ale z ewolucyjnego punktu widzenia jesteśmy jednym z pierwszych pokoleń, które o tej porze roku może być aktywne wieczorem i nocą. © MAREK RABIJ

Bezcenna bezsenność

„Pasywny i niedochodowy” – tak nazywa sen prof. Jonathan Crary z Uniwersytetu Columbia w głośnym eseju „24/7” poświęconym ekspansji konsumpcji na czas nocy. Presja na część doby, której nie przeznaczamy na pracę lub naukę, jest – jak zauważa Crary – logiczną konsekwencją wcześniejszej komercjalizacji niemal

wszystkich aspektów życia dziennego. Następna jest noc – bo wieczór już straciliśmy. Czasem od zachodu słońca do pójścia do łóżka, kiedyś zarezerwowanym dla rodziny, rządzą dziś serwisy streamingowe, stacje telewizyjne, kina, bary, restauracje, kluby fitness czy bary z jedzeniem ulicznym. Eko-

Monitor snu dziecka to pomysłowy gadżet dla rodziców zaniepokojonych o swoje niemowlaki, ale i dorośli coraz częściej obserwują swój sen za pomocą urządzeń nakładanych na poduszki, palce, nadgarstki, a nawet oczy. Na przykład Oura to niepozorny pierścionek dostarczający według zapewnień producenta mnóstwa danych na temat przebiegu faz snu. „To tylko wygląda jak czary” oraz „Bądź gotowy na kolejny wielki moment” – dwa slogany reklamowe tego produktu nieźle zakreślają mapę nadziei i oczekiwań wobec takich gadżetów.

Najgłośniejszy przykład z ostatnich lat to Sense produkowany przez firmę Hello we współpracy m.in. z Matthew Walke-rem, bohaterem pierwszej części tego tekstu. Choć na portalu Kickstarter udało się zebrać 2,4 mln dolarów, a w wyniku kilku rund finansowania przez inwestorów jeszcze kilkadziesiąt milionów, po zaledwie dwóch latach firma musiała zwinąć działalność, nie sprostawszy własnym obietnicom i rozbudzonym nadziejom.

Hello poszło tym samym w ślady Kamila Adamczyka. Nasz zdolny rodak już kilka lat wcześniej zaprojektował maskę NeuroOn, która także była krótkotrwałym hitem Kickstartera. Urządzenie przypominające gogle narciarskie obiecywało redukcję potrzeby snu nawet do dwóch godzin dzięki monitorowaniu jego faz (zamiast spać dużo, śpij mądrze!). Niestety, pierwotne ambitne obietnice trzeba było błyskawicznie zredukować, w miarę jak urządzenie z pomysłu miało zamienić się w rzeczywistość.

Jeszcze bardziej fantastycznie przedstawiają się założenia urządzenia Valkee,

reklamowanego także jako „ładowarka do ludzi” (*human charger*). Jego autorzy przeprowadzili na jednym z fińskich uniwersytetów badania, które mają potwierdzać, że mózg reaguje na światło dostające się nie tylko przez oczy. Zaprojektowali więc maszynkę wyglądającą jak elegancki odtwarzacz mp3, która jednak zamiast odtwarzania muzyki przez słuchawki, świeci nam przez uszy wprost do mózgu specjalnie zaprojektowanymi lampkami LED.

Brzmi zbyt dziwacznie, żeby było prawdziwe? Wygląda na to, że niestety tak. Dostępne naukowe opracowania nie potwierdzają skuteczności działania „ładowarki do ludzi”.

A także snu polifazowego, sleep hackingu oraz skuteczności którejkolwiek z innych cudownych metod i gadżetów, którym próbowałem się przyjrzeć z nadzieją, że zrewolucjonizują moje nocne życie.

Akt trzeci: Trener

„Odbyna się właśnie rewolucja, jeśli chodzi o myślenie o śnie. Nazbyt długo stanowił on aspekt naszego życia przyjmowany jako coś oczywistego, bezrefleksyjne. Świadectwa historyczne wskazują, że z biegiem lat przypisywaliśmy spaniu coraz mniejsze znaczenie (jednocześnie przeznaczaliśmy coraz mniej godzin na sen). Tymczasem mamy coraz więcej dowodów naukowych na istnienie powiązań między złymi nawykami dotyczącymi spania a mnóstwem problemów zdrowotnych i psychologicznych – od cukrzycy typu II, chorób sercowo-naczyniowych i otyłości po nerwicę, depresję i wy-

palenie zawodowe. Najwyższy czas zwrócić baczniejszą uwagę na kwestie snu”.

To cytat z książki Nicka Littlehalesa, który reklamuje się jako „trener snu gwiazd”. „To wąska specjalizacja, której nie znajdzie się na lokalnej tablicy ogłoszeń z ofertami pracy, a to dlatego, że w dużej mierze sam ją stworzyłem” – wyjaśnia skromnie.

O jego wiarygodności nie decydują stopnie naukowe ani nawet osobista historia o odmienionym życiu, lecz to, z kim pracował. Nim rozpoczęła się jego spektakularna kariera, Littlehales był sprzedawcą w sklepie z materacami. Dzięki wytrwałości i docieklowości zdobył pierwszy kontrakt na współpracę z drużyną piłkarską Manchester United. A dalej poszło już ekspresowo. Arsenal, kolarska potęga Team Sky, Cristiano Ronaldo... Wszędzie zadaniem Littlehalesa było usprawnienie procesu odzyskiwania sił (*recovery*). Bo tym właśnie jest dla niego sen. Procesem odnowy, który można usprawnić poprzez właściwe światło, temperaturę, ciszę, okres przygotawczy, dobór materaca, a nawet odpowiednią pozycję (Littlehales uznaje wyłącznie spanie na boku).

„Przejmij kontrolę nad odzyskiwaniem sił” – obiecuje w swojej książce „Wyśpij się”. Przepis na sukces układa z mieszanki plotkarskich portali i diety paleo. Littlehales łączy obietnicę, że poznawszy sekrety gwiazd, staniemy się trochę podobni do nich, z naiwnym opowiadaniem o „paleolitycznych nawykach”. Naturalny rytm dobowy i czujny sen przy ognisku są dobre, cywilizacja (centralne ogrzewanie, światło, ekrany) →

REKLAMA

Sprzedaj używane książki w Tezeuszu – największym antykwariacie w Polsce!



Wszystko
załatwimy
za Ciebie



Szybka
wycena
książek



Miejsce
na nowe
książki



Recykling
literatury

Działamy na terenie całego kraju! Bezplatny dojazd i odbiór książek! Płatność gotówką przy odbiorze. Interesują nas także duże zbiory instytucjonalne, wycofywane z bibliotek. Mniejsze zbiory możesz sprzedać samodzielnie na www.skupksiazek.pl

tel. +48 539 915 890
kontakt@skupksiazek.pl
www.skup.tezeusz.pl



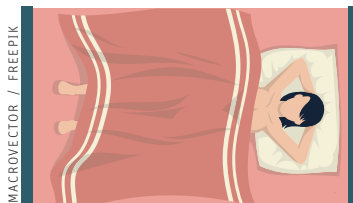
→ – zła. Oprócz tego, co z nią robi Cristiano Ronaldo, bo przecież gwiazdy nie mogą się mylić.

Choć Littlehales deklaruje, że jest przeciwnikiem cywilizacyjnej pogoni za sukcesem, najwyższą wartością w jego opinii o snie jest wydajność. Chodzi o to, aby z każdego aspektu życia wycisnąć więcej, przekraczać swoje granice, dokończyć niemożliwego. „Najwyższa pora przestać tracić czas na sen bez korzyści!” – apeluje Littlehales, zalecając wszystkim swój system R90 opracowany zgodnie z technologią „akumulacji zysków marginalnych”, czyli pedantycznego zarządzania licznymi drobiazgami, które składają się na końcowy sukces.

To kolejny ciekawy przykład, jak współczesny sport wyczynowy staje się laboratorium dla nowoczesnego kapitalizmu. To tutaj testuje się, wdraża i oswaja społeczeństwo ze specyficznym myśleniem o ciele, relacjach społecznych, zmienianiu ludzi w marki itp. Sport, zwłaszcza zaś futbol, jest doskonałym wehikułem marketingowym, poligonem testowym, a także źródłem społecznych dowodów słuszności w postaci biografii charyzmatycznych idoli.

Zakończenie: Proste i trudne

Jeżeli każdego ranka budzisz się wypasany/wypasana, to nie potrzebujesz poradnika, jak spać, ani nowego supermateraca. A już na pewno żaden gadżet ani napój energetyczny nie zastąpi zalecanych ośmiu godzin snu. Natomiast jeżeli mimo kładzenia się do łóżka o rozsądnej porze masz problemy z zasypianiem



FAKTY I BZDURY NA TEMAT SNU

ZBUNTOWANE NASTOLATKI

Dzieci na ogół robią się śpiące wcześniej. Nastolatki natomiast mają silne przesunięcie rytmu dobowego ku wieczorowi. To nie kwestia buntu, kaprysu i nocnego siedzenia na komunikatorach, lecz biologii. Oznacza to, że pomysł pod tytułem „lekcje w liceum na godzinę ósmą” po prostu nie ma szansy się udać. Niestety, szkoła, której zadaniem jest przekazywanie młodzieży zdobyczy nauki, sama okazuje się zaskakująco na te zdobycze odporna.

SKOWRONKI I SOWY

Choć chronotypy brzmią trochę jak znaki zodiaku, są potwierdzonym naukowo faktem. Wśród nas naprawdę są skowronki i sowy. Niektóre osoby mają zegar biologiczny naturalnie przesunięty w kierunku wczesnego wstawania, podczas gdy inne pełną sprawność osiągają dopiero później – przy czym większość osób mieści się gdzieś pośrodku. Nie wiemy dokładnie, co kształtuje chronotypy, choć istnieją solidne przesłanki, że przynajmniej częściowo są one zdeterminowane genetycznie. Do ustalania chronotypów służą zaprojektowane przez naukowców kwestionariusze.

i chroniczne objawy niewyspania – być może pora skonsultować się ze specjalistą. Nie z internetem, nie z sympatyczną panią z reklamy, ale z lekarzem. Spanie jest w normalnej sytuacji zadaniem prostym, niewymagającym wcale specjalistycznego sprzętu ani instrukcji obsługi. Nie dajmy sobie wmówić, że jest inaczej.

A jednak, choć spanie jest proste, sen jest zjawiskiem naprawdę niezwykle złożonym, w dodatku wciąż słabo poznany. Popularyzatorzy naukowej wiedzy o snie mają pełną rację! Być może tu właśnie kryje się źródło naszego niepokoju? Nie w tym, że oto – jak przekonują obwoźni sprzedawcy dobrych snów – odkryliśmy już najgłębsze sekrety Morfeusza, lecz właśnie w złożoności zjawiska, które dopiero zaczynamy rozumieć. Choć sen jest w świecie zwierząt powszechny, nadal niewiele wiemy zarówno o jego ewolucji, jak i podstawowych funkcjach. Każdy rok przynosi nowe odkrycia ukazujące związki snu z zapamiętywaniem, przetwarzaniem informacji, a nawet nawiązywaniem relacji międzyludzkich (i międzyzwierzęcych). Zważywszy, że sen wypełnia trzecią część naszego życia, wciąż wiemy o nim zaskakująco mało. To właśnie w tej strefie cienia między całkowitą nieświadomością a pogłębionym zrozumieniem biologicznych mechanizmów doskonale rozwijają się różne formy społecznego zarządzania niepokojem: mody, style życia, technologiczne innowacje i biznesy. Dajmy się snem zafascynować. Nie dajmy się zastraszyć.

Na dziś to tyle. Dobranoc. Spokojnych snów. © MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grzyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczyńska (kierownik), Anna Dziurdzikowska,
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Manciewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech
Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek
Dobroch, ks. Andrzej Draguta, Jakub Dymek, Jarosław
Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał
Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena
Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P.
Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław
Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA



S-NET zapewnia
wsparcie technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie
drukuję „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



„TP” 28 / 2020

Ochrona życia

Serdecznie dziękuję „Tygodnikowi” za tekst „U nas dzieci nie umierają” – wywiad Anny Kiedrzynek z lekarzem hospicyjnym Michałem Błochem. Przez wiele lat pracowałam jako nauczyciel dzieci z upośledzeniem umysłowym, któremu często towarzyszyły również inne problemy zdrowotne. Zawsze oburzały mnie hałaśliwe akcje tzw. obrońców życia – ich walka o karanie i odsadzanie od czi przede wszystkim matek (a gdzie ojcowie?), które nie były w stanie udźwignąć decyzji o urodzeniu dziecka z ciężkimi, nieodwracalnymi wadami. Nie widziałam, by ludzie z tego grona wspomagali naszą szkołę czy jako wolontariusze odwiedzali rodziny z upośledzonym dzieckiem. Natomiast zdarzało mi się widzieć niechętnie spojrzenia i słyszeć komentarze, że dzieci te przeszkadzają w kościele, sklepie czy środkach komunikacji miejskiej. Ogromnie podziwiam i darzę szacunkiem pana Michała Błocha. W Lublinie podobnie działa ojciec dr Filip Buczyński, franciszkanin, psychoterapeuta, założyciel i prezes lubelskiego Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia. Ludzie, którzy naprawdę

pomagają, nie oceniają, nie piętnują. Ci, którzy najgłośniej krzyczą i tworzą paragrafy, nigdy – podejrzewam – nie spędzili z takimi dziećmi jednego dnia. Ciekawe, czy dożyje czasu, gdy w chrześcijańskiej Polsce XXI wieku stworzony zostanie system, który pozwoli godnie zaopiekować się takimi dziećmi od ich narodzin do naturalnej śmierci.

BOŻENA MOSKAL

„TP” 29 / 2020

Bóg, w którego wierzę

Od dłuższego czasu nurtuje mnie temat grzechu pierworodnego, dlatego wdzięczna jestem za tekst „Święci potępięcy” autorstwa Józefa Majewskiego. Życie nauczyło mnie, że próbując opisać niepojęte, wpadamy w pułapkę pojęć, które mają oddać sens, gubią go albo zniekształcają. W kontekście grzechu pierworodnego takiej pokusy zniekształcenia ulegamy, jak mi się wydaje, nie biorąc pod uwagę czasu, który w Bogu nie istnieje. Kiedy Chrystus umarł za człowieka, który u zarania dziejów zgrzeszył (stając się „nieprzyjacielem Boga”), bramy raj na powrót się otwały dla wszystkich ludzi wszystkich czasów i pokoleń. Także dla tych, którzy żyjąc przed Chrystusem nie znali chrztu w Jego imię, oraz dla tych, którzy po Chrystusie nie mieli możliwości poznania Go jako Boga jedynego. Będąc uwikłani w czas, nie jesteśmy w stanie pojąć Bożej perspektywy, wyjść poza przed–po, wczoraj–jutro. Wieczne trwanie Boga w nieustannym „teraz”

wymyka się rozumowi. Może w tym tkwi błąd formułowania kategoriycznych osądów, stanowienia wykluczająco-włączającej normy, czarno-białego postrzegania kwestii winy, kary, odpowiedzialności, odkupienia. Może rzeczywiście nadchodzi czas, by przemyśleć i przedefiniować wykładnię doktryny o grzechu pierworodnym w świetle Miłości, która w Chrystusie dała nam na nowo utracony przez grzech prarodziców przystęp do Ojca. Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić Jezusa mówiącego: „Tato, umarłem tylko za niektóre z Twoich dzieci”. Taki bóg nie byłby Bogiem, w którego wierzę.

JADWIGA BESTER

„TP” 30 / 2020

Ślub prezesa

Mam łzy w oczach, gdy myślę o ślubie Jacka Kurskiego w łagiewnickim sanktuarium [były prezes TVP, w asyście m.in. Jarosława Kaczyńskiego, żenił się po raz drugi: jego poprzedni związek, trwający kilkanaście lat i owocujący trójką dzieci, został uznany za nieważny – red.]. Od 20 lat jestem w związku niesakramentalnym i nie mam oczywiście możliwości przystąpienia do komunii. Bardzo mnie to boli, ale traktuję to jako ponoszenie

konsekwencji wyboru, którego dokonałam. Mój mąż jest rozwodnikiem z bezdzietnego związku. Nawet do głowy nam nie przyszło, by występować o unieważnienie jego ślubu – byłoby to jak policzek dla byłej żony, jak skreślenie lat, które spędzili razem. Dopiero to, moim zdaniem, byłoby wysoce niemoralne. Jestem praktykującą katoliczką. Dzisiaj czuję się, jakby polski Kościół splunął mi prosto w twarz. To jest chyba ta kropka, która przełamała czarę. Zawsze, nawet wysłuchując jakichś kompletnych bzdur na kazaniu, myślałam, że jestem w kościele dla Boga, nie dla księdza, ale dzisiaj czuję autentyczny wstręt na myśl o „wizycie” w kościele. Na szczęście są internetowe transmisje łódzkich dominikanów.

MAGDALENA

Sprostowanie

W związku z opublikowaniem w dniu 29 czerwca 2020 roku artykułu pt. „Komu zabrakło kultury” autorstwa Dariusza Kosińskiego informujemy, że nie jest prawdą, jakoby „strona rządowa” wydała polecenie zdjęcia prac Natalii LL w Muzeum Narodowym w Warszawie.

ANNA PAWŁOWSKA-POJAWA,
dyrektor Centrum
Informacyjnego
Ministerstwa Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

■■■

Prawo Prasowe zabrania nam ustosunkowania się do powyższego sprostowania w momencie jego publikacji. Uczynimy to za tydzień.

REDAKCJA

„TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Autorzy
opublikowanych
listów dostaną
od nas notes
TUROWICZ
na 75-lecie.



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

PAWEŁ

Śpiewak: *Abram, syn Teracha*



HISTORIA WIEŻY BABEL NAGLE SIĘ URYWA i opowieść powraca do dziejów potomków Noego. „Po narodzeniu Teracha żył Nachor sto dziewiętnaście lat i zrodził synów i córki. A oto dzieje rodu Teracha. Terach zrodził Abrama, Nachora i Harana, a Haran zrodził Lotę”. Przodkowie Abrama mieszkali w Ur chaldejskim. Tam Abram pojął Saraj za żonę. „A Saraj była niepłodna”. Terach z rodziną wyruszył z Ur do Kanaanu, zatrzymał się w Haran, gdzie umarł. Jego syn Abram na niespodziewane wezwanie Boga ruszył dalej, do ziemi, której imienia nie znał.

Jaki jest związek między historią Babel a wezwaniem Boga? Powiada się, że wraz z rozproszeniem ludów kończy się prehistoria. Ale sens tych zdarzeń wydaje się poważniejszy. Z budową wieży Babel zamyka się w sumie nieudany etap nauczania jednocześnie całej ludzkości. Bóg nie znajdował w tym zbiorowisku dobrych słuchaczy. Pokolenie potopu skończyło się zepsuciem etycznym. Pokolenie wieży Babel chciało o Bogu zapomnieć. Pan wybrał inną drogę wychowania i doskonalenia ludzi: wskazał na jedną rodzinę, która zamieniła się z czasem w liczny naród, by zachowując swoją odrębność, żyjąc w posłuszeństwie Bogu, dbając o Jego nakazy, stali się Jego świadkami i by przez Abrama – jak czytamy w Torze – byli „błogosławione wszystkie plemiona ziemi” (Bereszit 12, 3).

Pojawia się idea narodu wybranego. A jego założycielem i ojcem był właśnie Abram, zwany później Abrahamem. Nie wiemy, dlaczego Bóg wybrał właśnie jego. Nie mamy pojęcia o 75 latach jego życia, gdy mieszkał w Ur i w Haran. Nie znamy jego duchowej drogi. Liczne midrasze są tu oczywiście pomocą, ale Tory nie zastąpią. Powiada się, że ojciec Abrama miał sklepik z figurami bożków. Pewnego razu zostawił interes pod opieką syna, a gdy wrócił, zobaczył, że wszystkie figurki są potłuczone. Zapytał, jak to się stało. Abram wyjaśniał długo, jak to bożki się pokłóciły o jedzenie i żaden nie chciał ustąpić. Jakże to, zapytał ojciec, przecież te figurki są wystrugane z drewna lub zrobione z kamienia. Same nic nie mogą zrobić. Wtedy Abram rzekł: no właśnie, składacie ofiary tym bogom, karmicie i obspijacie kwiatami czekając, że zesłą wam łaski, a przecież są tylko ludzkim tworem i nic same uczynić nie potrafią. Abram – jak wynika z tej opowieści – był pierwszym, który odkrył monoteizm i odrzucił politeistyczne bajania. Odkrył nie dzięki objawieniu. Zrozumiał, jak prawdziwy filozof, że za wszystkimi zjawiskami tego świata stoi On podtrzymujący ład natury i tylko Bóg jedyny zdolny jest prowadzić ludzi drogą sprawiedliwych. Midrasz uzasadnia wybór Abrama. Kim był, w istocie nie wiemy. Wiemy jeszcze, że gdy przybył do Kanaanu, do Betel, po raz pierwszy objawił mu się Bóg. I w tym miejscu Abram zbudował ołtarz. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Cud nasz powszedni*



JEZUS PIĘCIOMA CHLEBAMI I DWIEMA RYBAMI nakarmił „około pięciu tysięcy mężczyzn, nie licząc kobiet i dzieci”. A tak na marginesie, *à propos* tego pominięcia kobiet i dzieci. Przeciwnicy np. udzielania kobietom święceń kapłańskich twierdzą, że skoro Jezus, powołując apostołów, pominął kobiety, to znaczy, że Kościół też powinien tak robić. W opowiadaniu o pięciu chlebach mamy jednak nowy wątek w tej sprawie. W przeciwieństwie do Jezusa, który zatroszczył się o wszystkich bez wyjątku, nakarmił wszystkich, autor Ewangelii dostrzega tylko mężczyzn, natomiast kobiety i dzieci się nie liczą. Nawet przy stole.

Zanim doszło do cudu rozmnożenia chleba, odbyła się rozmowa uczniów z Jezusem. „Wieczorem podeszli do (Jezusa) uczniowie i rzekli: Miejsce to jest odludne i jest już późno. Odeślij ludzi do wsi, aby kupili sobie żywności. Lecz Jezus odpowiedział: Nie muszą odchodzić. Wy dajcie im jeść!”. Jezus wykorzystuje zwyczajną sytuację, żeby pokazać uczniom, o co tak naprawdę w życiu chodzi.

Uczniowie naraz znaleźli się w sytuacji, której sami zaradzić nie mogli, a może nawet nie sądzili, że powinni się nią zająć, szukając rozwiązania. Zwyczajnie, postępowali zgodnie z rozumem. Skoro nie ma jedzenia, trzeba je zdobyć, najprościej drogą kupna. Żadna to filozofia. Jezus jednak nie godzi się na tak łatwe zrzucenie z siebie i uczniów odpowiedzialności za tych, którzy im zaufali. Stąd to „Wy dajcie im jeść!”. Przenieśmy teraz to wydarzenie z przeszłości do naszych czasów.

Nieustannie zapewniamy wszystkich wkoło, że ten sam Jezus z Ewangelii żyje i działa w i przez Kościół. Dlatego np. w modlitwie powszechnej przypominamy Jezusowi i polecamy Mu wielkie sprawy i nieszczęścia, jak wojny, pandemie, ubóstwo, migracje, jak też chorych, bezrobotnych, umierających, ale i szukających męża, lepszej pracy, zgody w rodzinie, prosimy o słoneczną pogodę albo o deszcz. Żeby te nasze modlitwy były skuteczniejsze, mnożymy nabożeństwa, wydłużamy czas modlitw, podpierając je hojniejszymi ofiarami „na Kościół”. Czasami, a może i nazbyt często, postępujemy tak, jakbyśmy nie pamiętali o owym „Wy dajcie im jeść!”. Wy, Kościół, zajmijcie się tymi nieszczęściami. Dopiero wtedy, gdy do cierpiących ludzi i cierpiącej Ziemi ruszymy z pomocą, zaczną dziać się cuda. Nie jako nadnaturalne zjawiska, ale całkiem powszednie.

Jezus przez nas odpowie szukającym u Niego ratunku. W ten sam sposób przyjdzie z pomocą również nam i wtedy miłość Boga objawi się nam na nowo. Zobaczymy, że rzeczywistość jesteśmy słowem i czynem Boga, Jego słowem i Jego czynem, a więc Ciałem. Adoracja zawsze prowadzi do działania, i odwrotnie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Sprawiedliwość

Rzeczy są poza umysłem,
ale ich obrazy pojęciowe
kształtują się
wewnątrz umysłu.
Zatem umysł
jest zdolny używać
tych obrazów dobrze lub źle.

MAKSYM WYZNAWCA



Jak ryba wyciągnięta z wody
i wyrzucona na ziemię,
co rzuca się i szamocze,
taki jest umysł
rozgorączkowany
pragnieniami.

BUDDA GAUTAMA



DZIŚ RZECZYWIŚCIE „okruch” – intuicja możliwie najmniej, najdrobniejszy drobiazg – malutki, a otwierający potężną przestrzeń, w której, jak z wysokości dominującego szczytu, pełną piersią nabiera się kompletnie innego oddechu. Chodzi mi o pieśń – psalm zapisany przez proroka Izajasza w 26. rozdziale jego księgi. Otwiera go zdanie: „Ścieżka sprawiedliwego jest prosta, Ty równasz drogę sprawiedliwego” (Iz 26, 7).

Modliłem się ostatnio tym tekstem, sięgając po nabyty przeszło 30 lat temu w Londynie egzemplarz „Biblii Jerozolimskiej”. I tu – zaraz na wstępie – absolutne zdumienie: w zapisie „Biblii Jerozolimskiej” nasz tekst przedstawia się następująco: „Ścieżka Sprawiedliwego (albo jeszcze lepiej: Tego, który jest Sprawiedliwy) jest prosta; Ty równasz drogę sprawiedliwego” („*The path of the Upright One is honest; you smooth the honest way of the upright*”).

Tak więc to samo słowo „sprawiedliwy” użyte jest w tej edycji Pisma najpierw do Boga („Sprawiedliwy”), a potem do człowieka („sprawiedliwy”). Bóg jest pierwszy na drogach sprawiedliwości, wędruje nimi jako pierwszy; człowiek uczy się sprawiedliwości, wędrując po śladach Boga. O tym zresztą Izajaszowy psalm mówi dwa wersety dalej: „bo gdy Twe sądy ukazują się

na ziemi, mieszkańcy świata uczą się, czym sprawiedliwość jest” (Iz 26, 9b).

Jakiej sprawiedliwości uczy się człowiek, idąc za Tym, który jest Sprawiedliwy?

„Biblia Jerozolimska” używa tu określenia: „sprawiedliwość zbawcza” (zbawiająca, uzdrawiająca – ang. *saving justice*): widząc Boże sądy, „mieszkańcy świata uczą się, czym jest zbawcza sprawiedliwość”.

W naszym świecie żądanie sprawiedliwości – czy też powoływanie się na nią (również przez chrześcijan) – jest więcej niż powszechne. Ile wszakże w owych postulatach czy deklaracjach kryje się Bożego rozumienia sprawiedliwości, która „zbawia” (a więc przemienia człowieka, uzdrawia go, podnosi z popełnionego zła, „resocjalizuje”)?

Nieraz – mówi dalej w swym psalmie Prorok – ów głośny i natrętny krzyk o sprawiedliwość jest jak krzyk kobiety z urojoną ciążą: „Poczęliśmy, wiliśmy się w bólu, ale urodziliśmy tylko wiatr” (w. 18).

Za to Ten, który jest Sprawiedliwy nie tylko potrafi dać życie; On potrafi wskreszyć umarłych: „ożyją Twoi umarli, zmartwychwstaną ich trupy, obudzą się i krzykną z radości spoczywający w prochu” (w. 19). Właśnie tak: Boża sprawiedliwość osiąga swój cel nie wtedy, gdy zabija, ale wtedy, gdy wskrzesza! Również z zawinionej śmierci. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (2 – 9 VIII)

18. niedziela zwykła: Iz 55, 1-3; Ps 145;

Rz 8, 35. 37-39; Mt 14, 13-21;

Poniedziałek: Jr 28, 1-17; Ps 119;

Mt 14, 22-36;

Wtorek: Jr 30, 1-2. 12-15. 18-22;

Ps 102; Mt 15, 1-2. 10-14;

Środa: Jr 31, 1-7; Jr 31; Mt 15, 21-28;

Czwartek: Dn 7, 9-10. 13-14; Ps 97;

2 P 1, 16-19; Mt 17, 1-9;

Piątek: Na 2, 1. 3; 3, 1-3. 6-7;

Pwt 32; Mt 16, 24-28;

Sobota: Ha 1, 12 – 2, 4; Ps 9; Mt 17, 14-20;

19. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 9a. 11-13a;

Ps 85; Rz 9, 1-5; Mt 14, 22-33.

Wybrał PIOTR SIKORA



KRAJ

PROSIMY SPRÓBOWAĆ PONOWNIE

Kontrolują kolonijne stołówki, na zapleczach restauracji sprawdzają, czy droga naczyń brudnych nie przecina się z drogą czystych – tak kojarzyli się do tej pory. Dziś sanepid jest na froncie walki z pandemią.

MACIEJ MÜLLER

W punkcie poboru próbek do testów na obecność COVID-19. Leszno, 22 czerwca 2020 r.

stała teściowa, która przyjechała pomóc przy dziecku. A potem teść. Powtarzany w mediach przekaz rządu był jasny: podejrzewasz infekcję, dzwoni do lokalnej stacji sanepidu. Był 10 marca.

Marcin: – Wszedłem na stronę i wynotowałem telefony, bo podano kilka numerów przydzielonych do różnych godzin. Szybko odkryłem, że bez względu na porę i numer telefon był zajęty. Na jednej z linii można było czekać, automat podawał, że czas oczekiwania to pięć godzin. Próbowalem łączyć się w ten sposób, ale po upływie wskazanego czasu sygnał zmieniał się tak, jakby ktoś miał odebrać, po czym mnie rozłączało. Po dwóch razach dałem sobie spokój. Próbowala jeszcze żona, ale też bez skutku.

Zajęte

Okres lockdownu oznaczał dla sanepidów urywające się telefony, a dla podejrzewających u siebie zakażenie – doświadczenie wielogodzinnego wiszenia na linii. Popularność zdobyła aplikacja automatycznie ponawiająca połączenie. Niektórzy chwalili się, że po kilkuset próbach ktoś odebrał. I radzili, by dzwonić w nocy.

Podobne historie nie dziwią dr. Marka Posobkiewicza, Głównego Inspektora Sanitarnego w latach 2012-18, który podczas walki z pierwszą falą pandemii pracował w jednym ze szpitali jednoimienych jako koordynator ds. oceny ryzyka COVID-19. I nie uważa, by zawiniły tu braki kadrowe albo niedobór narzędzi informatycznych. – Problemem jest skala – tłumaczy. – Były momenty, kiedy na kwarantannie przebywało sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Dyżurujących pracowników zawsze było wielu, ale i tak za mało, by z wszystkimi porozmawiać i uniknąć błędów. Obecnie sytuacja jest o niebo lepsza, m.in. dzięki wprowadzeniu elektronicznego systemu rejestracji zakażonych i poddanych kwarantannie.

Mijały dni, temperatura nie spadała; Marcin Jakubioneck postanowił zadzwonić do lekarza rodzinnego. Ten zrobił telefoniczny wywiad i stwierdził: grypa. Przepisał leki przeciwwirusowe i polecił zażywać ibuprofen. Marcin: – Przez jakiś czas eksperci twierdzili, że on wzmaga

objawy [doniesienia okazały się nieprawdziwe – red.], ale tylko dzięki niemu mogłem przez dwie-trzy godziny funkcjonować w miarę normalnie.

Tymczasem u teściów Marcina choroba przyjęła drastyczną formę: doszły duszności. – Nie mieli kontaktu z nikim, kto wracał z zagranicy, więc lekarze przekonywali, że to grypa.

Ostatecznie teściowie Marcina zostali hospitalizowani, a testy wykazały zakażenie SARS-CoV-2. – Wcześniej, kiedy prosili o test, powtarzano im z uporem, że to nie może być COVID-19 – wspomina mężczyzna. – Pomyślałem, że jeśli dodzwoniłbym się do sanepidu, usłyszałbym to samo.

Kryterium

Jakubioneck ma rację. Przez bardzo długi czas do testu kwalifikowało tylko jednoczesne spełnienie dwóch kryteriów: klinicznego (objawy, jak gorączka, duszności, utrata węchu) i epidemiologicznego (podróż do regionu z dużą liczbą zakażeń bądź kontakt z osobą, która stamtąd przyjechała). To dlatego chorzy tacy jak Marcin i jego bliscy słyszeli: grypa, test się nie należy. Zaczęło się to zmieniać dopiero pod koniec pierwszego miesiąca lockdownu. 23 marca Główny Inspektor Sanitarny opublikował nową „Definicję przypadku na potrzeby nadzoru nad zakażeniami”, w której osłabił wagę kryteriów epidemiologicznych, a dzień później wydał komunikat: „Nie ma możliwości odmowy wykonania testów w kierunku koronawirusa, jeśli jest wskazanie lekarskie”, czyli pacjent ma objawy niewydolności oddechowej, gorączkę, kaszel, duszności. „Nie jest konieczne spełnienie żadnych dodatkowych kryteriów epidemiologicznych” – głosił komunikat.

Niemniej jeszcze w kwietniu lekarze szpitalni oraz chorzy z ewidentnymi objawami COVID-19 skarżyli się, że od sanepidu odbijają się jak od ściany – inspektorzy nie zgadzali się na testy bez spełnienia kryterium epidemiologicznego. Powód może być trywialny. Na poziomie Ministerstwa Zdrowia czy GIS deklarowano dostęp do testu dla każdego potrzebującego, w terenie wiedzano, że testów po prostu brakuje. Dlatego ściśle je reglamentowano. Do tego dochodził problem małej liczby laboratoriów mających sprzęt do badań PCR. W dodatku nierównomiernie rozmieszczonych. ➔

MARCIN JAKUBIONEK, GRAFIK KOMPUTEROWY z Krakowa, zachorował na początku marca. Najpierw jego syn przywłókł jakąś infekcję z przedszkola. – Tak działa się co roku: najpierw chorował on, potem jego zarazki powalały mnie. Ale nigdy przedtem nie doszedłem do temperatury powyżej 41 stopni. Bolały mnie też mięśnie, kości i stawy – wspomina.

COVID-u nie brał pod uwagę, bo pediatra stwierdził u syna bakteryjne zapalenie płuc – pomógł mu antybiotyk. Poza tym nie widzieli się z nikim, kto wrócił do Polski z Chin, Włoch czy Szwajcarii. Zaniepokoił się, kiedy zapalenia płuc do-

→ Celem działań służby sanitarnej jest przerywanie łańcuchów transmisji koronawirusa. Chodzi o to, by możliwie szybko namierzyć osoby zakażone i ich kontakty, po czym je odizolować. Gdy potencjalnie chorzy muszą tygodniami czekać na test, ani zakażenia nie są identyfikowane, ani kontakty monitorowane, strategia walki z wirusem pozostaje modelem skutecznym na papierze.

Pionizacja

Sprawdzają, czy woda w basenie jest czysta, wycofują ze sklepów partie skażonych parówek czy złe zapakowanej fasolki. Kontrolują kolonijne stołówki, na zapleczech restauracji sprawdzają, czy droga naczyń brudnych nie przecina się z drogą czystych. Z takimi działaniami kojarzyli się do tej pory inspektorzy sanepidu. Od prawie pół roku znajdują się na froncie walki z pandemią SARS-CoV-2.

– Służba sanitarna powstała sto lat temu i od tamtego czasu pełni różne funkcje – mówi Marek Posobkiewicz. – Pilnuje bezpieczeństwa żywności, wody do picia i tej w kąpieliskach, bezpieczeństwa związanego z higieną pracy i epidemiologicznego. Opanowuje ogniska chorób zakaźnych i pokarmowych, ale także tworzy program szczepień ochronnych. W ostatnim dziesięcioleciu Państwowa Inspekcja Sanitarna mierzyła się też z problemem dopalaczy, choć trzeba pamiętać, że nie posiada uprawnnień organów ścigania, a tylko administracyjne.

W całym kraju PIS zatrudnia ok. 16 tys. osób, wliczając w to pracowników administracji, kierowników itd. Potocznie o każdym kontrolerze z sanepidu mówi się „inspektor”; tymczasem inspektorami *de iure* są tylko szefowie poszczególnych stacji i ich zastępcy. Pozostały personel to pracownicy PIS – przydzielani do różnych sekcji. Z koronawirusem walczą ci z epidemiologicznej.

Przed reformą, wprowadzoną rzutem na taśmę w lutym tego roku (postulowaną od lat, a procedowaną od miesięcy), PIS była zdecentralizowana. Stanowiła sieć – ale tylko pozornie. Szef całości, czyli Główny Inspektor Sanitarny, nie powoływał bowiem inspektorów wojewódzkich (robił to wojewoda, za zgodą GIS) ani powiatowych (powoływanych przez starostę). Urzędnicy ci nie odpowiadali więc przed nim (z wyjątkiem kwestii merytorycznych), ale przed rzeszonymi urzędnikami. Stacje powiatowe nie odpowiadały

natomiast przed wojewódzkimi. Reforma polegała na wyjęciu stacji powiatowych spod nadzoru samorządów i przekazaniu ich wojewodom; z kolei szefów stacji wojewódzkich mianuje odtąd GIS.

Celem zmian miało być m.in. wprowadzenie jednolitych w całym kraju procedur kontroli. Główny Inspektor dostał też do ręki możliwość przerzucania pracowników z miejsca na miejsce, co okazało się na wagę złota w momencie zapaści epidemicznej na Śląsku, w pierwszej połowie maja.

Sledztwo

W kwietniu Marcinowi Jakubionkowi spadła temperatura, ale wciąż bolały go płuca. Stracił 10 kilogramów. Ponownie zadzwonił do lekarza rodzinnego. – Spytał, czemu nie skontaktowałem się z sanepidem – wspomina Jakubionek. – Poradziłem mu, żeby sam spróbował. Pół godziny później oddzwonił i powiedział, że porozumiał się ze szpitalem w Prokocimiu i że mam tam wykonać test. Pojechałem 6 kwietnia, wynik okazał się pozytywny. Dzień później zadzwonili z sanepidu. Próbowali ustalić, gdzie mogłem się zakazić, ale nie doszliśmy do konstruktywnych wniosków. Nałożyli kwarantannę na mnie i całą rodzinę.

– W przypadku każdego pozytywnego testu pracownicy PIS prowadzą dochodzenie epidemiologiczne – tłumaczy Marek Posobkiewicz. – Rozmawiają z zakażonym, ustalają jego kontakty służbowe i prywatne z ostatnich dni, dzwonią do tych ludzi. Czasem chodzi o kilka lub kilkanaście osób, ale niektórzy mają tak aktywne życie zawodowe, że w grę wchodzi nawet powyżej setki. A wszyscy oni muszą zostać objęci kwarantanną wraz ze współmieszkańcami.

Dochodzenie epidemiologiczne prowadzi na ogół kilku pracowników według ścisłych procedur. Przykład? – Założmy, że pan się spotkał z osobą zakażoną, a ja z panem. Sanepid na tym etapie nie zainteresuje się mną, ponieważ kontakt z kontaktem nie jest kontaktem – wyjaśnia dr Posobkiewicz. – Ale gdyby u pana rozwinęło się zakażenie, sanepid sprawdzi, kiedy się spotkaliśmy. Jeśli np. dzień po pana kontakcie z zakażonym, to mnie nic nie grozi, bo infekcja u pana jeszcze się wtedy nie zdążyła rozwinąć. Dochodzenie jest pełne tego typu szczegółów. A elementów komplikujących jest wiele, żeby

wspomnieć tylko o wynikach fałszywie dodatnich i fałszywie ujemnych.

Aplikacja

Pracownicy Państwowej Inspekcji Sanitarnej nie opisali Marciniowi dokładnie, na czym polegają ograniczenia związane z kwarantanną – miał je sam sprawdzić w internecie. I zainstalować sobie obowiązkową aplikację „Kwarantanna domowa”, przygotowaną przez Ministerstwo Cyfryzacji. Użytkownik w losowo wybranych godzinach dostaje powiadomienie, że ma 20 minut, by wykonać w aplikacji *selfie*. Władze sprawdzają w ten sposób, czy przebywa w miejscu zamieszkania.

– Nie ściągnąłem tej aplikacji – mówi Marcin. – Nie byłem w stanie zainstalować jej w telefonie, zresztą byłem wściekły na sanepid. Zainteresowali się mną dopiero, kiedy wykonano mi test. Poza tym sam na siebie nałożyłem kwarantannę już w momencie, kiedy zachorował syn. Niemniej codziennie przychodził ktoś z policji albo z Wojsk Obrony Terytorialnej. Musieliśmy wtedy wychodzić na balkon albo po kolei zgłaszać się przez domofon. Funkcjonariusze byli mili, zawsze pytali, czy nie potrzebujemy pomocy.

Do Chin daleko

Czy sanepid wykazał się brakiem kompetencji? Zawinił niski poziom informatyzacji? Nie jest tajemnicą, że podstawowym narzędziem pracowników pozostaje skoroszyt i arkusz kalkulacyjny. Krzysztof Łanda, wiceminister zdrowia w latach 2015-17, założyciel Fundacji Watch Health Care, która zajmuje się m.in. sprawdzaniem dostępności świadczeń zdrowotnych i mierzeniem kolejek do nich, nie zarzuca inspektorom braku wykształcenia. – Temat chorób zakaźnych, bakteryjnych, wirusowych czy wywołanych przez grzyby zawsze znajdował się w spektrum zainteresowania sanepidu – wskazuje. – To naturalne, że inspektorat włączono w akcję przeciwko pandemii, bo to ogromna struktura, prawdziwa armia, obecna w każdym województwie i powiecie, przygotowana do tych działań znacznie lepiej niż policja czy wojsko.

Łanda problemu upatruje gdzie indziej: – 16 tys. osób w skali kraju to spore nadzatrudnienie. Nie słyszałem o miarodajnych badaniach wydajności w tej insty-

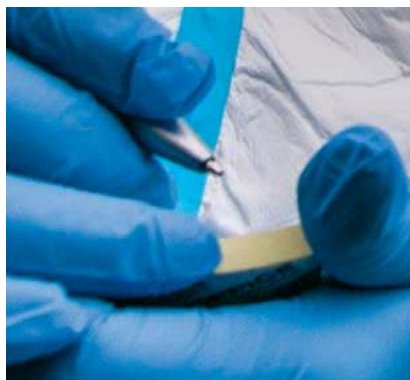
tucji. Zarobki są nieatrakcyjne, co skutkuje selekcją negatywną. Spora część personelu to ludzie, którzy nie byli w stanie znaleźć innej pracy, a dawno przestali się rozwijać. I nie chodzi o niedofinansowanie. Tę instytucję da się naprawić, nie dosypując do niej pieniędzy, ale przeprowadzając profesjonalny audyt zewnętrzny, zmniejszając zatrudnienie, stawiając na kompetencje i oczywiście wyposażając w nowoczesne narzędzia informatyczne. Oraz konsekwentnie tworząc strukturę pionową, zdolną do szybkiego reagowania.

Błędów Łanda szuka nie w działaniach szeregowych pracowników, ale w polityce GIS. Według niego zabrakło ostrożności w podejściu do rekomendacji Światowej Organizacji Zdrowia. – Oczekiwałam od GIS czy Państwowego Zakładu Higieny, by weryfikowały zalecenia WHO, a nie bezkrytycznie przekazywały je ministrowi zdrowia. Stąd tyle błędnych decyzji i zaleceń wydawanych w styczniu, lutym i marcu. Szef GIS Jarosław Pinkas mówił w wywiadzie dla RMF, że „wirus jest w Chinach, a my mamy całkiem daleko do Chin” i że groźniejsza jest grypa. Powtarzano za WHO, że maseczki powinni nosić tylko zakażeni. To bez sensu, bo można być zainfekowanym i o tym nie wiedzieć, natomiast ludzi z wykrytym zakażeniem izoluje się w szpitalach, a podejrzanych wysyła na kwarantannę.

GIS zalecał też, znowu za WHO, by dokładnie gotować jajka i mięso, tak jakby miało to wpływ na infekcję. To, według Łandy, świadczy o braku profesjonalizmu.

– Kiedy już było wiadomo, że koronawirus jest bardziej niebezpieczny niż grypa, i że epidemia rozleje się po świecie, u nas jeszcze w lutym trwała kampania uspokajania społeczeństwa – ciągnie Łanda. – Nie wykonywano testów, minister Szumowski obśmiewał noszenie maseczek. Reakcja rządu była zdecydowanie spóźniona. Brakowało sprzętu ochronnego, zawiodły koordynacja, zdrowy rozsądek i profesjonalizm. Całe szczęście, że społeczeństwo samo się zmobilizowało i przestrzegało podstawowych środków bezpieczeństwa MDD: maseczki, dystans, dezynfekcja.

Tyle że, jak przypomina założyciel Watch Health Care, od stycznia do marca brakowało w Polsce środków dezynfekcyjnych: – GIS powinien wcze-



Czy sanepid wykazał się brakiem kompetencji?

Zawinił niski poziom informatyzacji?
Nie jest tajemnicą, że podstawowym narzędziem pracowników pozostaje skoroszyt i arkusz kalkulacyjny.

śniej zwrócić uwagę na to, jak ważny jest powszechny do nich dostęp. A w Polsce, która jest mocarstwem buraka cukrowego, nie powinno brakować płynów dezynfekcyjnych na bazie alkoholu etylowego. Świetnie dezynfekuje też woda utleniona, której mogliśmy produkować dowolne ilości. Ceny spekulacyjne, które hulały aż do kwietnia, są w tym świetle zupełnie niezrozumiałe.

Lód

Szef GIS, prof. Jarosław Pinkas, chirurg, od lat utrzymuje się na ważnych stanowiskach w ochronie zdrowia. Był m.in. szefem PCK i Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny, dwukrotnie wiceministrem zdrowia, ostatnio za Konstantego Radziwiłła w latach 2015-17. Zredukowany w ramach odchudzania rządu, wkrótce został jego pełnomocnikiem ds. utworzenia instytucji odpowiedzialnej za bezpieczeństwo żywności. We wrześniu 2018 r. premier wręczył mu nominację do GIS.

Pinkas zasłynął kilkoma wywiadami na temat koronawirusa. Jeszcze głośniejszy od tego dla RMF był udzielony „Dziennikowi Gazecie Prawnej” – padły tam słynne sformułowania o lodzie, który powinni sobie wsadzić do majtek ci, „któ-

rzy posługują się straszeniem koronawirusem jako elementem gry politycznej”. Stwierdził też, że „jeśli to ma nas uspokoić, nauczymy się sami robić maseczki. Można też przeciąć biustonosz na pół”. Na początku lutego powiedział w parlamencie, że SARS-CoV-2 „to nie jest wirus, którego będziemy się bali tak jak SARS czy szczególnie MERS. W jego przypadku śmiertelność jest stosunkowo niska, można ją przyrównać do śmiertelności związanej z gripą”.

Od początku lockdownu aż do majowej podróży na Śląsk, gdzie chwalił pracę swoich inspektorów, Pinkas nie udzielał się w mediach. „Wypowiadał się z taką swadą, jakby nie miał świadomości, że trzeba ważyć słowa. Został wycofany, bo to był styl z imienin u cioci” – mówił TVN24 anonimowy poseł PiS.

Doświadczenie

22 kwietnia Marcin Jakubioneł pojechał do Prokocimia na test, który wyszedł negatywnie. Po dwóch dniach go powtórzono: zgodnie ze stosowaną na całym świecie procedurą dopiero drugi negatywny wynik pozwala uznać, że chory wyzdrowiał. Niemniej, zgodnie z przepisami, sanepid przedłużył kwarantannę o kolejne dwa tygodnie. – Lekarka ze szpitala tłumaczyła, że płuca są już czyste, ale wirus jest jeszcze obecny w różnych wydzielinach ciała. Ostatecznie izolacja skończyła się 8 maja – mówi Jakubioneł.

Podczas kwarantanny był wściekły na pracowników sanepidu, ale, jak mówi, dawno mu przeszło. Wie, że to nie ich wina.

Marek Posobkiewicz uważa, że PIS będzie w większym stopniu gotowa na kolejne fale COVID-19 bądź na inne epidemie. Nie tyle dzięki reformom czy informatyzacji, ale za sprawą doświadczenia nabytego w ogniu walki.

© MACIEJ MÜLLER



PATRYCJA BUKALSKA

porozmawia z Grzegorzem Chłastą o powstańcach

warszawskich (tekst na s. 52) w środę 29 lipca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Zapomniany protest

BARTOSZ JÓZEFIAK

Blisko 40 lat temu ulicami Łodzi przeszła największa demonstracja PRL-u. Dziś jej uczestniczki mówią: nie o taką Polskę maszerowałyśmy.

JAK ZJEŚĆ KARTKĘ NOŻEM I WIDELCEM?”. „Generale, jeść!”. „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”. Takie m.in. niosły transparenty.

Szczelnie wypełniły Piotrkowską. Włókniarki i inne pracownice, z dziećmi na rękach i w wózkach. Esbecja doliczyła się ich 20 tysięcy. Związkowcy mówili nawet o stu tysiącach. Marsz głodowy: największa demonstracja uliczna PRL-u.

Dzisiaj Janina mówi, że Polski nie poznaje.

Maria najchętniej wróciłaby do komunizmu.

Bogda jest pewna, że po taki kraj to one nie maszerowały.

Tylko Zofii się wszystko podoba. A najbardziej ostatnie wybory.

Szum helikopterów

Latem '81 Bogda ma 18 lat i nie w głowie jej protesty. Chwyta, gdzie się da, skrawki materiału, szyje kolorowe kiecki, farbuję sznurówki w ciężkich butach. Gra na gitarze i poznaje studentów, którzy zapraszają ją do klubu Juventus.

Jest czwartkowe popołudnie, 30 lipca, gorąco. Bogda wskakuje do tramwaju, jedzie odebrać mamę z porannej zmiany. Jako dziecko wstawała o trzeciej w nocy, a matka zaprowadzała ją z bratem do przedszkolnej kotłowni. U palacza czekali na pozostałe dzieci. A mama biegiem do tramwaju, na piątą do fabryki. Cały dzień w huku maszyn łapała zrywające się nici. W domu rzucała się na łóżko: „Dziecko, daj mi 15 minut ciszy”.

Bogda całą podstawówkę stawiała w kolejkach. Dzięki temu mama na obiad gotowała mortadelę smarowaną jajkiem albo zalewającą na kartoflach. Ojciec w kolejkach nie wystawał. Zasuwał na dwie zmiany jako elektryk i w domu tylko gościł.

Tego popołudnia Krystyna powiedziała: „Dziecko, dzisiaj zamiast na za-

kupy idziemy pod katedrę”. A tam mnóstwo kobiet. Transparenty i okrzyki: „Trzy zmiany – jeden głód!”, „Kartkami nie nakarmimy naszych dzieci”. Tłum podzielony na zakłady przemysłowe (w Łodzi było ich ponad 70). Im dalej kroczy, tym bardziej pęcznieje. Jezdnią idą kobiety i dzieci – mężczyźni na chodnikach.

Bogda przerażona. Słyszy szum helikopterów i stukot kopyt milicji konnej. Mama nigdy nie działała w Solidarności, a teraz z koleżankami zaczyna płakać. Nie ma jak dostrzec jadącej na czele marszu ciężarówki i karetki, korespondentów „New York Timesa”, „Washington Post” czy telewizji NBC. Z balkonu sklepu Mody Polskiej przemawia Janina Kończak, działaczka „S”. „Stoimy dziś w obliczu klęski naszego społeczeństwa. Roztacza się przed nami widmo nędzy i głodu. (...) Tragizm tej sytuacji odczuwamy przede wszystkim my, kobiety. Obarczone rodziną, pracą i codziennymi obowiązkami (...) Nie przyszliśmy tu dlatego, że nie chce nam się pracować. Przygnała nas tu sprawa (...) Sprawa bytu naszych rodzin i naszych dzieci” – mówi łamiącym się głosem.

Na placu Wolności tłum śpiewa „Nie rzucim ziemi...”. Krystyna nie wytrzyma. Odciąga córkę, jest wściekła. „Na co to wszystko” – powtarza. Chyba myślała, że ktoś z komitetu wyjdzie do tłumu. Obieca mięso na półkach. Wracają tramwajem w ciszy. Nigdy nie porozmawiają o marszu. Skończy się komuna, a Krystyna dalej będzie obserwować, jak łódzkie zakłady bankrutują, a fabryczne mury zamieniają się w ruiny. Lata pracy wyniszczą jej zdrowie. Umiera, mając 70 lat.

Bogda nie zdąży zapytać, czy mamie ta nowa Polska, po której maszerowały, w ogóle się podoba. Ale coś czuje, że nie bardzo. Choć półki pełne, to w prawach kobiet, aborcji czy edukacji seksualnej na-

stąpił wręcz regres. Kobiety jeszcze długo w Polsce będą miały po co maszerować.

Nigdzie indziej

Postawmy śmiałą tezę: to się nie mogło wydarzyć nigdzie indziej.

– W 1981 r. problemy zaopatrzeniowe były wszędzie duże, ale w Łodzi szczególnie. Małe województwo nie miało własnego zaplecza rolnego. Do tego Warszawa czy Śląsk w tej ogólnej nędzy mogły liczyć na większe przydziały żywniowe – opowiada prof. Krzysztof Lesiakowski, historyk z Uniwersytetu Łódzkiego.

W Łodzi były zakłady, gdzie 80 proc. załogi stanowiły kobiety. Włókniarki po pracy na trzy zmiany stawały w kolejkach, gotowały obiady.

Lokalna „S” nie chciała protestować – bała się powtórki Poznania '56 lub Wybrzeża '70. „(Marsz głodowy) został zorganizowany wbrew negatywnej opinii Lecha Wałęsy i władz centralnych związku. Zwolennicy »samoograniczającej się rewolucji« nie popierali demonstracji ulicznych. Utrata kontroli nad manifestacją mogła oznaczać tłumienie jej siłą” – pisze Marta Madejska w książce „Aleja Włókniarek”.

W lipcu 1981 r. kryzys widać już gołym okiem, a miasto osiąga stan wrzenia. Szefowie związku starają się więc o zgodę na legalny protest. I o dziwo, dostają ją. – Prezydent Łodzi wiedział, że w wypadku odmowy społeczny gniew może przybrać niekontrolowany kształt. A to by już wymagało użycia sił porządkowych – mówi prof. Lesiakowski.

Marsz poprzedziły trzy dni protestów. Takiej liczebności pochodu nikt się jednak nie spodziewał. Tyle że w dłuższej perspektywie protest wiele nie zmienił. Zaraz przyszedł grudzień i stan wojenny, a marsz na prawie 40 lat zniknął z pamięci Polaków.

Do kogo dzisiaj pójść?

Maria spaceruje z córeczką po Piotrkowskiej, aż ją koleżanki doganiają: „Chodź, jesteśmy tu w pięć, nic nam się nie stanie”. No to pcha wózek i dołącza do tłumu. Choć źle jej się w PRL-u nie żyje.

Jako asystentka stomatologa zna lekarke wysoko postawioną w partii, która pomaga załatwić firanki albo pralkę Franie. Ciotka ze Stanów przysyła kakao i czekoladę. Siostra zza lady załatwia szynkę. Rodzina ze wsi dowozi mleko, jajka i wieprzowinę.



JOSEPH P. CZARNECKI / EAST NEWS

Marsz głodowy – demonstracja w sprawie poprawy zaopatrzenia w sklepach i przeciwko podwyżkom cen. Łódź, ul. Piotrkowska, lipiec 1981 r.

Brat Marii szefuje zakładowej „S”. W domu urządza zebrania i ukrywa gazetki. W mieszkaniu gnieźdzą się razem: ona z malutką córką, rodzice, siostry i bracia.

Na marszu słyszy krzyki przez megafon, widzi kobiety pchające wózki. Boi się o córkę, która zaczyna płakać. Przechodzi kilometr i ucieka w boczną uliczkę.

Blisko rok później siedzą przy stole, słyszą dzwonek. Maria otwiera i woła brata: „Mirek, jakież głąby do ciebie”. Myśli, że to koledzy. A to panowie z kajdankami.

Mama w płacz: „Zostawcie mi syna”. Brat posiedzi parę miesięcy. Po wyjściu już nie dojdzie do siebie. Ciągłe będzie bolała go głowa. Umrze na wylew przed pięćdziesiątką.

I choć SB skatowała jej brata, chciałaby powrotu komuny. W wolnej Polsce jeździła pod Moskwę i Budapeszt z pościelą i ręcznikami, sprzątała w szkole. Mimo że jest na emeryturze, sprząta do dzisiaj.

W jednej firmie kazali jej wykałaczką czyścić brud spomiędzy ram okiennych. W drugiej szczoteczką do zębów szoro-

wała fugi. By zdążyć do trzeciej, wstaje o godzinie piątej. Prześpi się chwilkę, na popołudnie rusza do kolejnych biur. Ma 13 zł na rękę.

Za komuny nie było kamieniczników. A w wolnej Polsce gospodarz Marii odciął lokatorom wodę. Za komuny partia by pomogła albo Solidarność – i mieszkanie by się znalazło. A teraz gdzie Maria pójdzie?

Kopernik była kobietą

W 2016 r. tysiące łodzian znów przeszły Piotrkowską, tym razem w czarnym protestie. Ale Ewa Kamińska-Buzałek z Łódzkiego Szlaku Kobiet pomyślała: to miasto widziało już znacznie więcej.

Razem z koleżankami chciały przypomnieć o marszu głodowym. Dostały grant. Zbierały historie protestujących kobiet. Dotarły do Janiny Kończak. Zaprosiły ją do Łodzi, bo Kończak od lat mieszka we Francji. Zorganizowały happening i spacer po trasie marszu. Na obchody zaprosiły też dawnego lidera „S” Andrzeja Słowika. Z zaproszenia nie skorzystał.

Głos zabrał za to Jerzy Kropiwnicki, dawny przewodniczący zarządu regionu, a w wolnej Polsce prezydent Łodzi. Pomysł marszu przypisał sobie i Słowikowi. Dowodził, że wybrali Kończak do odczytania postulatów ze względu na ładne brzmienie jej głosu. To on ze Słowikiem zdecydowali, by maszerowały głównie kobiety, „bo trudniej je sprowokować do czynów gwałtownych i aktów wandalizmu oraz trudniej uwierzyć, że to one były (ewentualnie) stroną atakującą”. Dodał, że „być może i my za parę lat dowiemy się np., że jednak Kopernik był kobietą...”.

Prof. Lesiakowski: – Ciężko wskazać jednego pomysłodawcę. Panią Kończak należy docenić, ale jednak nie była osobą decyzyjną. Zarząd regionu był pod ogromną presją zakładów, ale też marszu nie udało się zorganizować bez wielkiego zaangażowania prezydium.

W rozmowie z „Newsweekiem” Słowik powiedział, że Kończak należy wykreślić z historii przygotowywania marszu: „Dla mnie ona nie istnieje”.

Patriotka

Zofia na marsz rusza z patriotycznego obowiązku.

Ojciec walczył w legionach Piłsudskiego, przed II wojną kierował →

→ krochmalnią pod Sandomierzem. Po wojnie komuniści wyrzucili go z fabryki, a w papierach Zofii napisali: reakcjonistka. Na medycynę się nie dostała, została felczerem.

W sanepidzie, gdzie pracuje, dziewczyny zapisują się do „S”. Wieści o marszu idą pocztą pantoflową. Mówi do ro-letniego syna: „Tu się tworzy historia. Musisz to zobaczyć”.

Dziewczyny maszerują ciasno, skandują: „Nasze dzieci są głodne”. Płaczą. Zofia myśli: to jest ubliżające, że musimy wyjść na ulicę. Nie boi się milicji. Myśli: przecież wszystkich nie wsadzą.

W wolną Polskę wchodzi jako emerytka. Z dumą patrzy, jak sobie radzą dzieci. Syn zostanie informatykiem. Zapisuje się do związku strzeleckiego, ku pamięci dziadka co roku rusza z krakowskich Oleandrów szlakiem Pierwszej Kadrowej. Za to córka świetnie sobie radzi jako dziennikarka. Zofia wreszcie jedzie na wakacje. Zwiedza Rzym i wjeżdża na szczyt wieży Eiffla. Myśli: do czego to doszło, że w Polsce dobrobyt?

I tylko nieładnie, że tak Polska podzielona. A dlaczego? Bo młodzi wszędzie dziurę znajdują. Chcą Polski innej, ale jakiej? Przecież wszystko jest tak, jak powinno. Zwłaszcza w ostatnich latach. Gdyby Zofia miała takie 500 plus za młodo, to o ile by jej było łatwiej! Młodzi nie umieją tego docenić. Wołają, że się demokracja kończy. Ale jeśli uważają, że w Polsce jest teraz brud i smród, to niech sami zdzierają gardła na protestach.

Nie było ofiar

W tym roku władze Łodzi na rocznicę marszu planują wystawę zdjęć w internecie. W przyszłym może uda się coś zrobić w plenerze.

Marcin Gołaszewski, przewodniczący Rady Miejskiej, dziękuje, że redaktor przypomniał mu o tej ważnej dacie. Faktycznie w tym roku już się pewnie niewiele uda zrobić. Ale w przyszłym może wmurować tablicę na Piotrkowskiej?

Pytanie: dlaczego Łódź i Polska zapomniały o marszu? Ewa Kamińska-Bużałek: – Same uczestniczki nie pchają się na afisz. Myślą tak: zrobiłyśmy swoje i tyle. Nie ma już zakładów pracy, które by podtrzymywały pamięć o proteście, tak jak to się dzieje np. w MPK. Poza tym Łódź, robotnicze miasto, słabo wpisuje się w dumną historię narodową.

Przewodniczący Rady Miejskiej dziękuje, że redaktor przypomniał mu o tej ważnej dacie. Faktycznie w tym roku już się pewnie niewiele uda zrobić.

Pytanie: dlaczego Łódź i Polska zapomniały o marszu?

Reporterką Marta Madejska: – Kwestie żywieniowe i socjalne nie są u nas uznawane za specjalnie istotne. W polityce, publicystyce, edukacji. Po drugie, był to protest kobiet. Żadna z nich, niestety, nie została liderką polityczną, w przeciwieństwie do mężczyzn, którzy mogą teraz z wysokich pozycji spierać się o historię. Także o to, czy to oni zorganizowali ten marsz. Po trzecie, nikt nie zginął. A w Polsce mamy tendencje do upamiętniania przede wszystkim wydarzeń tragicznych, najłepiej krwawych.

Liderka

Janina jest przerażona, a kolega Andrzej Słowik wypycha ją: „Będziesz przemawiać”. Dasz radę. Bazgrze kilka słów, jadąc na ciężarówce na czele marszu. W końcu wbiega na balkon. Dobrze wie, co chce powiedzieć.

Razem z mężem pracuje w zakładach Stomil. Produkują kalosze, cały dzień przy taśmie, w smrodzie chemicznych oparów, a zimą w kufajkach, bo zakład nieogrzewany. Gdy startuje „S”, wyklóca się o ciepły posiłek dla załogi. Zostaje szefową zakładowej komisji, trafia do zarządu regionu. Związkową robotę dzieli z wystawianiem w kolejkach po kości na zupę. Albo na obiad dla dwóch córek i syna gotuje zupę z chleba. Sama nie dojada.

Jeździ po zakładach, wysłuchuje pytań: „Janina, a ty co wkładasz do garnka? Bo ja nie mam co”.

Na walnym wyrzuca szefem związku: „Kobiety i tak wyjdą na ulicę – albo z wami, albo bez was” (jak już wiemy, jej wspomnienia będą się różnić od wspomnień kolegów). Złości się na „wąsaczy

z prezydium”, którzy nie rozumieją robotnic.

Podczas marszu wskakuje na ciężarówkę. Krzyczy przez megafon: „Kartkami nie nakarmimy naszych dzieci”. Myśli: tu idzie cała Łódź. Boi się, że milicja zacznie strzelać. Przemawia z balkon. Głos jej się łamie. Większość kobiet płacze. Tłum śpiewa „Nie rzucim ziemi...”.

Pół roku później pukają milicjanci. Janina rżnie głupa: „Panom pewnie chodzi o siostrę. Przekażę, jak wróci”. Chowa się u koleżanki ze studiów, ta pomaga ją ukryć w szpitalu psychiatrycznym. Dziećmi zajmuje się coraz bardziej wściekły mąż i sąsiedzi. Janina wpada dopiero po pół roku, kiedy zza drzewa ogląda komunię córki. Wiozą ją do więzienia, a jej dzieci do domu dziecka.

Wychodzi po dwóch miesiącach. Na kaucję zrzucają się prostytutki z celi.

Zdąży jeszcze z Wałęsą odwiedzić Francję, ale już czuje, że klimat jej nie sprzyja. Sąsiedzi się nie kłaniają. W zakładzie nikt z nią nie rozmawia. SB rozpuszcza plotki, że ukradła pieniądze ze składek, z Francji przywiozła diamenty, wynajmuje gosposię i płaci w dolarach. Nikt z „S” się nie kontaktuje. Jesienią wyjeżdżają całą rodziną do Francji. W Paryżu biega po związkach zawodowych, organizuje pomoc dla „S”, gotuje zupę dla emigrantów z Polski. Żyją z zasiłków. Jej małżeństwo tego nie przetrwa.

Janina uspokoi się dopiero, gdy upadnie komunizm. Wyprowadzi się z Paryża, zostanie księgową. Do Polski wróci tylko dwa razy, w tym na zaproszenie Łódzkiego Szlaku Kobiet. Powie wtedy, że Piotrkowska ją przeraża. Z jednej strony przepych, z drugiej obskurne podwórka i ludzie grzebiący w śmietnikach. A przecież maszerowały po to, by robotnikom żyło się lepiej. Szli po socjalizm z ludzką twarzą, dostali dziki kapitalizm.

Żałuje, że za mało czasu poświęciła dzieciom. Ale poza tym – powtórzyłaby to samo życie.

Zaraz po marszu głodowym opowiada dziennikarzowi: – Trochę się boję, a jednocześnie wierzę w tych ludzi, i że to się nie może źle skończyć. Po prostu nie może.

© BARTOSZ JÓZEPIAK

Nakładem Czarnego ukazuje się właśnie książka Wojciecha Góreckiego i Bartosza Józefiaka „Łódź. Miasto po przejściach”. Autor dziękuje Fundacji Łódzki Szlak Kobiet.



ROBERT STACHNIK / REPORTER

Przygotowania do uroczystego przyjęcia setnej dostawy skroplonego gazu ziemnego do terminalu LNG w Świnoujściu, 3 lipca 2020 r.

Wichry rentowności

MAREK RABIJ

Przejęcie Lotosu przez Orlen to dla podatników świetne ćwiczenie z kapitalizmu politycznego – bo sens operacji nie sprowadza się do pytania „czy”, lecz „jak”.

JEŚLI NAZWY MOGĄ BYĆ WYZNACZNIKIEM celów, to przemianowanie Ministerstwa Skarbu Państwa na Ministerstwo Aktywów Państwowych miało z pewnością podkreślić, że państwo polskie nie zamierza dłużej pokornie całować niewidzialnej ręki rynku. Akurat rząd PiS nigdy nie ukrywał, że tzw. spółki Skarbu Państwa – choć w wielu z nich państwo jest tylko jednym z właścicieli – powinny aktywnie wspierać rządowego właściciela w realizacji jego celów politycznych. Opozycja nazywa to ordynarnym upolitycznieniem i łamaniem wolnorynkowych reguł, ale rząd woli widzieć w tym odmianę społecznej odpowiedzialności biznesu kontrolowanego przez państwo. I w sumie miałby do tego prawo – gdyby prócz długofalowych celów nie chodziło także (jeśli nie przede wszystkim) o doraźne polityczne kalkulacje.

Bo rząd każe

Lista decyzji, które spółki Skarbu Państwa podejmowały w ostatnich latach na przekór rachunkowi zysków i strat, za to zawsze na życzenie władz, na pierwszy rzut oka może wydać się krótka – zwłaszcza jak na prawie pięć lat rządów PiS. Każda z nich wiązała się jednak z wydaniem setek milionów złotych. Mamy tu zakup nierentownych kopalni węgla kamiennego przez polskie grupy energetyczne, a raczej ukrycie strat tych pierwszych w zyskach drugich. Była też akwizycyjna gorączka Pekao S.A., który najpierw został odkupiony od włoskiego właściciela przez konsorcjum z udziałem państwowego PZU, a następnie sam przymierzał się do przejęcia Alior Banku i mBanku.

Dla porządku trzeba odnotować kilka drobniactw, jak przejęcie przez Orlen kontroli nad resztkami upadłego Ruchu

czy utworzenie Funduszu Inwestycji Kapitałowych, który dał rządowi narzędzie do bezpośrednich zakupów akcji w imieniu Skarbu Państwa. I wreszcie wielki finał tej polityki, jakim stało się najpierw połączenie Grupy Energa, jednego z największych producentów i dostawców prądu w Polsce (11,4 mld zł przychodu w 2019 r.) z największym producentem paliw w kraju – Orlenem (111,2 mld zł), a następnie rozpoczęcie fuzji z paliwowym numerem dwa, jakim jest w Polsce Lotos (29,5 mld zł przychodu w 2019 r.) i z jeszcze większym od niego holdingiem PGNiG (42,02 mld). Z połączenia tych aktywów powstałby gigant z przychodami rzędu 195 mld zł rocznie.

Wszystko to oczywiście w imię „interesu podatników” i „obrony narodowych interesów gospodarczych”. Choć nie sposób nie zapytać słowami starorzymskiej paremii *cui prodest?* Kto naprawdę zyska na tej polityce?

Czarne, ale nie złoto

Do proponowanej fuzji identycznie podeszła Komisja Europejska, wydając na nią 14 lipca zgodę – pod warunkiem zbycia przez kupującego 30 proc. udziałów w rafinerii Lotos „wraz z towarzyszącym dużym pakietem praw zarządzających”. Orlen musi też pozbyć się 389 stacji Lotosu w Polsce, czyli ok. 80 proc. tej sieci. Jak mówiła jeszcze przed akceptem ➔

→ wiceprzewodnicząca Komisji Margrethe Vestager, planowane przejście może bowiem prowadzić „do ograniczenia konkurencji oraz wyższych cen lub mniejszego wyboru paliw i produktów pokrewnych dla klientów biznesowych i konsumentów końcowych w Polsce i innych państwach członkowskich”. Słowem: istnieje ryzyko, że słony rachunek za biznesowo-polityczną rozsadę polskiego rządu obywatele zapłacą przy tankowaniu. Orlen to nie tylko numer jeden w detalicznym obrocie paliwowym (blisko 1800 stacji), ale też główny dostawca benzyn i oleju napędowego dla swoich konkurentów.

Zgoda Brukseli na polską megafuzję była jednak formalnością. Komisja Europejska nie udziela ich wprawdzie z automatu (dość przypomnieć zablokowanie połączenia dwóch gigantów europejskiego rynku kolejowego, czyli Siemens i Alstom), ale w tym przypadku komisarze musieli uwzględnić jeszcze jeden element. Dla firm paliwowych niewątpliwie nadchodzą ciężkie czasy. Nowy Zielony Ład, który się marzy Brukseli, oraz jego odpowiedniki w innych regionach świata oznaczają stopniowe pożegnanie gospodarki opartej na wszystkich paliwach kopalnych – nie tylko na węglu. Największym przegranym tej zmiany będzie przemysł naftowy, który w zeszłym roku osiągnął przychody na poziomie 3,3 bln dolarów – co dałoby mu piąte miejsce na liście najzamożniejszych krajów świata, gdyby potraktować go jako samodzielny organizm państwowy.

Każdego dnia na świecie wydobywa się obecnie około 90 mln baryłek ropy naftowej (czyli około 1,3 mln ton), głównie na potrzeby branży paliwowej. Jeszcze kilkanaście lat temu perspektywy dla tej branży szacowano z myślą o zasobach ropy nadających się do eksploatacji. Dziś głównym zagrożeniem jest malejący popyt. Jeden z największych producentów paliw, Shell, szacuje, że kres dominacji benzyny i diesla w branży motoryzacyjnej nadejdzie najpóźniej za 20 lat i te dwie dekady to czas, w którym producenci paliw muszą w dłuższej perspektywie zadbać o technologiczną alternatywę dla energii z paliw kopalnych. A w krótszej – o jak najtańszą ropę i jak najniższe koszty produkcji, aby z taniejącego produktu jak najdłużej wycisnąć satysfakcjonującą marżę.

Dla firm paliwowych nadchodzą ciężkie czasy.

Nowy Zielony Ład, który się marzy Brukseli, oznacza stopniowe pożegnanie gospodarki opartej na wszystkich paliwach kopalnych.

Zaciekle zeszłoroczny wyścig globalnych inwestorów po akcje debiutującej na giełdzie firmy Saudi Aramco, z której złóż pochodzi dziś co dziesiąta sprzedana baryłka na świecie, miał właśnie takie podłoże. Saudyjska ropa jest najtańsza w produkcji i jej wydobycie będzie opłacalne jeszcze długo po tym, gdy sens straci eksploatacja złóż na Syberii, amerykańskich łupków czy funkcjonowanie platform wiertniczych na Morzu Północnym.

Duży może taniej

87 eksploatowanych obecnie złóż ropy na terenie Polski dostarcza co roku nieco ponad 936 tys. ton tego surowca, czyli kroplę w morzu zapotrzebowania szacowanego przez Ministerstwo Energii na 24-25 mln ton rocznie. Resztę musimy importować.

Połączenie Lotosu z Orlenem, który wchłonie też PGNiG i Energe, wydaje się więc kluczowe dla przetrwania spółki na trudnym środkowoeuropejskim rynku paliwowym. Jeden duży gracz będzie mógł kupić w hurcie ropę w cenie nieco niższej od tej, którą Orlen, a zwłaszcza mniejszy Lotos, utargowałyby oddzielnie – i w ten sposób nadal kontrolować także wzrost cen detalicznych. Wakacje to dobry moment do zaobserwowania, że paliwo w Polsce wciąż jest zauważalnie tańsze niż u bliższych i dalszych sąsiadów z UE. I to nie tylko w porównaniu z państwami o znacznie wyższym PKB w przeliczeniu na głowę – jak Niemcy, Francja czy Włochy – ale też na tle krajów, które pod tym względem wypadają słabiej od Polski (np. Chorwacja czy Rumunia). Obecność dwóch dużych rodzimych graczy na polskim rynku bez wątpliwa działała stabilizująco na ceny. W tym kontekście cenne może być dla nas porównanie z Węgrami, które przy niemal identycz-

nym PKB *per capita* mają droższe paliwo (obecnie różnica sięga 30 groszy na litrze).

Tamtejszy rynek cierpi jednak na dwie choroby. Pierwszą jest dominacja jednego podmiotu, koncernu MOL. Drugim jego upolitycznienie, przez co strategia cenowa spółki jest podporządkowana doraźnym interesom politycznym Budapesztu. Węgierski skarb państwa jest właścicielem ledwie 15,24 proc. akcji spółki, ale przy rozproszonym akcjonariacie ma w niej i tak decydujący głos.

Dokładnie tak samo jest w Orlenie. Nieco ponad 27 proc. akcji pozwala rządowi decydować o kierunku rozwoju całej firmy.

Janusowe oblicze

Dlatego pod największym znakiem zapytania stoi przyszłość drugiego strategicznego celu, jaki przyświeca połączeniu, czyli transformacji energetycznej. Nowy „Megaorlen” powstały po fuzji czterech spółek będzie mieć wszystko, czego potrzeba do sprawnego przekształcenia z firmy zajmującej się przetwórstwem kopalin w dostawcę czystej energii odnawialnej. Może poza jednym – zielonym światłem od polityków dla rozpoczęcia tego procesu.

Prezes Orlenu Daniel Obajtek zapewnia przy niemal każdej okazji, że elektromobilność to przyszłość firmy i chętnie pozuje do zdjęć przy kolejnych stacjach do ładowania aut elektrycznych. Rzeczywistą skalę zaangażowania koncernu w ten sektor najlepiej oddają jednak jego własne statystyki: na blisko 1800 stacji Orlenu tylko 43 umożliwiają szybkie doładowanie baterii (stan na maj 2020).

Strategiczne zgrupowanie aktywów energetycznych państwa w jednym czebolu w nieunikniony sposób może zatem prowadzić do konfliktu wielkich polskich interesów gospodarczych i cywilizacyjnych z doraźną kalkulacją polityczną rządu. Jedną, chętnie pokazywaną twarzą nowego Orlenu będzie elektromobilność. Drugą – przejęte wraz z Energią kopalnie Polskiej Grupy Górniczej, które rząd zamierza utrzymywać przy życiu wbrew rachunkowi zysków i strat.

Puenta, w której mowa o rachunku wystawionym „wszystkim podatnikom”, z pewnością należy do najbardziej zgranych chwytów publicystycznych. W tym przypadku trudno jednak o inną.

© P MAREK RABIJ

ANNA

Dziewit-Meller: Do szkoły!



KONIEC LIPCA, CZEREŚNIE CORAZ MNIEJ smaczne, bób też się już trochę przejadł, sezon na jeżyny i grzyby leśne powoli zaczyna wjeżdżać do menu, a w sklepach wielkopowierzchniowych, papierniczych i księgarniach pojawiają się pierwsze, nieśmiało jeszcze zwiastuny nieuniknionego: przybory szkolne w nierozsądnych, jak zawsze, cenach, te oszukańcze przedmioty, mające w sierpniu fałszywy urok nowości, dające ułudę, że od września może dziać się coś w sumie fajnego, skoro tyle kolorów mazaków jest w nowym piórniku.

Tak bywało do tej pory, że myśl o jesiennym kieracie odganiało się na początku sierpnia lekką ręką. Bo przecież jeszcze wczasy, jeszcze długi weekend, kilka co najmniej grilli, woda w jeziorze ciepła, osy zlatują się do piwa, chwilo, trwaj.

W tym roku jednak koniec lipca nastroił nas zupełnie inaczej: nie jesteśmy pewni, czy „chwilo, trwaj” to dobre zaklęcie na ten czas. Krótko mówiąc: pod koniec lipca zaczęliśmy rozprawiać o tym, czy otworzą we wrześniu szkoły.

Zauważyłam kilka frakcji, pomiędzy którymi miotam się sama, jak dzika kura w agresji. Po pierwsze, rodzice mający przekonanie graniczące z pewnością, że 1 września odwiożą swe najdroższe pociechy do placówek, odstawiają je pod drzwi lub zamkną drzwi za nimi wychodzącymi z domów, by chwilę potem odetchnąć głęboko, spokojnie, na myśl o tym, że oto nie ma żadnych lekcji online i że kosinus, tangens ani kotangens, ani układ rozrodzcy żaby, ani tabliczka mnożenia, ani nic z tych wszystkich cholerstw już im nie zagraża. Twierdzą oni, że ponowne zamknięcie szkół jest po prostu niemożliwe, nie przyjmują do wiadomości żadnej oboczności w tym zakresie i w związku z tym z dużą nadzieją wypatrują września.

Chciałabym do nich przystąpić, lecz inna grupa mnie – pesymistkę z natury – bardziej intryguje. To ci, którzy wieszczą, że owszem, wypchniemy we wrześniu nasze dzieci w ramiona z pewnością ogromnie stęsknionych nauczycieli, ale już w październiku, najdalej w listopadzie, ponowny *lock-*

down dojedzie nas na grubo. Lepiej więc zawczasu się psychicznie do tego szykować, planować remonty w mieszkaniach tak, by wydzielać z nich skromne, lecz osobne strefy, zabiegać o kredyty na konieczny sprzęt elektroniczny itd., itp.

No i jest grupa trzecia pośród moich przyjaciół: to ci, co mówią, że jak nie otworzą lub ponownie zamkną szkoły, oni wyjdą na ulice. „To się skończy rewolucją” – powiadają, a ja, widząc obłęd w ich spojrzeniach, nie mam powodu, by im nie wierzyć. Też nieraz podczas lekcji zdalnych widziałam w sobie wielki potencjał do mordowania i czynienia zniszczeń.

Oczywiście, zdaję sobie sprawę z faktu, że dziś nawet tak wszechwładne i w swoim przekonaniu nieomyślne postacie jak premier Polski nie wiedzą wszystkiego. Ten wirus to naprawdę straszna menda i nawet osoby tak wprawne w zaklinaniu rzeczywistości nie są go w stanie zignorować. Wirus to w końcu nie konstytucja Rzeczypospolitej ani nawet karty wyborcze wydrukowane przez Sasina.

Czytam dziś w gazetach, że minister Piontkowski „pragnie”, aby dzieci wróciły do szkół we wrześniu. Czy to jednak wystarczająco dużo, byśmy jako rodzice dzieci szkolnych czuli się uspokojeni?

Podobno w ministerstwie trwają prace nad przygotowaniem awaryjnego planu wsparcia dla szkół i nauczycieli, na wypadek kolejnego zamknięcia. Ja nieśmiało chciałabym zatem wspomnieć, że takiego planu wymagać mogą również rodzice, którzy z dnia na dzień stali się relewantną częścią polskiego systemu edukacji, i gdyby nie ich codzienne, wielomiesięczne zaangażowanie, szkoła zdalna byłaby jeszcze większą fikcją, niż była. Wsparcia potrzebują rodzice, którzy – jak mój mąż, mający małe jeszcze dzieci – znów będą musieli zostawać z nimi w domu. Wsparcia potrzebują ci, którzy – jak wielu – nie są w stanie zapewnić dzieciom dostępu do koniecznego sprzętu, oprogramowania czy internetu. Wsparcia będą potrzebowali wszyscy, którzy przejmą z rąk szkoły prawie całkowitą odpowiedzialność za to, czego dzieci się faktycznie nauczą. I nie chodzi mi wyłącznie o wsparcie finansowe – jeśli mamy tak intensywnie wspierać szkołę w realizacji jej zadań, to może powinniśmy być do tego jakkolwiek przygotowani? W s z y s c y. Jeśli szkoła ma być w domu, to dom będący szkołą staje się częścią systemu i nie może być naszej zgody na to, że znów zostanie to na nas po prostu zrzucone w duchu „radz sobie sam”.

Nie jestem nauczycielką. Jestem mamą i chcę być mamą, nie nauczycielką. I uprzejmie proszę, by Ministerstwo Edukacji Narodowej czuło na swoich plecach nasz coraz bardziej nerwowy oddech. Wrzesień u bram. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast
Powszechny

Nasza nowa Europa

Marcin Napiórkowski tłumaczy Marcie Filipiuk-Michniewicz, dlaczego wierzy we wrózkę Unię i dlaczego chciałby, żeby dzieci też potrafiły w nią uwierzyć.

A Adaś Napiórkowski zdradza szczegóły swojej pracy nad wynalazkiem, który poprawi warunki życia ludzi, także poza naszym kontynentem.

Zapraszamy do wysłuchania podkastów

na powszech.net/podkast



PARTNEREM PODKASTÓW JEST PRZEDSTAWICIELSTWO
KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE



CO BÓG ZŁĄCZYŁ

MAREK BLAZA SJ:

W teologii sakramentu małżeństwa istnieje ciągłe napięcie między porządkiem łaski a prawem kanonicznym.

Czasami mam wrażenie, jakby kanoniści chcieli nakazać Duchowi Świętemu, gdzie ma zstąpić.

ZUZANNA RADZIK: Rozumie Ojciec oburzenie i dezorientację, jakie budzi wystawny kościelny ślub osób po stwierdzeniu nieważności poprzednich związków zawieranych w kościele?

MAREK BLAZA SJ: W takiej sytuacji powinno być przynajmniej zaznaczone w wyroku sądowym, żeby nie było splendoru przy zawieraniu kolejnego małżeństwa.

Zdawało mi się, że taka jest właśnie praktyka.

Podobnie wygląda to w przypadku kapłana usuniętego ze stanu duchownego i zawierającego związek małżeński – ten ślub też jest raczej zawierany w skromnej formie. Robi się tak właśnie ze względu na ewentualne kontrowersje czy zgorzelenie.

Ludzie mówią: Kościół podkreśla nierozzerwalność małżeństwa, a jednocześnie można stwierdzić jego nieważność. W prawie kanonicznym mowa jest o tym, że zgoda na wspólne życie zostaje przez Jezusa Chrystusa podniesiona do godności sakramentu. Co podniesienie do tej godności robi z ludzką zgodą?

Warto doprecyzować: Kodeks Prawa Kanonicznego wyraźnie stwierdza, że małżeństwo sakramentalne może być tylko między dwiema osobami ochrzczonymi. Czyli to nie zgoda decyduje o sakra-

mentalności, a chrzest, obojętne nawet w którym chrześcijańskim Kościele. Jeśli ten chrzest był z katolickiego punktu widzenia ważny, to nawet gdyby któraś ze stron przy zawieraniu małżeństwa porzuciła wiarę, np. stała się formalnym apostatą, z dogmatycznego punktu widzenia małżeństwo będzie i tak związkiem sakramentalnym.

A co z nieochrzczonymi?

Jeśli dotyczy to obu stron, mamy do czynienia z małżeństwem naturalnym, które jest legalne z katolickiego punktu widzenia, ale nie jest sakramentem. Jeśli jedna strona jest ochrzczona, a druga nie, to małżeństwo jako całość też jest niesakramentalne, czyli naturalne. Niektórzy dogmatycy mówią, że dla strony katolickiej to jest małżeństwo sakramentalne, a dla tej nieochrzczonej – naturalne. Ale to już trochę karkołomne dywagacje.

Wróćmy do nierozzerwalności.

W Kościele katolickim, oprócz stwierdzenia nieważności, istnieje rozwiązanie węzła ważnie zawartego małżeństwa sakramentalnego. Taki węzeł można rozwiązać tylko w jednym przypadku: kiedy małżeństwo jest zawarte ważnie, ale nie zostało dopełnione. Czyli gdy po jego zawarciu nie nastąpił akt seksualny, dokonany na „sposób ludzki”, co wyklucza gwałt. Po dopełnieniu małżeństwa żadna ludzka władza nie może go rozwiązać.

W przypadku niedopełnienia małżeństwo zostaje rozwiązane z automatu?

Nie, tę możliwość ma tylko biskup rzymski i jest to władza zastępcza. To znaczy, że on tej władzy nikomu nie może przekazać. Wystarcza ustna decyzja. Natomiast gdyby był wakat w stolicy rzymskiej, to nikt nie ma możliwości rozwiązywania takich małżeństw.

Jest jeszcze druga ewentualność: rozwiązywanie małżeństw naturalnych. Łątwie to uczynić niż w przypadku tych sakramentalnych.





Nowożeńcy na zamku w Toszku, sierpień 2014 r.

Kościół zajmuje się rozwiązywaniem związków niezawartych w kościele?

Te naturalne można rozwiązać na podstawie tzw. przywileju Pawłowego, który jest opisany w Pierwszym Liście do Koryntian (rozdz. 7). Jeżeli jedna strona przyjmuje chrzest, a druga nie może tego zaakceptować, to strona ochrzczona ma prawo odejść ze względu na obronę swojej wiary.

Czyli jeśli wzajemne zobowiązanie małżonków do wspólnego życia nie dotyczy ochrzczonych i przez

to zgoda nie została podniesiona do godności sakramentu, to pies ją trącał?

Małżeństwo naturalne jest wartością i jest szanowane. Jednak większą wartością jest wiara. To wynika z praktyki i teologii Kościoła.

To jednak dziwne.

Oprócz przywileju Pawłowego jest jeszcze Piotrowy – z niego może korzystać biskup rzymski. Dzieje się tak, gdy nie można wprost zastosować tego pierwszego. Przywilej Piotrowy stosuje się, gdy

zagrożona jest wiara strony katolickiej. Albo w najbardziej skomplikowanym wariancie – ze względu na katolika.

Nie rozumiem.

Np. są dwie osoby nieochrzczone, które wzięły ślub niechrześcijański w dowolnym urzędzie i on jest ważny z punktu widzenia Kościoła katolickiego – jako małżeństwo naturalne. Po pewnym czasie te osoby się rozeszły, mają rozwód stwierdzony przez odpowiedni sąd. I teraz wyobraźmy sobie, że jakiś katolik spotyka tę kobietę po rozwodzie i chciałby z nią →

→ wziąć ślub. Ponieważ Kościół katolicki uznaje ważność tego pierwszego małżeństwa naturalnego, to ze względu na owego katolika chcącego wziąć ślub z nieochrzczonej kobietą papież ma władzę rozwiązać węzeł pierwszego małżeństwa.

Kościół rozwiązuje węzeł pierwszego małżeństwa cywilnego, by spełnić marzenie katolika o ślubie? Czyli gdybym szukała kandydata na męża, to nieochrzczony rozwodnik może być, tylko trzeba będzie to załatwić z papieżem?

Paradoks polega na tym, że gdyby, nie daj Boże, osoba nieochrzczonej się ochrzciła, to już z tego przywileju nie można skorzystać. Później może przyjąć chrzest i – co więcej – w momencie, gdy to się dzieje, małżeństwo automatycznie podnosi się do rangi sakramentu.

Sprawia to sam chrzest wcześniej niewierzącego partnera?

Automatycznie – nie ma innego obrotu. Do zastosowania tego przywileju oczywiście nieodzowny jest rozwód. Biskup Rzymu nie może rozwiązać małżeństwa, które trwa.

A jeśli dwie ochrzczone osoby trwają w konkubinacie, który w ich przekonaniu jest trwałym związkiem, to też staje się sakramentem?

Nie. Musi być forma kanoniczna, choćby bardzo uproszczona. Zgodę małżeńską można wyrazić nawet w kancelarii parafialnej, w obecności np. proboszcza i dwóch świadków zwykłych, czyli gospodyni i kościelnego. Ale musi ona mieć miejsce.

Nie jest więc tak, że dwoje polskich katolików idzie do urzędu i zawiera związek cywilny – a bez ich wiedzy robi się z tego sakrament?

Nie, ale dam inny przykład. Pobożna katoliczka ma narzeczonego, który jest wojującym ateistą, choć w dzieciństwie ochrzczonej. On w żadnym wypadku nie chce zgodzić się na ślub kościelny. Biskup może zgodzić się na tzw. dyspensę od formy – małżeństwo w urzędzie stanu cywilnego nabiera również konsekwencji prawnych w Kościele.

Będzie miało wymiar sakramentalny, choć tego pana nie będziemy ciągnąć do kościoła?



JAKUB SZYMCIUK / FOTO GOŚC

MAREK BLAŻYŃSKI jest doktorem habilitowanym teologii, profesorem Papieskiego Wydziału Teologicznego w Warszawie, wykładowcą teologii ekumenicznej i dogmatycznej w Collegium Bobolanum oraz Ukraińskim Uniwersytecie Katolickim we Lwowie. Birytualista, duszpasterz akademicki młodzieży grekokatolickiej w Warszawie.

Tak jest. Bywały np. sytuacje, że kobieta wychodziła w PRL-u za mąż za niewierzącego działacza partyjnego, brali ślub cywilny bez wspomnianej dyspensy, ale później ona jednak uznała, że trzeba to uregulować. Istnieje w takim przypadku procedura, zgodnie z którą ta kobieta może jednostronnie uregulować sprawę przed kompetentną władzą kościelną. Nawet bez wiedzy męża.

A jeśli on się potem nawróci i dowie, że zawarł wcześniej sakrament?

Zrobiono to ze względu na dobro duchowe: by ona mogła przystępować do sakramentów.

Z jednej strony mamy porządek regulacji. A jak Bóg porusza się w tej rzeczywistości?

W teologii sakramentów generalnie, a przy sakramencie małżeństwa zwłaszcza, istnieje ciągle napięcie między porządkiem łaski – czyli tym, czego naucza teologia dogmatyczna – a prawem kanonicznym.

Możemy się do tego przyznać tak wprost?

Sam podkreślam to na wykładach. Zresztą są podobne przykłady z innych sakramentów. Faktycznie, czasami mam wrażenie, jakby kanoniści chcieli nakazać Duchowi Świętemu, gdzie ma zstąpić. Myślę, że Duch Święty się tym jednak nie przejmuje.

Może nie znać aktualnej wykładni na temat ważności zgody małżeńskiej?

Trzeba powiedzieć, że Kodeks Prawa Kanonicznego z 1983 r., czy później Kodeks Kościołów Wschodnich w 1990 r., są o wiele bardziej nasączone treściami teologicznymi niż wcześniejsze dokumenty. W kodeksie Benedykta XV z 1917 r. było czyste prawo. Wiele się zmieniło, jednak wciąż małżeństwo jest sakramentem, w którym najbardziej widać, jak prawo wtrąca się w porządek misterium.

No właśnie: gdzie jest w tym wszystkim Bóg?

Znowu mówimy o zderzeniu prawa z porządkiem łaski. Typowym przykładem owego zderzenia jest dla mnie kanon 927 Kodeksu. Dotyczy Eucharystii i tego, że nawet w ostatecznej konieczności nie godzi się dokonywać konsekracji jednej postaci bez drugiej, albo obydwu postaci – poza sprawowaniem Eucharystii. To jest typowo rzymsko-katolicki problem – ów kanon nie ma odpowiednika w Kościele wschodnim. Daje nam do zrozumienia, że jeżeli by kapłan wszedł do piekarni i wypowiedział słowa: „To jest ciało moje”, wówczas konsekracja nie zachodzi. Albo inny przykład: idę do winiarni i konsekruję wino. Od strony teologii dogmatycznej można powiedzieć, że konsekracja nie ma miejsca, ponieważ ten kapłan nie ma intencji czynienia tego, co chce Kościół. Nie ma sakramentu – są kpiny z niego.

Istnieją jednak kanoniści, którzy mówią, że da się w piekarni konsekrować ważne, choć niegodziwie. Tak jakby chcieli – znowu – zadekretować, kiedy Duch Święty ma działać.

To skąd mamy wiedzieć, gdzie o łaskę chodzi, a gdzie o wadę zgody?

Tego się nie da zmierzyć – nie ma na to żadnych liczników ani termometrów.

Czyli znowu prawnicy kanoniczni mają nad teologami przewagę – oni umieją zmierzyć, czy coś było ważne, czy nie.

Oni to potrafią dlatego, że prawo kanoniczne rządzi się swoimi, prawniczymi metodami naukowymi.

A terminologia nie jest zbieżna?

Czasami jest, ale tylko dlatego, że była narzucana. Teraz jednak mówi się już

o przymierzu małżeńskim, a nie o kontrakcie. Jeszcze w 1931 r. Pius XI mówił o małżonkach „kontrahenci”. Na pewno proces „dekanonizacji” – czyli właśnie usuwania terminów prawnych – będzie jeszcze długo trwał, żeby przejść do porządku łaski i żeby wyeksponować to, co dotyczy samego sakramentu. Gdy Jan Paweł II wymienił w adhortacji „Familiaris consortio” cztery podstawowe zadania rodziny – tworzenie wspólnoty osób, służba życiu, rozwój, udział w rozwoju społeczeństwa i w życiu oraz posłannictwie Kościoła – to już nie używał terminologii prawnej.

Oczywiście małżeństwo od starożytności jest uwikłane w prawo. Wiadomo, że w prawie rzymskim też nie mało miejsca poświęcano kwestii małżeństwa czy właśnie rozwodów. Jest to zatem instytucja przede wszystkim państwowa. W związku z tym właśnie przy tym sakramencie najtrudniej o oddzielenie porządku misterium i prawa.

Właściwie jaka jest różnica między sakramentalnym małżeństwem katolickim a tym naturalnym, zawartym w jakiegokolwiek innej kulturze czy porządku prawnym? Gdzie my widzimy tę łaskę sakramentu?

Widzimy, że małżeństwo jest bardziej trwałe...

Chyba w tym sensie, że trudniej je rozwiązać. Ale czy zawierający je małżonkowie dostają pakiet trwałości w zastrzyku łaski?

Łaski są obiektywne. To, że ja przyjąłem sakrament święceń, nie znaczy,

że jestem od pani pobożniejszy, świętszy, mądrzejszy. Tak samo jest przy sakramencie małżeństwa. Zapraszamy Chrystusa, który jest niejako z nami, tak jak był na weselu w Kanie Galilejskiej. Zresztą w historii teologowie uważali, że właśnie to wesele było momentem, kiedy Jezus podniósł małżeństwo do rangi sakramentu.

Natomiast jeżeli chodzi o skutki, to bardzo długo ten najważniejszy był wspólny dla małżeństw sakramentalnych i naturalnych – zrodzenie potomstwa.

Do tego małżeństwa nie trzeba.

Dopiero „Familiaris consortio” Jana Pawła II było pod wieloma względami rewolucyjnym dokumentem – bardziej niż „Amoris laetitia”. Papież wyraźnie mówił, że pierwszym skutkiem małżeństwa jest stworzenie wspólnoty osób. Dzisiaj ludzie dłużej żyją. Mogą się pobrać siedemdziesięciolatkiem i wiadomo, że skutkiem nie będzie potomstwo.

Trudno jednak pojąć, że człowiek wchodzi w związek z całą dobrą wolą, angażując rodzinę, a potem może się dowiedzieć, że to w ogóle nie było ważne. Gdybym nie chciał się rozstać z mężem, a Kościół by stwierdził nieważność węzła, to miałabym poczucie krzywdy. Mówiono mi przecież, że kościelny węzeł jest nierozzerwalny. A teraz co: sąd wie lepiej ode mnie, czy małżeństwo zaistniało?

Wszystko się rozбивa o tzw. symulację. Zawsze w porządku sakramentalnym symulacja jest bardzo trudna do udowodnienia – oznacza, że ktoś udaje zgodę.

Wchodzę w to nie wiedząc, że on udaje.

Albo następuje symulacja tak naprawdę obiektywna: małżonkowie są niezdolni do zawarcia sakramentu z przyczyn natury psychicznej – nie są gotowi, by podjąć tak istotne obowiązki.

To prawo i psychologia. Co na to teologia?

W teologii, tej klasycznej, wyróżnia się tzw. materię i formę sakramentu. Np. materią sakramentu chrztu jest zanurzenie w wodzie albo polanie wodą, a formę stanowią słowa, które temu towarzyszą. W przypadku większości sakramentów można łatwo wyróżnić materię i formę – natomiast przy małżeństwie jest to niezmiernie trudne. Niełatwe jest zwłaszcza ustalenie materii, bo formą z zasady jest zgoda, ów konsensus małżeński.

Zacytuję ks. Czesława Bartnika: „Materią bliższą sakramentu małżeństwa jest zespół cech, warunków, zdolności i możliwości względem życia małżeńskiego w sensie somatycznym, psychicznym i personalnym, dzięki czemu małżeństwo może się zrealizować we właściwym i pełnym znaczeniu”. Cokolwiek to znaczy.

Próbuję sobie tę materię wyobrazić.

Jan Paweł II w „Familiaris consortio” przynajmniej pośrednio wskazał, że istotnym elementem tego, co określa się jako materia bliższa, jest sama miłość małżeńska lub świadomy i wolny wybór, poprzez który mężczyzna i kobieta przyjmują wewnętrzną wspólnotę życia i miłości zamierzoną przez samego Boga. © Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

Przed sądem biskupim

W KOŚCIELE KATOLICKIM

małżeństwo jest z zasady nierozzerwalne. Efektem procesu kanonicznego nie jest więc unieważnienie małżeństwa, ale stwierdzenie jego nieważności, innymi słowy: orzeczenie, że do sakramentu nigdy tak naprawdę nie doszło. Jeśli małżeństwo nie

zaistniało – nie ma kanonicznych przeszkód, by wziąć nowy ślub. Sędziów sądu biskupiego nie interesuje, czy małżonkowie mają dzieci, czy się dogadywali, ani czy dochodziło do zdrad. Podczas procesu bada się przede wszystkim sam moment zawierania ślubu. Prawo kanoniczne wymienia trzy kategorie przyczyn, dla których związek może być nieważny. Pierwsza to „przeszkody do zawarcia małżeństwa”:

nieodpowiedni wiek, zbyt bliskie pokrewieństwo itp. Druga kategoria dotyczy „wad zgody małżeńskiej”. Przed sądem trzeba udowodnić, że któraś ze stron nie zdawała sobie sprawy, co robi wstępując przed ołtarz, albo nie miała podstawowej wiedzy o tym, czym jest małżeństwo. Nieważny jest też sakrament zawarty pod jakimiś ukrytymi warunkami, pod przymusem albo taki, w którym ktoś z góry postanowił, że nie będzie

chciał mieć dzieci. W praktyce najczęściej orzeka się nieważność małżeństwa ze względu na niedojrzałość psychiczną. Ostatnia kategoria to „brak kanonicznej formuły zawarcia związku”, czyli – nieobecność którejś ze stron lub księdza podczas ceremonii. Poza wymienionymi istnieje jeszcze jeden powód, dla którego można stwierdzić niezaistnienie małżeństwa – jeśli nigdy nie zostało skonsumowane.

© MACIEJ MÜLLER



GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA GAZETA

W 365. Pieszej Pielgrzymce Łowickiej na Jasną Górę z powodu pandemii szła ograniczona liczba wiernych. 30 maja 2020 r.

Droga do źródła

PIOTR SIKORA

Koronawirus przerwał wiele tradycyjnych szlaków pielgrzymkowych. Nic to. Najważniejsze Sanktuarium, do którego dążyć warto całe życie, każda i każdy nosi w sobie.

ZAWSZE JEST GDZIEŚ JAKIEŚ ŚWIĘTE miejsce. Zwykle trochę dalej, na uboczu zwykłych spraw naszego życia. Tu – dom, praca i szkoła. Tam – wieża i obraz, fragment drzewa, grób świętego. Tu jednak nie wszystko jest tak, jak trzeba. W domu nieraz chłodne milczenie, a jeśli słowa, to sporo z nich tnie skórę duszy. Z pracy wyciekł sens, a sukces umknął. W szkole trwa wyścig nie do wygrania. Do tego jeszcze problemy z tarczycą, ciśnieniem albo stawem biodrowym. Święte miejsce na horyzoncie przyciąga. Rodzi się myśl – spakuj rzeczy niezbędne, zostaw na jakiś czas to, co tutaj. Wyruszyć w drogę. Zapelnij brak, któ-

ry głucho odzywa się w trzewiach. Dojdź tam. Może nawet w zamian za niewygodę, ból i wysiłek święty Bóg zmieni na lepsze to, co tu.

Topos drogi

Tak było zawsze, od wieków: pielgrzymi, zwykli ludzie, ruszali na szlak. Co jednak zrobić, gdy sił już brakuje, kolana protestują po godzinie marszu albo na świecie szaleje koronawirus? Gdy – z tych lub innych powodów – nie można iść stąd do świętego miejsca?

I to było zawsze. Jak nie zaraza, to zbójcy. Jak nie biodro, to woda w kolanach. I zawsze – na szczęście – byli tacy,

którzy mówili, jak stary mędrzec Laozi, że nie trzeba wychodzić z domu, by ruszyć Drogą Nieba. Że owszem, jesteśmy cielesni, więc całodzienny marsz, głód i spanie na ziemi bardzo pomagają duchowej przemianie. Ale jednak najważniejszej drogi nie ma na tych mapach, na których naniesiono proste linie południków, kręte szlaczki rzek i odległość z miasta B do sanktuarium A. Bo na nich nie jest ona więcej niżli jednym punktem, pokazującym miejsce, w którym żyjesz teraz. Królestwo, którego szukamy – przypomina apokryficzna Ewangelia Tomasz – jest nie gdzieś daleko, na niebie czy w morzu, lecz „wewnątrz ciebie i wokół ciebie”.

A jednak ludzkość opowiadała historię o tej drodze, pisała przewodniki, rysowała mapy. Niektóre z tych historii mogły wydawać się dziecinne – np. baśnie: siostra, ścigając złą królową, by ratować brata, z dziewczynki staje się kobietą; albo: trzech braci wyrusza na poszukiwanie wody, której łyk może uzdrowić ich ojca – króla; i tylko najmłodszy, któremu wmówiono, że jest do niczego, powraca z eliksirem (odkrywszy, kim naprawdę

jest). Są także legendy ważne dla kultury – jak wyprawa po runo lub szukanie świętego Graala.

Również w tekstach uznawanych za wprost religijne motyw duchowej wędrówki pełni ważną funkcję. W judaizmie Drugiej Świątyni, religii Jezusa, wielkie znaczenie odgrywały księgi, które, choć nie weszły do ustalonego niedługo później kanonu, odegrały istotną rolę w kształtowaniu mistycznych nurtów wiary Izraela, z których jeden przekształcił się w końcu w chrześcijaństwo. Jednym z ich głównych motywów była wewnętrzna wędrówka bohatera przez kolejne poziomy duchowego świata, aż do „miejsca” przebywania Boga. W Nowym Testamencie znajdujemy zapisane świadectwo Pawła z Tarsu, który z takim właśnie doświadczeniem łączy swoją misję apostoła (2 Kor 12, 1-11).

W chrześcijaństwie motyw wewnętrznej podróży jeszcze rośnie na znaczeniu. Dla pierwszych teologów, takich jak Klemens z Aleksandrii, Orygenes, Grzegorz z Nyssy czy Pseudo-Dionizy Areopagita, to właśnie pielgrzymka ducha i umysłu stanowi prawdziwy sens biblijnych historii o wstępowaniu Mojżesza na górę Synaj albo o wędrówce Izraelitów przez pustynię. Tradycja podążania wewnętrzną ścieżką trwa w średniowieczu i później – co pokazują tytuły dzieł kluczowych dla katolickiej duchowości: „Wędrówka umysłu do Boga” albo „Droga na górę Karmel”. A i „Twierdza wewnętrzna” zawiera w sobie motyw ruchu – wchodzenia coraz bardziej w głąb siebie, aż do centralnej komnaty duszy, w której mieszka Bóg.

Tu ważna uwaga: w sferze, o której mówimy, żaden obraz nie jest adekwatny; konieczna jest korekta jednej metafory za pomocą drugiej. Motyw wstępowania na górę, pielgrzymki przez pustynię mogłby nam sugerować niewłaściwy kierunek ruchu – poza siebie. Uleglibyśmy wówczas złudzeniu. Szczyt Karmelu czy Synaju albo zamek Graala – nie jest poza nami. Jak pisał św. Izaak Syryjczyk: „Staraj się wejść do izdebki swego wnętrza, a zobaczysz skarbiec niebiański. Te dwa przybytki są bowiem jednym. Przez jedno wejście dostrzeżesz je oba. (...) Drabina do królestwa niebieskiego ukryta jest w tobie, a więc w twej duszy. Zanurz się w sobie samym, z dala od grzechu, a znajdziesz tam stopnie, po których możesz się wspiąć”. To, co na górze, jest tym,

co na dole. Wznoszenie się to schodzenie w głąb.

Do środka

Poczucie potrzeby zmiany kierunku życiowej energii i uwagi, od jakiej rozpoczyna się podróż do środka siebie, dobrze wyraził św. Augustyn z Hippony w modlitwie zapisanej w X księdze „Wyznań”: „Późno Cię pokochałem, Piękności tak dawna, a tak nowa, późno Cię pokochałem. Byłaś wewnątrz, a ja na zewnątrz. I tam Ciebie szukałem – bezkształtny – biegając za kształtnymi rzeczami, które stworzyłaś. Byłaś ze mną, ja nie byłem z Tobą”.

Można – jak się okazuje – być niby u siebie, ale tak naprawdę żyć całkiem na zewnątrz, gdy całą uwagę, wolę i pragnienie kierujemy ku otaczającym nas stworzeniom. Są one, jak pisze Augustyn, kształtne: co znaczy nie tylko tyle, iż mają specyficzne cechy umożliwiające rozpoznanie, lecz także, że się podobają, przykuwają uwagę i pociągają nasze uczucia, myśli i wolę. Ciekawe jest słowo użyte przez Augustyna na oznaczenie relacji do rzeczy: *irruo* – co m.in. znaczy: wjechać, wbiec, wpaść w coś. W pewnym sensie nie tylko sięgamy do rzeczy, ale wpadamy w nie z impetem.

Parę wieków po Augustynie Mistrz Eckhart poczynił ważne w tym kontekście rozróżnienie: trzeba angażować się w przemianę świata, ale jednocześnie pilnować, by być tylko „przy rzeczach”, a nie „w nich”. Jeśli jesteśmy „w nich”, to znaczy, iż sprawy tego świata pochłonęły nas tak bardzo, że aż uwięziły. A jeśli jest ich wiele i w każdej zostawiamy część siebie, rozrywają nas. Stajemy się rozproszeni, pokawałkowani, z uwagą niby tu, niby tam; nieco życiowej energii oddaliśmy pracy, trochę – jakiemuś hobby, jeszcze trochę – bliskim ludziom. Co więcej – i to jest główny problem – w tym rozproszeniu upatrujemy spełnienia. A skoro widzimy swoje spełnienie w tak różnych miejscach, zmierzamy (lub zmierzając chcemy) jednocześnie w przeciwną stronę. Trudno powiedzieć, gdzie i kim jesteśmy. Rozerwani – nie mamy spójnego kształtu.

Rozproszenie przekracza najczęściej granice przestrzeni. Siega w przeszłość i przyszłość. Częśćka nas utknęła w dawnych wydarzeniach, a część już uciekła ku temu, co dopiero zamierza się zdarzyć. „Kiedyś dawno” trzyma nas na uwięzi

wspomnień, albo nawet w bardziej wyrafinowany sposób – trudno dostrzegalnymi drucikami zastygłych w nas nawyków, emocjonalnych kolein, schematów myślenia. „Kiedyś dopiero” wciąga w wir oczekiwań, szczelinę albo przepaść między „jest” a „chciałbym, żeby było”.

Wyraźne rozpoznanie, że jesteśmy hen na zewnątrz, w rzeczach, to już pierwszy krok powrotu do siebie. Ów pierwszy przeblask różnie może wyglądać. Czasami ma postać poczucia rozbicia i zmęczenia – że nie mamy już siły, a niewidzialne nitki ciągną nas w różne strony, nie wiemy, w co ręce włożyć, odkrywając coraz wyraźniej, że nie myśmy wybrali, lecz zostali wciągnięci. Albo: wewnętrzny konflikt – pomiędzy różnymi potrzebami lub pragnieniami a poczuciem obowiązku...

Samo rozpoznanie swego stanu – jako zmiana świadomości – jest już ruchem, chociaż nie w przestrzeni, pierwszym krokiem powrotu. Potrzebne są jednak następne. Ów pierwszy krok bowiem to najczęściej mętlik w głowie. Wiemy, że chcemy coś zmienić, ale nie orientujemy się za bardzo co i w którą stronę. Następną fazą ruchu musi być – chociażby niewielkie – wycofanie. Pozwolenie sobie na czas jakiś spokojnego nicnierobienia. Bez aktywnego zajmowania umysłu czymkolwiek. Uważnego po prostu bycia – w którym mogą pojawić się zarysy przeszłych pułapek, w których wciąż tkwimy, ślady dawnych zranień niby zbliżniowych, ale tak naprawdę jęczących się podskórnie, albo, z drugiej strony, przebliski tego, czego tak naprawdę chcemy, zarysy marzeń, które niemo krzyczą, by je zauważyć. Ten krok potrzebuje samotności, ale także – często – rozmowy z drugim człowiekiem: bliską osobą, duchową przewodniczką, psychoterapeutą, nieznanym pasażerem podróżującym w tym samym przedziale.

Idąc do środka, powracamy do swoich najgłębszych potrzeb i pragnień, do korzeni rodzących się emocji, do zakrzepłych od dzieciństwa schematów kierujących myślami – a powrót to fascynujący i trudny zarazem. Wracamy z rozproszenia w rzeczy i sprawach, stajemy się bardziej świadomi, co zrobiła z nami historia naszego życia, gdzie kierują się nasze marzenia – i dlaczego. Trzeba dać sobie czas na bycie z sobą samym. Najpierw się rozgościć, a potem zamieszkać w sobie.

Kto idzie



Gdy zrobimy ten krok, może (powinno?) pojawić się jednak pytanie: kto dał się rzeczom i sprawom wyciągnąć i zamknąć, kto teraz wraca, kto staje się coraz bardziej świadomy (kogo?)? Jeśli, jak pisała Teresa z Ávili, dusza jest twierdzą, pałacem z mnóstwem komnat, do której trzeba wejść, przemierzyć pokoje i dotrzeć do centrum – kim właściwie jest ta/ten, kto po twierdzy tej chodzi?

Można próbować zbyć pytanie, stwierdzić, że to tylko metafora. Metafora – zapewne. Lecz kryje się pod nią zagadka: skoro mogę z uwagą przyglądać się swoim uczuciom, skłonnościom czy myślom, jeśli jestem zdolny pozwolić im jawić się i albo poruszać mną, albo w spokoju odpływać – kim jest ten, kto daje się ponieść lub trwa nieporuszenie i obserwuje?

Starożytni i średniowieczni myśliciele – tak z grecko-chrześcijańskiej, jak i z innych, np. hinduskich, tradycji – opierając się nie tylko na spekulacji, lecz także na medytacyjnym, egzystencjalnym doświadczeniu, rozpoznali, że w człowieku istnieje poziom głębszy niż zmienny nurt myśli, skłonności i uczuć, że nie jesteśmy ani swoją przyjemnością lub bólem, ani chęcią tego czy tamtego, ani strumieniem myśli kołującym się w głowie.

Historia ludzkości zna rozmaite próby opisanie tego wymiaru człowieczeństwa. Ludzki język dochodzi tu do granic swoich możliwości, nic dziwnego,

Wracamy z rozproszenia
w rzeczach i sprawach,
stajemy się bardziej świadomi,
co zrobiła z nami
historia naszego życia, gdzie
kierują się nasze marzenia.

**Trzeba dać sobie czas
na bycie z sobą samym.**

że po tych próbach pozostały raczej metafory, obrazy i symbole niż precyzyjne teorie. W chrześcijańskiej tradycji mówi się o „człowieku wewnętrznym”, który jest niewidzialny (Paweł z Tarsu), o „umyśle świetlistym jak niebo” (Ewagriusz), o „iskierce”, „dnie duszy” (Eckhart). Jednak, jak to właśnie Eckhart zauważa, owo „coś” nie jest ani tym, ani tamtym, jest „wolne od wszelkich nazw, pozabawione wszelkich form oraz tak swobodne i wolne, jak Bóg sam w sobie i tak jak On doskonale jedno i proste”.

Świadomy powrót do tego „miejsca” (które nie jest wcale miejscem) nie może – z istoty rzeczy – wiązać się z żadnym pojęciowym ujęciem samego siebie. Na każdym wcześniejszym etapie pielgrzymki do siebie proces poznawczy wiąże się z odróżnieniem poznającego podmiotu

i przedmiotu poznania. Gdy poznajemy swoje uczucia, skłonności, myśli, a nawet określoną całość, łączącą tamte w coś jednego, co uznajemy za swoją osobową tożsamość (przyznając: to ja, ja właśnie jestem tym, a nie kimś innym, ja mam taką historię życia, to moje cechy, moje poglądy) – czynimy z tego „siebie” obiekt poznawany jakby z zewnątrz.

Prawdziwego podmiotu – kogoś, a nie czegoś – nie można uprzedmiotowić. Tego, kim (nie czym) jestem, nie mogę przedstawić sobie w postaci przedmiotu poznania. Tam, gdzie jesteśmy całkiem u siebie, ten, kto poznaje, akt poznania i poznania przedmiot, są czymś jednym, nie do odróżnienia. Jest to czysta świadomość, bez autorefleksji „»ja« jestem świadomy”, i bez myślenia „jestem świadomy »siebie«”. Czysta świadomość nie ma żadnych granic – te bowiem oddzielają przedmiot od przedmiotu. Nie ma więc i granicy między nią a Bezgranicznym: „Tutaj głębia Boga jest moją głębią, a moja – Jego” – jak mówił Eckhart.

Gdy więc rozważamy, gdzie by pielgrzymować, do jakiego świętego miejsca zaznaczonego na mapach, jesteśmy jak uczniowie w rozmowie z Jezusem zapisanej w Ewangelii Tomasza: „Zapytali: »Pokaż nam miejsce, w którym jesteś, ponieważ musimy koniecznie go szukać«. Powiedział im: »Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha. Wewnątrz człowieka jest światło i świeci na cały świat«”.

© P. PIOTR SIKORA

Na Jasną Górę w dobie pandemii

ZE WZGLĘDU NA ZAGROŻENIE EPIDEMICZNE

żadna z tradycyjnych pieszych pielgrzymek na Jasną Górę nie może się w tym roku odbyć tak, jak dotąd. Duszpasterze zaproponowali w zamian pielgrzymowanie w innych, bardzo różnych formach.

■ W pielgrzymce paulińskiej ze Skałki szło tylko 150 osób – głównie rodziny z dziećmi.

Wędrowkę relacjonowano na profilu facebookowym.

■ Niektóre pielgrzymki odbyły się w formie sztafetowej – każdego dnia szła inna grupa pielgrzymów, dowożonych na miejsce, do którego docierała grupa poprzednia (np. pielgrzymki przemyska i piotrkowska).

■ W diecezji zielonogórsko-gorzowskiej organizowano pielgrzymki jednodniowe do różnych sanktuariów maryjnych.

■ Nieliczna grupa pielgrzymów z Białegostoku pieszo

przejdzie tylko ostatnie 10 km. Pozostali są zachęceni do pielgrzymowania duchowego poprzez odmawianie specjalnych modlitw zamieszczonych na stronie diecezji.

■ Z Poznania pielgrzymowali tylko księża – przewodnicy grup. Podobnie, ale w systemie sztafetowym, pielgrzymowali przewodnicy grup Warszawskiej Pielgrzymki Pieszej Akademickich Grup „17”. Pozostali mogli włączyć się duchowo – przez uczestnictwo w transmisjach z trasy, rozważanie proponowanych materiałów formacyjnych albo podjęcie

trudu indywidualnego maszerowania, np. po lesie.

■ Pielgrzymka góralska z Bachledówki była najmniej liczna ze wszystkich – jej drogą szedł tylko główny ksiądz przewodnik z kilkoma towarzyszącymi osobami.

■ Dominikańskiej pielgrzymki nie będzie w ogóle.

■ Najliczniej całą trasę przemierzą pątnicy archidiecezji krakowskiej. Pójdą w dziewięciu niezależnych pielgrzymkach, po 150 osób każda, zmierzających na Jasną Górę różnymi drogami. © P. PS

Wiara po remiksie

DARIUSZ KOT

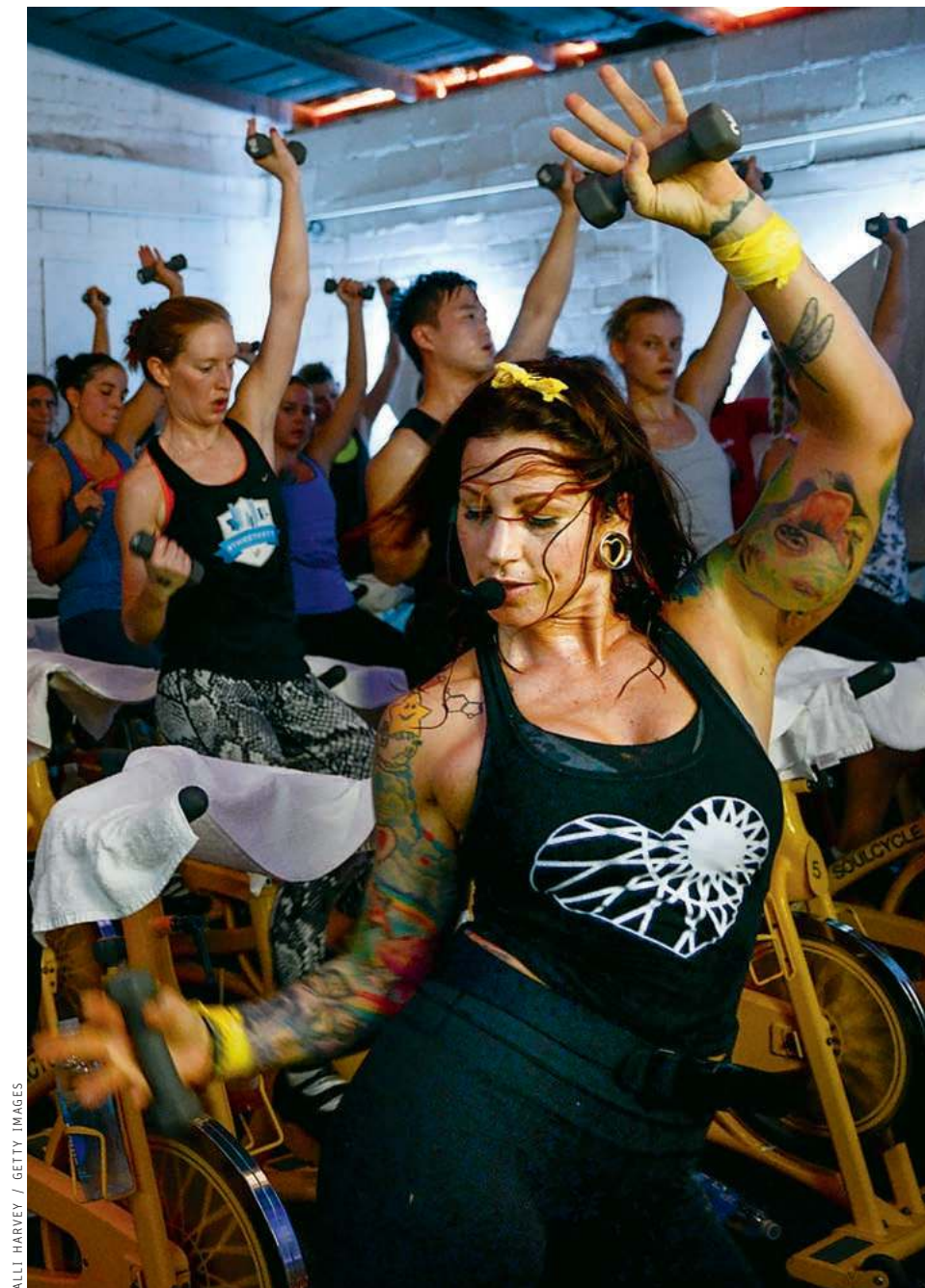
Nowe synkretyczne religie bez Boga rozwijają się także w Polsce. Są jednak mało widoczne, bo ich składników nie potrafią wychwycić badania statystyczne.

PRZESTAŃMY PYTAĆ: JESTEŚ KATOLIKIEM czy może buddystą? – proponuje w książce „Dziwne obrzędy. Nowe religie w świecie bez Boga” Tara Isabella Burton. I sugeruje zadawanie dokładniejszych pytań: jak widzisz świat, co chcesz osiągnąć w życiu, co zwykle robisz, żeby się zmotywować do działania – i w którym towarzystwie? Dla teologiki związanej z amerykańskim Religion News Service religia to każda społeczność, której członkowie podzielają ten sam światopogląd i biorą udział w tych samych rytuałach, przy czym rytuały te pomagają im w osiągnięciu osobistych życiowych celów, logicznie wynikających ze światopoglądu.

Burton teoretycznie zajmuje się szybko rosnącą grupą osób bezwyznaniowych (ang. *religious nones*), odrzucających wszelkie oficjalne zorganizowane religie. Według PEW Research Center w 2019 r. do grupy tej należało już 26 proc. wszystkich Amerykanów. Czytelnik „Dziwnych obrzędów” szybko się jednak orientuje, że sита ankiet przeprowadzanych przez ośrodki statystyczne przepuszczają większość z tego, co naprawdę ważne w życiu ludzi żyjących poza Kościołami. Ich nowe kultury nie potrzebują ani zawodowych kapłanów, ani kamiennych katedr, ani nawet samego Pana Boga. Odrzucają także świecki liberalny humanizm i finansowy kapitalizm. Nawet ateizm w stylu Richarda Dawkinsa stał się dla nich zbyt instytucjonalny, elitarny i podejrzany.

Siłownie, czary i wielomiłość

Miejsca, w których Burton potrafi wytropić ślady religii, bywają dość zaska-



ALLI HARVEY / GETTY IMAGES

Sesja treningowa SoulCycle w jednym z klubów w Austin, Texas, marzec 2015 r.

kujące. Zwraca uwagę np. na ćwiczenia SoulCycle, łączące medytację z intensywnym treningiem i gimnastyką na rowerach stacjonarnych. „Obrzędy” wyglądają tak: podczas gdy uczestnicy kursu wyężdżają mięśnie, z centralnie ułożonej „ambony” otoczonej zapalonymi świecami instruktor recytuje motywacyjne „prawdy wiary”: chodzi przede wszystkim o ciebie; pora skończyć z wymówkami; znajdź swoją własną prawdę itp. Codzienne zajęcia wprowadzają w ży-

cie uczestników porządek i sens, budowany wokół ideału samorealizacji. Charzmatyczny trener jest gotowy doradzić np. w sprawie rozvodu albo zerwania toksycznej przyjaźni – z determinacją przypominającą obyczaje surowych sekt. Całe przedsięwzięcie to jednak przede wszystkim biznes wart ok. 100 mln dol.

Ważne dla uczestniczek SoulCycle standardy kobiecego zdrowia, urody i ubioru są uznawane za część opresyjnych, patriarchalnych obyczajów i praw →

→ przez współczesne „czarownice”. Nawiązują one do pocytyckiej religii Wicca, do innych ludowych wierzeń, do okultyzmu. Jest ich w USA około miliona. Używają magii rozumianej symbolicznie, a niekiedy całkiem dosłownie – jako narzędzia społecznego protestu, zwłaszcza przeciw administracji Donalda Trumpa. W październiku 2018 r. największe gazety w USA rozpisywały się o „złocie czarownic” w jednym z brooklińskich sklepów. Zaklęcia i recytacja opisów nadużyć seksualnych, których ofiarami padły uczestniczki tego spotkania, miały zapobiec wybraniu do Sądu Najwyższego Brett Kavanaugh, którego psycholożka Christine Blasey Ford oskarżyła o molestowanie.

„Zhakowałyśmy nasze diety, ciała i praktyki religijne” – komentuje autorka „Dziwnych obrzędów”, po czym pyta: „Dlaczego nie miałybyśmy zhakować i zoptymalizować także naszego życia seksualnego?”. Próbuje tego jej zdaniem dokonać utopie seksualne. Najbardziej popularna stała się w ostatnich latach wielomiłość, czyli kochanie i wiązanie się z więcej niż jedną osobą, przy wiedzy i zgodzie wszystkich zainteresowanych stron. Wielomiłość wiąże się z innym ważnym dla nowych świeckich religii ideałem: autentycznością. „Gdy zastępujemy zewnętrzne moralne autorytety tym, co negocjowane osobiście przez konkretne osoby – osiągamy coś w rodzaju życiowego spełnienia”. Już 5 proc.

Pytanie „Jak Pani/Pan myśli, co się staje z nami po śmierci?”

z góry zakłada, że każdy z nas
nieuchronnie umrze.
Jak więc mieliby
na nie odpowiedzieć
transhumaniści?

Amerykanów żyje w tego rodzaju rodzinach, które akceptuje 25 proc. reszty społeczeństwa.

Nowe rytuały i wojna kulturowa

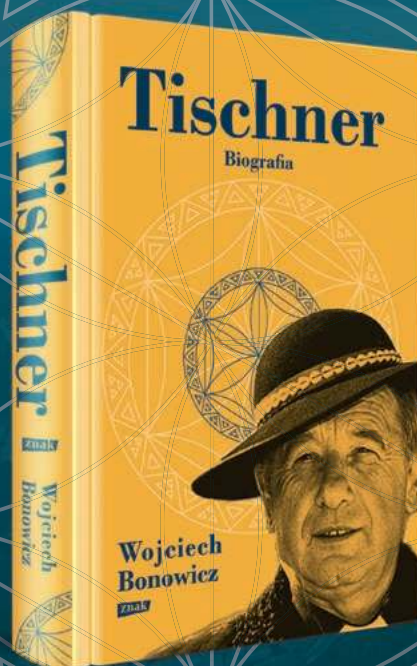
Ani skomercjalizowana obrzędowość SoulCycle, ani „magiczne podziemie”, ani wielomiłość same przez się nie spełniają wszystkich czterech wymogów, na podstawie których można według Burton mówić o w pełni rozwiniętych religiach. Funkcjonują one natomiast jako elementy większych całości. „Dzisiejsza kultura mieszania i dopasowywania powoduje – wyjaśnia autorka – że można znaleźć poczucie wspólnoty w jednym miejscu, a pełniejszy obraz świata gdzie indziej. Można odprawiać rytuały związane z kulturą zdrowia i samodoskonalenie

nia, a jednocześnie kierować się w życiu głównie politycznymi priorytetami”. Burton proponuje nawet, aby zastąpić termin „bezwyznaniowi” nowym, lepiej pasującym określeniem „wierzący synkretycznie” (*religiously remixed*).

„Magiczne podziemie” tworzy sze-roki sojusz polityczny z ruchami ekologicznymi, z socjalistami potępiającymi skrajne nierówności majątkowe, a także z aktywistami broniącymi praw mniejszości seksualnych i rasowych, jak organizacja Black Lives Matter. Stanowią oni społeczne zaplecze radykalnego skrzydła Partii Demokratycznej. Burton uznaje ten bardzo niejednorodny ruch sprawiedliwości społecznej (ang. *social justice movement*, SJM) za rodzaj świeckiej religii. W jej „kosmologii jesteśmy z natury niezapisanymi kartkami, a nasze opresyjne tożsamości zostały nam siłą narzucone z zewnątrz, przez społeczeństwo. Powstaje w ten sposób przekonująca nie-teistyczna wizja, która wyjaśnia, dlaczego świat wygląda tak jak wygląda, umieszcza grzech pierworodny w samych strukturach społecznych, a wyzwolenie wiąże z samoświadomością i solidarnością”.

Rolę rytuałów odgrywają ogromne kampanie zawstydzania i piętnowania na Tumblr i Twitterze osób publicznych, którym zarzucono np. rasizm lub wykroczenia seksualne. Zdaniem Burton, uczestnicy tych akcji wpadają w rodzaj zbiorowego upojenia, co wzmacnia spójność całego ruchu. Zdarza się, że przeciw

REKLAMA



Spotkanie z człowiekiem, który przywraca ludziom nadzieję

Ktoś mi kiedyś powiedział, że jak Tischner wchodził do pokoju, to jakby się drzwi otwierały w człowieku. Drzwi się otwierały – i żyć się chciało. Każdy z nas nosi w sobie pragnienie, żeby przyszedł taki ktoś, kto mu powie: „Słuchaj, cała ta twoja szamotanina ma sens”. Każdy chce to usłyszeć.

Tischner: Biografia to nowa książka. Choć można też powiedzieć – zmieniła i znacznie poszerzona wersja książki *Tischner* opublikowanej w 2001 roku. Dodałem wiele wątków, bo przez ostatnich dwadzieścia lat zebrałem mnóstwo nowych informacji, dotarłem do kolejnych dokumentów, wysłuchałem nowych opowieści.

Wojciech Bonowicz

JUŻ W SPRZEDAŻY

kod rabatowy w księgarni **znak.com.pl**
37tischner

PARTNER
PRACOWNIK
BONOWICZ
znak

„grzesznikom” zostaje wszczęte śledztwo lub zostają oni zwolnieni z pracy.

Rosnącą siłę SJM potwierdziły – już po wydaniu książki Burton – masowe protesty i zamieszki po uduszeniu przez policjanta czarnoskórego George’a Floyd’a. Z drugiej strony, niedawny list wpływowych liberalnych naukowców i intelektualistów „O sprawiedliwości i otwartej debacie” oskarża uczestników rytualnego piętnowania o dogmatyzm i moralizatorskie zaślepienie.

Racjonalizm i transhumanizm

W roku 2010 Eliezer Yudkowsky opublikował na stronie Fanfiction.net własną wersję historii Harry’ego Pottera, który jest synem naukowca i rozwiązuje zagadki Hogwartu metodami racjonalnymi. Ta nowa kognitywistyczna wersja książki J.K. Rowling zyskała 13 tys. recenzji czytelników, toczących żywe dyskusje, organizujących spotkania i starających się usuwać błędy poznawcze ze swojego życia. Ruch racjonalistów powstały wokół Yudkowsky’ego wychodzi od czytelnej ewolucjonistycznej wizji świata, wyjaśniającej w zrozumiały sposób – co ponownie podkreśla Tara Burton – pochodzenie zła, z którym trzeba się zmagać (ewolucyjne mankamenty naszych umysłów).

Zdaniem Burton techno-utopie, jak racjonalizm i transhumanizm, łączą wywodzące się z San Francisco tradycje kontrkultury hippisów z głęboką wiarą w pozytywny potencjał nowych technologii informacyjnych, typową dla Doliny Krzemowej. Wspierają je finansowo założyciele światowych korporacji z branży IT: Peter Thiel (PayPal), Sergey Brin i Larry Page (Google) czy Bill Gates (Microsoft). W przeciwieństwie do ceniącego intuicję i żywe, indywidualne doświadczenie ruchu sprawiedliwości społecznej, dla racjonalistów „zdobywanie wiedzy naukowej i rozwój duchowy są tym samym”. Także transhumanistyczna idea wiecznego życia w ciele robota albo w formie komputerowego software’u jest traktowana całkowicie serio. Już 350 osób, zamrożonych natychmiast po śmierci, oczekuje tego nowego zmartwychwstania.

Zdaniem Burton ruch sprawiedliwości społecznej, techno-utopie i różne bardziej tradycyjne grupy, jak uczniowie broniącego hierarchii społecznych psychologa Jordana Petersena – zaczynają właśnie walkę o nową wielką wizję Ameryki. Na

Polska jeszcze
przed filmami
braci Sekielskich była
**najszybciej laicyzującym się
krajem świata.**

Tylko 16 proc. młodych
uważa religię za „bardzo
ważną” w ich życiu.

przestrzeni XXI w. zastąpi ona i protestanckie chrześcijaństwo, i liberalny humanizm.

Przy czym książka Tary Burton jako źródło wiedzy o transhumanizmie pozostawia nieco do życzenia. Brakuje zwłaszcza kontekstu chrześcijańskich apokalips i Teilharda de Chardina. W tym zakresie warto uzupełnić lekturę „Dziwnych obrzędów” równie interesującym „Stać się maszyną” („To be a Machine”, 2017) Marka O’Connella.

Wzbierająca fala

W każdym kolejnym pokoleniu Amerykanów bezwyznaniowci czy też – jak chce Burton – synkretyczni stanowią coraz większy procent. Na dokładnie to samo zjawisko wskazało głośnie badanie polskiej religijności Pew Research Center z 2018 r. Pokazało ono, że Polska jeszcze przed filmami braci Sekielskich była najszybciej laicyzującym się krajem świata, jeśli brać pod uwagę różnice międzypokoleniowe. O ile wśród starszych 40 proc. stwierdziło, że religia jest dla nich w życiu bardzo ważna, wśród młodych – tylko 16 proc. „Dziwne obrzędy” zapowiadają więc być może przyszłe wierzenia Polaków w tym sensie, że możemy na ich podstawie odgadnąć sposób widzenia świata i hierarchię wartości naszych dzieci, a tym bardziej – wnuków.

Znamienne wydają się także wyniki sondażu CBOS z roku 2015, który zawierał również konkretne pytania o treści wiary, jak te w książce Burton. Analizując wyniki tego badania Zuzanna Radzik zauważyła wtedy, że w Polsce „więcej osób (66 proc.) akceptuje niewywodzącą się z nauki Kościoła wiarę w przeznaczenie, istnienie dobrego lub złego losu, horoskopy i talizmany niż w katolickie do-

gmaty, takie jak zmartwychwstanie zmarłych (62 proc.), obciążenie grzechem pierworodnym (59 proc.) czy piekło (56 proc.). Blisko jedna trzecia respondentów zadeklarowała wiarę w wędrówkę dusz”. Wygląda więc na to, że synkretyczne religie już obecnie zaczynają się wśród Polaków rozwijać, co jest jednak mało widoczne, bo wiele ich nowych składników w ogóle jeszcze się nie pojawia w arkuszach statystycznych. Jeśli np. pytanie dotyczy praktyk religijnych i zawiera odpowiedź: „takich jak: msze, nabożeństwa lub spotkania religijne”, to oczywiście takie sito selekcyjne wypłynie obrzędy Kościoła katolickiego czy Chrześcijańskiego Zboru Świadców Jehowy. Nie dowiemy się jednak niczego o rytualnych zaklęciach ani o motywacyjnych medytacjach. Z kolei pytanie „Jak Pani/Pan myśli, co się stanie z nami po śmierci?” z góry zakłada, że każdy z nas nieuchronnie umrze. Jak więc mieliby na nie odpowiedzieć polscy transhumaniści? (Mogą się oni nawet poczuć urażeni sposobem sformułowania tego pytania).

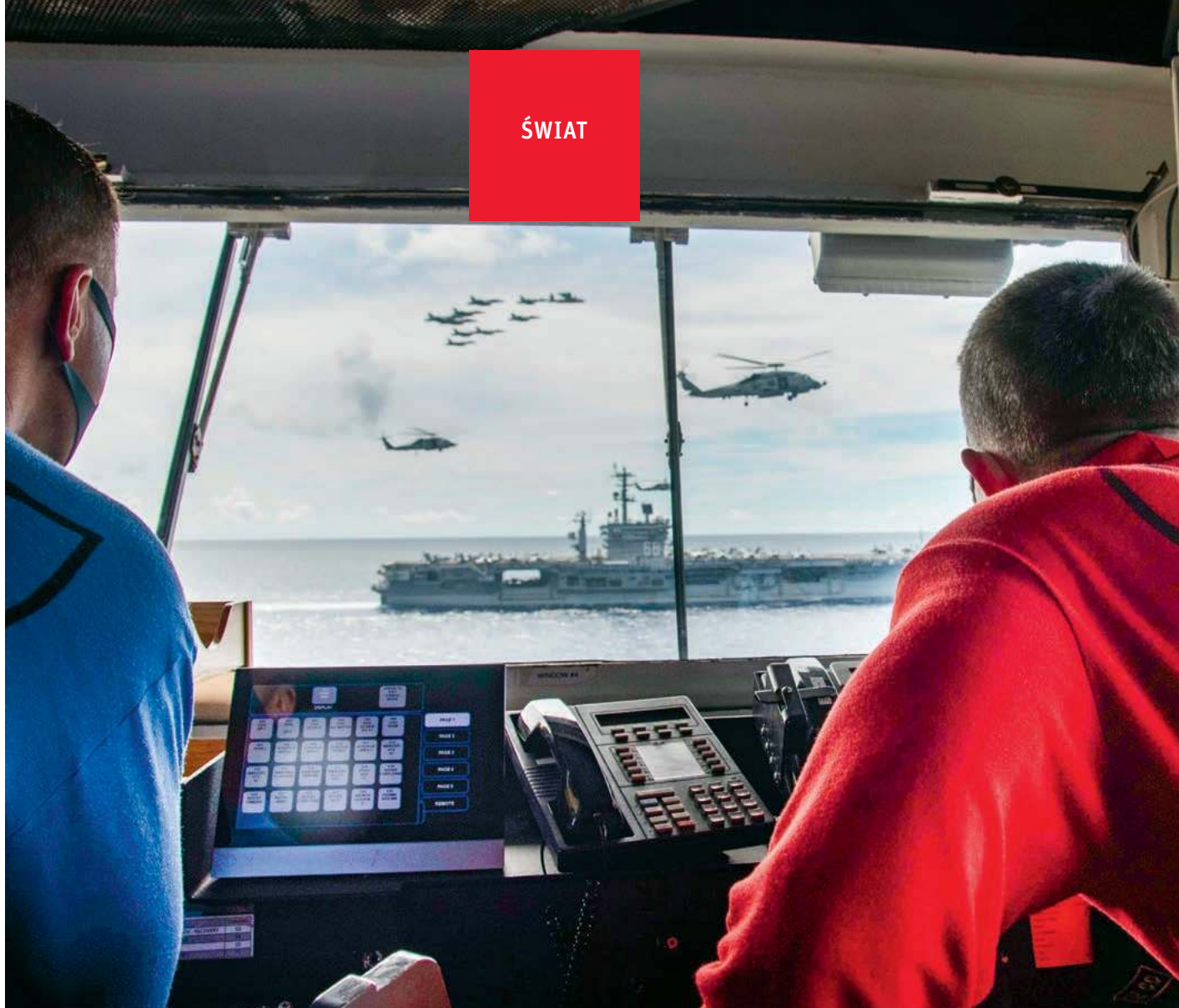
Nie ma oczywiście w Polsce tak radykalnego i wpływowego sojuszu społecznego jak amerykański SJM ani bajecznie bogatych i hojnych założycieli globalnych korporacji IT, marzących o umieszczeniu swoich umysłów w maszynach. Najpopularniejsze wierzenia i rytuały nowych religii będą więc prawdopodobnie nad Wisłą nieco inne niż te za oceanem. Może przynajmniej powstaną w podobnych miejscach? Kto wie, może nasi kibice piłkarscy, jak fani Harry’ego Pottera, spotkają swojego Yudkowsky’ego i zajmą się kiedyś popularyzacją nauk? A może polskie feministki nadadzą nowy sens słowińskiemu gusłom i leśnym ogniskom, wciąż jeszcze tłącmy się po różnych Babich Górach i Świętych Lipkach?

© DARIUSZ KOT

Autor jest filologiem, w miesięczniku „Znak” publikował teksty o Jezusie historycznym. Prowadzi stronę www.worldviewresearch.org.



Tara Isabella Burton
STRANGE RITES:
NEW RELIGIONS
FOR A GODLESS WORLD
Nowy Jork 2020



PAX PANDEMICA

Czy nowy koronawirus przyczyni się do budowy nowego ładu światowego?
Oraz czy Polska może na tym wygrać?

OLAF OSICA

HAROLDOWI MACMILLANOWI, PREmierowi Wielkiej Brytanii sprzed dobrych 60 lat, historia przypisuje jedną z najtrafniejszych definicji rządzenia. Na pytanie dziennikarza, co sprawia, że rząd zmienia swoją politykę, MacMillan miał odpowiedzieć: „Wydarzenia, drogi chłopcze, wydarzenia!” (*Events, dear boy, events!*).

Dzisiaj przekonanie, że to nie idee, lecz codzienne reagowanie na problemy jest istotą rządzenia, znalazło swój wyraz w mniej eleganckim, jednak równie trafnym powiedzeniu, iż uprawianie polityki jest jak kopanie puszki po chodniku. Raz w lewo, raz w prawo, bliżej i dalej, z krawężnika na ulicę i z powrotem, ale zawsze idziemy tam, dokąd potoczył

się przedmiot naszego kopania. Dopiero potem, patrząc wstecz, próbujemy odczytać jakiś wzór na chodniku i nadać naszej trasie polityczny sens.

Polityka czasów pandemii przebiegała dotąd dokładnie według tego wzorca. Odkrywanie kolejnych ognisk kierowało naszą uwagę na państwa i rządy, które dosłownie ścigały się



ERICA BECHARD / US NAVY / POLARIS / EAST NEWS

Dowódca amerykańskiej eskadry Task Force 70 admirał George Wikoff (z lewej) i dowódca lotniskowca USS „Reagan” Pat Hannifin obserwują z mostka kapitańskiego manewry lotniskowca USS „Nimitz”. Oba okręty należą do eskadry, która od początku lipca operuje na Morzu Południowochińskim, w odpowiedzi na coraz bardziej ekspansywną politykę Chin w tym regionie. 6 lipca 2020 r.

uczył odróżniać rzeczy ważne od nieistotnych.

Pierwszą zasadą każdego poważnego kryzysu jest rytualne „ratuj się kto może”. Choć żyjemy w świecie wypełnionym po brzegi instytucjami i regulacjami, w świecie, gdzie globalna wymiana gospodarcza ponad granicami jest oczywistością, to gdy doszło do wybuchu pandemii i paniki, wówczas cała ta warstwa cywilizacyjnego lukru – wypracowywana przez dekady w pocie czoła – rozplynęła się w ogniu chaotycznych, ale jednak skutecznych działań rządów.

O ile dla nas, Polaków, wciśniętych między Odrę a Bug, stwierdzenie, że państwo jest podstawową komórką życia politycznego na świecie, nie robi większego wrażenia, o tyle we Włoszech, Hiszpanii czy Francji słaba i spóźniona reakcja instytucji europejskich była jednak zaskoczeniem. Tam idea Europy politycznej, która skuteczniej niż rządy narodowe chroni przed negatywnymi skutkami globalizacji, jest mocno ukorzeniona.

Mimo tego odkrycia, teza o powrocie państwa i tym samym ostatecznym końcu liberalnego porządku świata, ze wszystkimi jego fantasmagoriami o końcu suwerenności, jest jednak nie do obrony. Doświadczenie ostatnich miesięcy pokazało, że Europa – projekt na wskroś liberalny – radzi sobie z problemem lepiej niż Stany Zjednoczone, o Rosji nie wspominając. Wskazywane wcześniej jako wzór skuteczności Chin okazały się nie tylko źródłem pandemii, której można było zapobiec, ale też państwem na wskroś totalitarnym, które gotowe jest rozwiązywać problemy bez względu na ludzkie koszty tych rozwiązań, a krytyków po prostu pozbawia wolności lub życia.

Wartość społecznej umowy

Drugą zasadą globalnego „ładu pandemicznego” okazał się prymat siły umowy społecznej nad siłą państwa.

To nie wskaźniki PKB na mieszkańca, liczebność wojska i nowoczesność jego wyposażenia czy sprawność administracji okazały się kluczowe dla walki z pandemią. To bogata i silna Ameryka, potężne gospodarczo Chiny czy wciąż skuteczna, choć słabnąca Rosja Putina są dzisiaj największymi przegranymi kryzysu sanitarnego – patrząc z punktu widzenia ich polityki wewnętrznej. Nawarstwiający się przez lata problemy, specyficzne dla tych państw i społeczeństw, wybuchły teraz z ogromną siłą, grzebiąc mity na temat ich globalnej roli.

Wprawdzie takie wartości jak zaufanie, odpowiedzialność i zdolność do współpracy okazały się wszędzie towarem deficytowym, ale ich brak był szczególnie widoczny w Stanach, Chinach czy Rosji. Cechą wspólną tych państw – jak i wielu im podobnych – jest słabość lub wręcz brak umowy społecznej, która tworzyłaby zaufanie między państwem a społeczeństwem, pozwalała na definiowanie odpowiedzialności i tym samym na zarządzanie kryzysem w formule bardziej współpracy niż przymusu.

Ten rodzaj umowy nadal wyróżnia – choć w różnym stopniu w różnych jej krajach – Europę, nawet jeśli jest ona przecież słaba militarnie i pogrążona we własnych kryzysach. Jakkolwiek źle byśmy nie myśleli i nie oceniali ostatnich miesięcy, to fundament, na którym politycy z krajów Unii Europejskiej kopią między sobą puszkę, jest wciąż mocniejszy niż gdzie indziej. Nawet głębokie podziały polityczne i społeczne, które znamy ze swojego polskiego podwórka, nie mają takich pandemicznych konsekwencji jak te, które obserwowaliśmy w korespondencjach z drugiej strony Atlantyku.

Kubel zimnej wody?

Tak jak pandemia zebrała i wciąż zbiera swoje żniwo, tak będący jej konsekwencją kryzys gospodarczy staje się paliwem dla przyspieszonych zmian politycznych na świecie.

Jeszcze przed jej wybuchem wielu ekonomistów i politologów wieszczyło nadchodzące przesilenie w globalnej polityce. Skala nagromadzonych problemów w połączeniu z wojowniczą retoryką przywódców – przede wszystkim Donalda Trumpa i Xi Jinpinga – zwiastowała kłopoty.



w zamykaniu granic i gospodarek oraz w poszukiwaniu respiratorów. W tle słyszeliśmy gorące komentarze, które wieszczyły jeśli nie koniec cywilizacji, jaką znamy, to przynajmniej głębokie zmiany w funkcjonowaniu świata. Unia Europejska miała się ponownie zacząć rozpadać, Rosja i Chiny miały wzmocnić swoją pozycję, a Stany Zjednoczone Donalda Trumpa miały pokazać sprawczość godną jedynego mocarstwa na świecie.

Po kilku miesiącach wiemy, że wiele obaw okazało się na wyrost, a zmiany – jeśli w ogóle nastąpiły – miały inny przebieg i charakter, niż zakładano.

Kto sobie poradził

Świat w pandemii – bo jest ona z nami przez cały czas – nie tyle zmienił nas i politykę, co pozbawił nas wielu iluzji i na-

⇒ Wojna handlowa Stanów Zjednoczonych z Chinami i Unią Europejską, hasła europejskiej „strategicznej autonomii”, wojna na Bliskim Wschodzie, kolejne rosyjskie agresje czy rosnące napięcie w Azji związane z otwarciem agresywną polityką Chin na Morzu Południowochińskim – wszystko to chwilami przywodziło na myśl „Sierpniowe salwy” Barbary Tuchman: nagrodzoną Pulitzerem opowieść o tym, jak latem 1914 r. świat popędził ku katastrofie I wojny światowej, i jak nikt i nic nie mogło jej już zatrzymać... Inaczej niż w latach 30. XX w. oraz w okresie zimnej wojny – gdy zderzały się ze sobą wielkie idee i narracje polityczne faszyzmu, komunizmu i demokracji – konflikt roku 1914 był bowiem napędzany przyspieszonym rozwojem technologicznym i gospodarczym świata, którego nie były już w stanie pomieścić ramy XIX-wiecznej polityki.

W takiej perspektywie wybuch pandemii może być – choć oczywiście za wcześnie, aby o tym przesądzać – wydarzeniem studzącym rozpalone głowy. W nawiązaniu do wcześniejszych obserwacji – tych dotyczących źródła siły państwa w kryzysie – zmusza ono do skupienia się na polityce wewnętrznej i na szukaniu nowych sposobów na stabilizację społeczną oraz rozwój gospodarczy.

Nie można oczywiście wykluczyć, że ktoś zechce odreagować swój wewnętrzny kryzys w polityce zagranicznej. Ale ryzyko i cena takiej próby wydają się być o wiele większe niż jeszcze parę miesięcy temu. Wydaje się zatem, że będziemy świadkami prób nowego ułożenia się największych graczy – tak aby rozpoczynająca się odbudowa dokonywała się już w ramach nowych reguł politycznych. Nie zmienia to retoryki i nie wyeliminuje źródeł konfliktów, ale pozwoli na stopniowe układanie się ze sobą.

Sytuacja przełomowa

Gdybyśmy mieli wskazać obszary, w których powstawać będą zręby nowego ładu, są to bez wątpienia kwestie dotyczące nowoczesnych technologii, handlu międzynarodowego i polityki klimatycznej, która jest dziś nową polityką energetyczną. To zaś sugeruje, że nowy ład, jeśli będzie powstawać, oparty będzie na trzech filarach: Stanach Zjed-

Nowy ład światowy,
jeśli zacznie powstawać,
oparty będzie
na trzech filarach:
**Stanach Zjednoczonych,
Chinach i Unii Europejskiej.**

noczonych, Chinach i nadal Unii Europejskiej.

Amerykańska presja na Europę, w tym wychodzącą z Unii Wielką Brytanię, aby zakazać firmom współpracy technologicznej z czołowymi producentami chińskimi, przypomina czasy zakazu transferu technologii do państw-członków Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (dla tych, którzy nie pamiętają: był to ekonomiczny sojusz państw komunistycznych). Wówczas chodziło o osłabienie postępu technologicznego Związku Sowieckiego i jego satelitów. Dziś Chiny są już technologiczną potęgą, ale stawką jest suwerenność cyfrowa, czyli zdolność kontrolowania tego, co się dzieje w gospodarce i polityce, które coraz bardziej polegają na przesyłaniu danych.

Idea jest jednak podobna do tej z czasów zimnej wojny: zakaz współpracy ma osłabić wpływy polityczne Chin na świecie i zwiększyć znaczenie Stanów. Dla Europejczyków, którzy nie traktują Chin jako zagrożenia w takim stopniu jak Amerykanie, działanie takie ma tylko sens, jeśli pozwala pozyskać Pekin dla reformy Światowej Organizacji Handlu. Wzrost siły gospodarczej Niemiec sprawił bowiem, że cała Unia jest dziś ogromną „unią hanzeatycką”, która bez dostępu do rynków zagranicznych nie jest w stanie się rozwijać.

Szok spowodowany utratą konkurencyjności wielu sektorów europejskiej gospodarki (podobnie jak miało to niegdyś miejsce w USA) ma być zamortyzowany „zieloną agendą”. Polityka klimatyczna – obok szczytnych haseł o zrównoważonym rozwoju i ochronie środowiska – jest dziś przede wszystkim pomysłem na skok technologiczny, ucieczkę w stronę energetycznej niezależności i ochronę rynku przed „brudną” technologią i to-

warami z Chin. Dlatego w nowym budżecie Unii na lata 2021-2027 co najmniej 30 proc. środków ma iść na „zielone” projekty.

Dla Chin, które pełnymi garściami korzystały z globalizacji, chroniąc zarazem swój własny rynek i społeczeństwo przed otwarciem na świat, obecna sytuacja jest przełomowa. Chiny mogą pozostać na ścieżce imperialnej, doskonalcąc podbój, szantaż i unikanie odpowiedzialności. Ale mogą też stać się częścią nowego ładu, akceptując wspólnie wypracowane nowe zasady i budując zręby swojej pozytywnej roli na świecie. Od ich wyboru zależy, czy świat będzie choć trochę bezpieczniejszy i lepszy.

Peryferyzacja peryferii

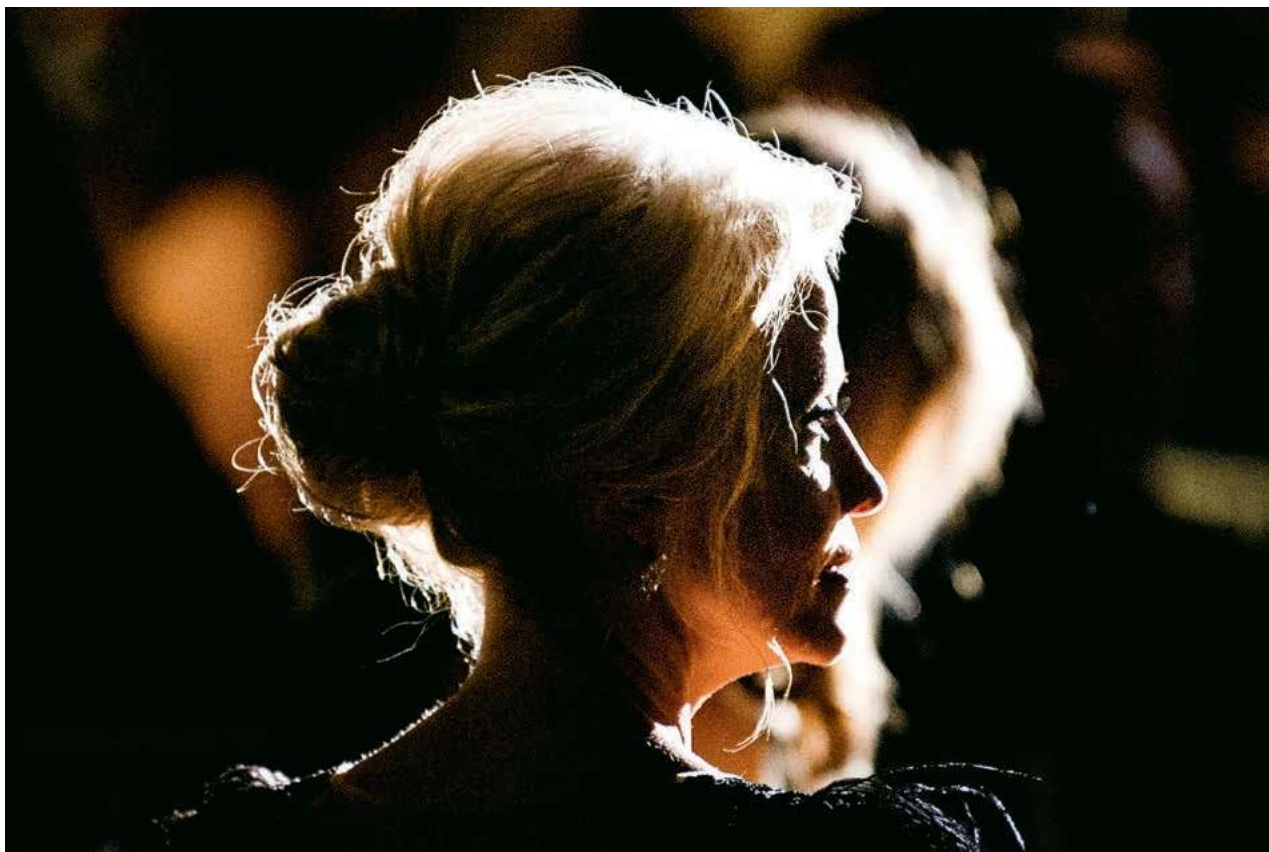
Jeśli nowy ład – zbudowany wokół wspólnego kopania puszek przez Amerykanów, Chińczyków i nas, Europejczyków – zacznie nabierać konturów, mamy szansę na bycie w gronie wygranych. To jednak oznacza, że inni mogą pozostać na straconych pozycjach. Z punktu widzenia Polski dotyczy to zwłaszcza europejskiego Wschodu, który tkwi dziś w kryzysie nie tylko gospodarczym, ale egzystencjalnym. Podmiana polityki energetycznej na politykę klimatyczną nie tylko zmniejsza rentę naftową (sprawa kluczowa dla Rosji), ale tworzy ogromne wyzwanie dla reformy państwa.

W takiej sytuacji przestaje istnieć nie tylko umowa społeczna, ale nawet jej pozór. Peryferyzacja peryferii – czyli dalsza zapaść wschodnioeuropejskich społeczeństw i pogłębianie się po obu stronach Bugu przepaści w poziomie i jakości życia – staje się ogromnym problemem, przed którym nie ochroni nas nawet kilka amerykańskich dywizji.

Tak jak południe Europy jest pod ciągłą presją wydarzeń w regionie Morza Śródziemnego, tak my stajemy przed koniecznością sformułowania odpowiedzi wobec zmiany, która zachodzi w Rosji, na Białorusi, a także na Ukrainie. To są główni przegrani nie tylko pandemii, ale przede wszystkim jej politycznych i gospodarczych konsekwencji.

W debacie politycznej nie widać jednak nie tylko przekonania, że to jest nasz problem, ale również zainteresowania samym wyzwaniem. Idąc za radą MacMillana, czekamy najpewniej na kolejne wydarzenia...

© OLAF OSICA



BRENDAN SMIALOWSKI / AFP / EAST NEWS

*Kellyanne Conway doradza Trumpowi, a jej mąż robi wszystko, aby Trump nie został znów prezydentem.
Na zdjęciu: Kellyanne w Ogrodzie Różanym w Białym Domu, wrzesień 2019 r.*

Tylko nie on

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)

Niechęć do Donalda Trumpa sprawia, że coraz więcej Republikanów włącza się w kampanię wyborczą Demokraty Joego Bidena. Ale tylko ci, którzy nie boją się politycznej zemsty prezydenta.

TO JEDNA Z NAJDZIWNIEJSZYCH PAR wśród amerykańskich elit politycznych. Kellyanne Conway jest doradczynią Donalda Trumpa i szefowała jego kampanii prezydenckiej w 2016 r. Jej mąż, George Conway, to prominentny nowojorski prawnik, który w geście dezaprobaty wobec Trumpa wystąpił z Partii Republikańskiej.

Podczas gdy Kellyanne głowi się, jak doprowadzić dziś do reelekcji prezydenta, George chodzi do liberalnych stacji telewizyjnych i nazywa Trumpa „kryminalistą”, „patologicznym kłamcą” i „przywódcą-idiotą”. A pomyśleć, że cztery lata temu Conwayowie byli – gdy idzie o politykę – zgodni. Kiedy Trump wygrał wy-

ścig o Białą Dom, George nazwał to „najważniejszym osiągnięciem mojej żony” i kupił wraz z nią w Waszyngtonie rodzinną rezydencję o wartości 8 mln dolarów. Dziś robi wszystko, aby żona już wkrótce nie musiała dojeżdżać do pracy w Białym Domu.

Reklamowy atak

Jest wieczór, 3 maja. Konserwatywna telewizja Fox News emituje płatną reklamę atakującą Donalda Trumpa. Widzowie słuchają o tym, jak prezydent zlekceważył zagrożenie związane z pandemią i nie radzi sobie z galopującym bezrobociem. Pod koniec materiału padają słowa: „To czas żałoby w USA. Pod przywództwem

Donalda Trumpa nasz kraj staje się słabszy, bardziej chory i biedny. Co będzie, jeśli czekają nas kolejne cztery lata jego rządów? Czy to będą te same Stany Zjednoczone?”

Reklama wyemitowana w przychylnej Trumpowi stacji to nie sprawka polityków Partii Demokratycznej, lecz grupy Lincoln Project, której jednym z założycieli był George Conway. To konserwatywny komitet akcji politycznej, który wspiera Joego Bidena i z funduszy na kampanię wyborczą opłaca antytrumpowe reklamy.

Nic dziwnego, że po emisji materiału w Fox News prezydentowi puściły nerwy. Tuż przed pierwszą w nocy obrażał George’a Conwaya na Twitterze: „Nie wiem, co Kellyanne zrobiła swojemu niepoczytalnemu mężowi (...), ale to musiało być coś bardzo złego”.

Trump mieszał też z błotem pozostałych członków Lincoln Project. Większość z nich to doradcy polityczni, którzy pracowali kiedyś dla prezydenta George’a W. Busha, senatora Johna McCaina czy gubernatora Kalifornii Arnolda Schwarzeneggera. Konserwatyści lawirujący od lat w partyjnych strukturach mają jeden cel: przekonać →

→ republikańskich wyborców, aby w listopadowych wyborach nie głosowali na Trumpa.

Z Lincolnem na sztandarze

Konserwatywny komitet zadebiutował w styczniu emisją reklamy skierowanej do białych ewangelików, żelaznego elektoratu prezydenta. Materiał przedstawiał kilka kontrowersyjnych wypowiedzi Trumpa, które kolidowały z jego wizerunkiem „przykładnego chrześcijanina”, tak często promowanym przez niektórych liderów Kościoła ewangelikalnego w USA.

Od tego czasu Lincoln Project – nazwą nawiązującą do republikańskiego prezydenta z czasów wojny secesyjnej, który swój konserwyzm łączył z nowoczesnymi jak na ówczesne czasy poglądami – to maszynka do wypuszczania dziesiątek reklam atakujących Trumpa na każdym kroku. Od insynuacji, że jest za stary i nie podoła kolejnej kadencji, aż po kpiny z jego czerwcowego wiecu wyborczego w Tulsie (gdzie dwie trzecie miejsc na stadionie było pustych) czy krytykę jego reakcji na protesty po śmierci czarnoskórego George’a Floyda. Większość materiałów odwołuje się do negatywnych emocji, takich jak strach, złość i niepokój. To ta sama strategia, którą w swojej kampanii wyborczej stosuje Trump.

Ostatnio na celowniku grupy konserwatystów znaleźli się republikańscy senatorzy: Lindsey Graham z Karoliny Południowej, Martha McSally z Arizony i Cory Gardner z Kolorado. Cała trójka to wierni sojusznicy Trumpa, których w rodzinnych stanach również czeka walka o reelekcję. Członkowie Lincoln Project twierdzą, że pozbawiając ich miejsca w Senacie, chcą „wykorzystać trumpizm” z partii. Z politycznego punktu widzenia strzelają jednak sobie w kolano. Republikanie już teraz obawiają się, że zapłacą cenę za kontrowersyjną prezydenturę Trumpa, i że w wyborach do parlamentu federalnego (Kongresu) stracą większość w Senacie.

Kilka strategii, jeden cel

Im bliżej listopadowych wyborów, tym większe grono Republikanów włącza się do walki o Białą Dom bez Trumpa.

Na początku lipca swój komitet akcji politycznej – 43 Alumni for Biden – powołał George W. Bush. Były, 43. prezydent USA (stąd nawiązanie do tej liczby



Protest przeciw Donaldowi Trumpowi w pobliżu Kapitolu, siedziby parlamentu federalnego USA. Waszyngton, styczeń 2020 r.

w nazwie komitetu) już w 2016 r. odmówił poparcia dla kandydatury Trumpa. Tym razem, wraz z ponad setką byłych pracowników swojej administracji, chce „zjednoczyć tradycyjnie republikańskich wyborców, którzy są przerażeni skalą szkód, jaką prezydentura Trumpa wyrządziła Ameryce”. I choć założyciele komitetu nie popierają w pełni agendy politycznej Bidena, to są zgodni, że w listopadzie trzeba „uratować ducha narodu”.

Tak samo uważają założyciele grupy Republican Voters Against Trump (RVAT), którzy chcą podkraść prezydentowi białych wykształconych wyborców z przedmieść. Działacze RVAT skupiają się na tzw. stanach wahających się: Pensylwanii, Wisconsin, Michigan, Florydzie, Karolinie Północnej i Arizonie. Portal RealClearPolitics podaje, że w pierwszych czterech spośród tych stanów Biden miał pod koniec lipca sondażową przewagę wynoszącą co najmniej sześć punktów procentowych.

Przekaz Republican Voters Against Trump opiera się na historiach byłych wyborców Trumpa. Na stronie internetowej organizacji opublikowano 100 filmików z wypowiedziami Republikanów, którzy mówią, dlaczego nie poprą jego reelekcji. Dziennik „Washington Post” przywołuje wypowiedź 40-letniego Josha z Karoliny Północnej. Mężczyzna podkre-

śla, że po raz pierwszy w życiu zagłosuje na Demokrate, i tłumaczy z ironią: „Jeśli Joe Biden odszedłby z wyścigu, a Krajowy Komitet Partii Demokratycznej wystawiłby kandydata w postaci puszki z pomidorami, wówczas zagłosuję na tę puszkę. Wierzę, że to wyrządzi mniej krzywdy niż nasz obecny prezydent”.

Jak donosi dziennik „New York Times”, strategia kampanijna Republican Voters Against Trump to rezultat trzech lat pracy nad znalezieniem odpowiedniego przekazu dla niezdecydowanych konserwatywnych wyborców. Organizacja miała na to czas, bo jej założycielka to Sarah Longwell – zajmuje się strategią polityczną i już w 2016 r. była zagorzałą przeciwniczką Trumpa. Republikanka w zeszłym roku zaangażowała się w kampanię reklamową organizacji Republicans for the Rule of Law. Chciała przekonać republikańskich członków Kongresu, aby w procedurze impeachmentu przeciw prezydentowi kierowali się obiektywizmem, a nie dyscypliną partyjną.

O lojalność nie musi się już martwić Matt Borges, który za krytykę kandydatury Trumpa w 2016 r. zapłacił utratą stanowiska przewodniczącego Partii Republikańskiej w stanie Ohio. Dziś Borges jest współzałożycielem probidenowskiego komitetu akcji politycznej Right Side PAC. Jego strategia skupia się na wy-

borcach, którzy rozważają poparcie dla kandydata spoza Partii Demokratycznej i Republikańskiej. Działania komitetu wspiera m.in. były dyrektor ds. komunikacji Białego Domu Anthony Scaramucci. W administracji Trumpa pracował zaledwie 10 dni.

Walka o każdy głos

„Nie przypominam sobie, żeby w mojej ponad 30-letniej karierze tak wiele różnych grup starało się nie dopuścić do reelekcji prezydenta z własnej partii” – powiedziała w wywiadzie dla „Los Angeles Times” Beth Miller, republikańska strateg polityczna z Sacramento.

Z kolei Mitchell West z ośrodka Kantar/Campaign Media Analysis Group podkreśla w rozmowie z CBS News, że do tej pory do ataków wewnątrzpartyjnych dochodziło na etapie prawyborów. Tak było zresztą również w 2016 r., gdy ruch Never Trumpers starał się nie dopuścić do zdobycia przez nowojorskiego biznesmena nominacji Partii Republikańskiej. Gdy Trump miał ją już w kieszeni, jego przeciwnicy krytykowali go głównie w telewizji, prasie i na Twitterze.

Tym razem antytrumpowcy mieli więcej czasu, by przygotować się do ataku. Na ich korzyść przemawia też fakt, że demokratycznym rywalem w wyścigu jest Biden, a nie budząca skrajne emocje wśród konserwatystów Hillary Clinton (kandydatka z 2016 r.).

Sceptycy studzą nadzieje tych, którzy myślą, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki republikańscy wyborcy opuszczą Trumpa. Jak wynika z sondażu „New York Times” i Siena College, przeprowadzonego w sześciu kluczowych stanach, zaledwie 6 proc. zarejestrowanych wyborców, którzy poparli Trumpa w 2016 r., deklaruje, że „nie widzi możliwości”, aby znów na niego zagłosować. Z kolei 2 proc. nie popiera reelekcji prezydenta, ale „nie wyklucza, że da mu kredyt zaufania”. Zdecydowana większość, bo aż 86 proc. elektoratu Trumpa w kluczowych stanach twierdzi, że poprze go ponownie.

W tegorocznych wyborach, podobnie jak w 2016 r., o zwycięstwie może więc zadecydować niewielka różnica głosów. Przypomnijmy, że cztery lata temu Trump zdobył prezydenturę dzięki przewadze w trzech stanach: Pensylwanii (ma ona 20 elektorów), Michigan (16 elektorów) i Wisconsin (10 elektorów). Wy-

Sceptycy studzą nadzieje tych,
którzy myślą,
że jak za dotknięciem
czarodziejskiej różdżki
**republikańscy wyborcy
opuszczą Trumpa.**

grał tam niewielką większością, która łącznie w tych trzech stanach wyniosła ok. 80 tys. głosów. W całym kraju głosowało wówczas 137 mln Amerykanów.

Zemsta na Twitterze

Cztery lata temu nowojorski biznesmen został niechętnie przyjęty przez republikański establishment partyjny. Jednak jako prezydent USA Trump rządzi w partii silną ręką i nawet prominentni politycy nie afiszują się z dezaprobatą dla jego potencjalnej reelekcji. Do tej pory swój brak wsparcia dla prezydenta ogłosili m.in. senator z Utah Mitt Romney (w procedurze impeachmentu jako jedyny Republikanin głosował za uznaniem Trumpa winnym nadużycia władzy), John Bolton (były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego w administracji Trumpa) i Colin Powell (szef dyplomacji w administracji George’a W. Busha). Powell, który cztery lata temu poparł kandydaturę Hillary Clinton, tym razem zagłosuje na Bidena. Wsparcie dla Demokraty ogłosiła też Carly Fiorina, kandydatka w prawyborach prezydenckich Partii Republikańskiej w 2016 r.

Od takich deklaracji na razie stronią jednak inni znani z niechęci do prezydenta Republikanie, m.in. Cindy McCain (wdowa po senatorze Johnie McCainie) i generał Jim Mattis (były sekretarz obrony w administracji Trumpa). Gdy w dobie masowych protestów po śmierci Floyd’a prezydent straszył użyciem wojska na ulicach, Mattis powiedział, że Trump jest zagrożeniem dla konstytucji USA i próbuje obrócić Amerykanów przeciwko sobie. Prezydent nie pozostał mu dłużny i natychmiast nazwał go na Twitterze „najbardziej przereklamowanym generałem świata”.

Podobnie było w przypadku Lisy Murkowskiej, republikańskiej senatorki z Alaski. Gdy powiedziała publicznie, że waha

się, czy poprzeć go w wyborach, Trump zagroził, że zaszkodzi jej kampanii o senatorską reelekcję.

A prezydent potrafi być mściwy, co pokazały lipcowe prawyboory Partii Republikańskiej w Alabamie. Jeff Sessions, były prokurator generalny, przegrał tam walkę o fotel senatora z niejakim Tomym Tuberville’em – trenerem futbolu amerykańskiego, promowanym przez Trumpa. To cena za brak całkowitej lojalności Sessionsa wobec prezydenta w trakcie śledztwa ws. ingerencji Rosji w amerykańskie wybory w 2016 r.

Spór o maski

Strach przed zemstą sprawia, że większość polityków Partii Republikańskiej rzadko wychodzi przed szereg. Co odważniejsi krytykują prezydenta wyłącznie w najbardziej kluczowych kwestiach, a takich w dobie koronawirusa nie brakuje. I tak, nawet najwierniejsi sojusznicy Trumpa – jak senator Lindsey Graham czy gubernator Florydy Ron DeSantis – zaprzeczają twierdzeniom prezydenta, że w USA wykonywanych jest wystarczająco dużo testów na koronawirusa.

O tym, jak poważny jest to nadal problem, pisał w komentarzu dla CNBC Mick Mulvaney, były szef personelu Białego Domu w administracji obecnego prezydenta. Dla Mulvaneya – przekonanego Republikanina, którego córce odmówiono wykonania testu, a syn na wyniki czekał przez tydzień – taka sytuacja w USA jest „niedopuszczalna”. Mulvaney pisał: „Wiem, że w niektórych republikańskich kręgach to niepopularne stwierdzenie, ale wciąż mamy w tym kraju problem z wykonywaniem testów”.

Krytycznych głosów pod adresem administracji Trumpa było ostatnio więcej: senator z Tennessee Lamar Alexander popępił decyzję o wyjściu USA ze Światowej Organizacji Zdrowia, a Liz Cheney – republikańska kongresmenka i córka byłego wiceprezydenta Dicka Cheney’a – kpiła z niechęci Trumpa do publicznego noszenia maski (po raz pierwszy założył ją w połowie lipca).

Liz Cheney opublikowała na Twitterze zdjęcie swojego ojca w maseczce i opatrzyła je hashtagiem #realmenwearmasks (prawdziwi mężczyźni noszą maski). Z lobbowania za noszeniem masek znany jest też Mitch McConnell, lider Republikanów w Senacie. Powiedział ostatnio, że ma „absolutne zaufanie” do głównego →

→ amerykańskiego epidemiologa Anthony'ego Fauciego. To wiele znaczy, bo administracja Trumpa konsekwentnie ignoruje ostrzeżenia Fauciego w sprawie pandemii.

Wraz z rosnącą liczbą zakażeń (ok. 60-70 tys. nowych dziennie) od prezydenta USA dystansują się też republikańscy gubernatorzy. Asa Hutchinson z Arkansas powiedział na początku lipca, że jeśli Trump będzie organizował w tym stanie wiec wyborczy, jego uczestnicy będą musieli nosić maski. W wywiadzie dla telewizji ABC podkreślił, że niezakrywanie ust i nosa nie powinno być przejawem politycznej manifestacji. Z kolei gubernator Ohio Mike DeWine, pytany przez dziennikarzy NBC o zdolność Trumpa do przywództwa w kryzysie, odpowiedział wymijająco, że wierzy w „jego administrację”. Wychwalał przy tym wiceprezydenta Mike'a Pence'a, który w dobie pandemii jest w stałym kontakcie z gubernatorami.

Konwencja last minute

Koronawirusowy rozłam wśród Republikańców najlepiej pokazują kontrowersje wokół sierpniowej konwencji, która miała odbyć się w Jacksonville na Florydzie. Ze względu na wielką liczbę zakażeń w tym stanie, prezydent odwołał zaplanowane wydarzenia i zapowiedział, że przyjmie nominację w mniejszym gronie, w Charlotte w Karolinie Północnej.

Zanim Trump ogłosił tę decyzję, jego najwierniejsi poplecznicy mówili, że podejmą każde ryzyko i wezmą udział w konwencji w Jacksonville. Ale bardziej rozważni zdążyli zapowiedzieć, że na Florydę nie przyjadą. Wśród nich znaleźli się m.in. krytyczni wobec Trumpa senatorowie: Lisa Murkowski, Lamar Alexander oraz Mitt Romney.

Do Jacksonville nie wybierał się też John Kasich, były gubernator Ohio i rywal Trumpa w prawyborach Partii Republikańskiej w 2016 r. W amerykańskich mediach aż huczy od spekulacji, że Kasich weźmie udział w konwencji Demokratów i ogłosi poparcie dla Bidena.

Niechęć do Trumpa sprawiła, że w ten sposób kolejny Republikanin pójdzie na polityczny kompromis.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Śmierć feministy

ROMAN HUSARSKI Z SEULU

Jeden z najważniejszych polityków Korei Południowej, do tego ikona walki o prawa człowieka i równouprawnienie kobiet, niespodziewanie odbiera sobie życie. A w tle są oskarżenia spod znaku #MeToo.

KOREAŃCZYCY DŁUGO NIE CHCIELI Kuwierzyć, że to samobójstwo. Jednak wszystko wskazuje na to, że 64-letni Park Won-soon, burmistrz Seulu, rzeczywiście odebrał sobie życie na górze Bugak, w pobliżu buddyjskiej świątyni Gilsangsa i zabytkowej seulskiej twierdzy. Policyjne oględziny miejsca śmierci i analiza z kamer, których w stolicy nie brakuje, wykluczyły działanie osób trzecich. Na samobójstwo wskazują też okoliczności.

Dzień przed zniknięciem burmistrza na policję zgłosiła się jego sekretarka i oskarżyła go o napastowanie seksualne. Następnego dnia Park, znany z pracoholizmu, nagle odwołał wszystkie spotkania, rzekomo z powodu choroby. Wychodząc z domu, zostawił notkę. Jej treść zaniepokoiła córkę, która wszczęła alarm. Poszukiwania prowadziło kilkuset policjantów, z pomocą dronów i psów.

Zlokalizowanie telefonu burmistrza pozwoliło zawęzić obszar do przeczesania. Wreszcie około północy odnaleziono ciało człowieka, który zarządzał jednym z największych miast Azji. Policja nie przedstawiła szczegółów; według świadków Park powiesił się na krawacie. W jego biurze znaleziono pożegnalny list. „Przepraszam wszystkich i dziękuję tym, którzy towarzyszyli mi w moim życiu” – napisał lakonicznie. W liście poprosił też, by jego zwłoki skremowano, a prochy rozrzucono na rodzinnym grobie.

Numer dwa w państwie

Park Won-soon miał bogaty życiorys; był nie tylko politykiem, ale też obrońcą praw człowieka i celebrytą.

Jako młody człowiek wziął udział w proteście przeciw dyktatorskim rządom generała Parka Chung-hee, na cztery miesiące trafił do więzienia i został wyrzucony z prestiżowego Uniwersytetu Seulskiego. Ostatecznie dy-

płom z prawa międzynarodowego uzyskał na Uniwersytecie Londyńskim. Jako prawnik angażował się w obronę szeroko rozumianych praw człowieka. Był też głównym założycielem organizacji non profit Solidarność Ludowa na rzecz Demokracji Uczestniczącej, która do dziś patrzy rządcą na ręce. Grupa może poszczycić się kilkoma dochodzeniami wobec osób z najwyższych szczebli biznesu i władzy, które zakończyły się wyrokami skazującymi (najgłośniejsza była sprawa skorumpowanego prezesa Samsunga). Z kolei w 2005 r. Park wszedł w skład Komisji Prawdy i Pojednania Korei Południowej, która badała pogwałcenia praw człowieka od okresu japońskiej kolonii (1910-45) aż po wybór pierwszego demokratycznego prezydenta Kim Young-sama w 1993 r.

Był związany z rządzącą obecnie, nardowo-lewicową Partią Demokratyczną, choć wybory na burmistrza Seulu wygrał jako kandydat niezależny (do partii dołączył rok po objęciu posady). Potem wygrywał je jeszcze dwukrotnie, jako pierwszy w historii. Jego nazwisko pojawiało się też w gronie kilku możliwych kandydatów na urząd prezydenta kraju (wybory są w 2022 r.). Uważano go za polityczny „numer dwa” w państwie.

Seul na zielono

Jest wiele powodów, dla których zyskał powszechne uznanie mieszkańców Seulu. Lista innowacji wprowadzonych za jego kadencji jest wyjątkowo długa. Do najbardziej znanych należą darmowa sieć wi-fi, która zasięgiem obejmuje znaczną część stolicy, bezpłatne posiłki w szkołach, obniżenie czesnego na uczelniach czy zablokowanie podwyżki na bilety w metrze, planowanej przez przewoźnika.

Park podkreślał swoje „zielone” poglądy. Gdy zanieczyszczenie powietrza



CHRIS JUNG / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Żałobnicy podczas ceremonii pogrzebowej burmistrza Park Won-soona przed ratuszem w Seulu, 13 lipca 2020 r.

zaczynało przekraczać normy, nakazywał czasowe ograniczanie produkcji w seulskich fabrykach i zakazywał poruszania się dieslami. Szukał sposobów, aby zabetonowaną stolicę uczynić trochę bardziej zieloną. Jego zasługą jest projekt „Seoullo 7017”: wypełniony tysiącami ozdobnych roślin most w centrum miasta. Jeszcze na dzień przed śmiercią przedstawiał „Green New Deal”: kolejne projekty mające jeszcze bardziej zazielenić Seul i zredukować emisję dwutlenku węgla.

Ponieważ system prezydencki w Korei Południowej pozwala tylko na jedną kadencję, wielu widziało w nim następcę Moon Jae-ina, obecnej głowy państwa. Jednym z politycznych analityków, który w to wierzył, był Hwang Sei-youn, autor mającej ukazać się wkrótce książki „Zabić Park Won-soona” (o ironio!); jej premiera została teraz przełożona.

Park był oczywiście także krytykowany. Niektórzy uważali, że zbyt ciepło wypowiada się o Korei Północnej i Chinach. Niemniej jego popularność była autentyczna. Miałem okazję to zobaczyć podczas obchodów 40. rocznicy masakry w Gwangju w maju tego roku [patrz „TP” nr 23-24/2020 – red.]. Po skończonym przemówieniu, poświęconym potrzebie zadośćuczynienia i sprawiedliwości, Parka obiegł tłum młodych ludzi, a on cierpliwie spełniał kolejne prośby

o wspólne zdjęcie. Wyglądało to tak, jakby chodziło o gwiazdę k-popu, a nie polityka-seniora.

Burmistrz feminista

Oskarżenie o napastowanie seksualne musiało być dla niego bolesne, gdyż prawa kobiet zajmowały ważne miejsce w jego polityce. Wspominał, że jednym z powodów jest tu jego rodzinna historia: aby opłacić mu wysokie czesne na Uniwersytecie Seulskim, rodzice musieli zrezygnować z posłania na studia jego siostr. Sytuacja ta, wówczas powszechna, miała sprawić, że zrozumiał, jak ważne jest poprawienie statusu kobiet.

Prawa kobiet stanowiły jeden z najważniejszych celów w jego działalności prawniczej. W 1993 r. udało mu się doprowadzić do pierwszej w historii kraju wygranej w sprawie o molestowanie seksualne w miejscu pracy. W 1998 r. odebrał nagrodę przyznaną przez główne organizacje feministyczne Korei. Jako burmistrz Seulu założył komitet miejski działający na rzecz równości płci. Także za jego kadencji wydzielono specjalne wagony w metrze wyłącznie dla pań i aplikację, przez którą zagrożona kobieta może natychmiast zgłosić swoją lokalizację organom ścigania, z prośbą o pomoc. Poprawiono też działania policji, która nasiliła kontrole w okolicach, gdzie dochodziło

do przestępstw seksualnych, i zaczęła regularnie sprawdzać publiczne toalety w poszukiwaniu ukrytych kamer. Park był dumny ze swoich osiągnięć i nawet nazywał siebie „feministą”.

W pamiątkach, które opublikował jeszcze w 2002 r., zawarł list do syna i córki, w którym podkreślał z dumą brak poważniejszych grzechów w swoim życiu. Zarzuty, które teraz się pojawiły, oznaczały dla niego utratę twarzy – także wobec najbliższych. W społeczeństwie koreańskim wrażliwość na tle własnego wizerunku jest większa niż w Europie. Nawet dziś politycy postrzegają siebie raczej jako reprezentantów konkretnych grup niż jednostkę. Plama na wizerunku, niezależnie od przyczyny, obciąża też rodzinę.

Park stanął w obliczu poważnego i do tego upokarzającego dochodzenia. Wszystko wskazuje, że wybrał ucieczkę. Nie on pierwszy.

Samoooczyszczenie

Jak wykazują autorzy monografii „Beyond Death: The Politics of Suicide and Martyrdom in Korea”, na Półwyspie Koreańskim samobójstwo często oceniano jako moralnie właściwe. Literatura przednowoczesnej Korei lubowała się w opisach wyidealizowanych „czystych kobiet”, które po śmierci męża zażywały truciznę, a „samoposwięcenie” →

→ traktowano jak cnotę. Także wobec utraty twarzy uważano samobójstwo za słusne i oczyszczające.

W okresie kolonialnym i za dyktatury wojskowej stało się ono także polityczną bronią. Najślynniejszy przypadek to samospalenie Jeon Tae-ila w 1970 r., w proteście przeciw fatalnym warunkom pracy. Nawet ostatnio dochodziło do samospaleń przed ambasadą Japonii – w proteście wobec japońskiej polityki. Takie samobójstwa są postrzegane jako wyraz ostatecznego poświęcenia się dla sprawy i wspólnoty.

Samobójstwo może być traktowane także jako forma odzyskania dobrego imienia. Sprawia, że wizerunek polityka ulega ociepleniu, a gniew tłumu zamienia się w sympatię. Widać to na przykładzie byłego prezydenta Roh Moo-hyuna, który odebrał sobie życie w 2009 r. Wcześniej członkowie jego rodziny zostali skazani za łapówkarstwo, a wobec niego zaczęło się dochodzenie. Podobnie jak dziś, zarzuty godziły w polityka, który szczycił się nienagannym wizerunkiem i dochodził do władzy z hasłami antykorupcyjnymi. Dziś nikt nie pamięta o ówczesnych rozczarowaniach – Roh jest wspominany jako najlepszy prezydent Korei Południowej. Jego fani uważają, że samobójstwo było efektem zaszczucia przez prasę (jakby innych polityków traktowała ona ulgowo). Podobnie było w przypadku Roh Hoe-chana, znanego parlamentarzysty i tropiciela układów korupcyjnych, który odebrał sobie życie w 2018 r., gdy udowodniono mu przyjęcie łapówki, a kolejne śledztwa nabierały tempa.

Co znamienne, po samobójstwie śledztwa przerwano – prawo wyklucza pośmiertne dochodzenie, co z kolei zwolennikom zmarłego daje możliwość wybielania jego wizerunku. Jednak tym razem okoliczności są inne. Kraj został znacząco odmieniony przez falę ruchu #MeToo. W Korei Południowej nagłośnione przez kobiety sprawy dotyczyły głównie świata mody, kina, uczelni, k-popu, a także polityki. Najgłośniejsze przypadki to sprawa burmistrza Busan (drugiego co do wielkości miasta w kraju) i gubernatora Południowej Prowincji Chungcheong. Pierwszy przyznał się i zrezygnował. Drugi został skazany na 3,5 roku więzienia za gwałt.

Co pozostanie

Rodzina Parka wydała oświadczenie, prosząc media, aby nie powtarzały „jednostronnych oskarżeń lub bezpodstawnych informacji”, a miasto urządziło pięciodniowy pogrzeb w obrządku buddyjskim z udziałem 20 tys. osób. Na stronie internetowej milion ludzi zostawiło kondolencje.

W dniu ceremonii pojawiło się też wyjaśnienie kobiety, która oskarżyła Parka (i nadal podtrzymuje oskarżenie), przedstawione za pośrednictwem prawnika. Pozostaje ona anonimowa – boi się zemsty zwolenników nieżyjącego burmistrza, z których wielu nie wierzy w zarzuty. W oświadczeniu kobieta opisała, jak wielkim wyzwaniem było wystąpienie przeciw jednemu z najpotężniejszych polityków w kraju. Park miał ją napastować od czterech lat, nieodpowiednio dotykać i wysyłać obsceniczne wiadomości

przez szyfrujący komunikator Telegram. Kobieta pisze: „Chciałam, żeby został osądzony i przeprosił”, a list kończy: „Marzę o świecie, w którym kobieta będzie traktowana jak człowiek”.

Sekretarka twierdzi też, że prosiła o pomoc w ratuszu, ale jej skargi zostały potraktowane jako niedorzeczne. Miała prosić też wielokrotnie o przeniesienie do innego departamentu, ale sam burmistrz miał to blokować. Jego domniemana ofiara twierdzi, że próbowała prosić o pomoc dziennikarzy – także bezskutecznie. Teraz jej prawnik wyraził zaniepokojenie: kobieta jest oczerniana w mediach społecznościowych, wielu wprost obwinia ją o doprowadzenie Parka do samobójstwa.

Grupy broniące praw kobiet zwołały konferencję prasową, podczas której uznały publiczny pogrzeb Parka za nieodpowiedni. Chcą wyjaśnienia, dlaczego skargi kobiety były ignorowane, a także w jaki sposób burmistrz w ogóle dowiedział się, że zgłosiła się ona na policję (media zaczęły pisać o zarzutach dopiero po jego zaginięciu). W końcu ratusz ugiął się: ma powstać specjalny zespół do zbierania zarzutów.

Można sądzić, że jakiegokolwiek będą ostateczne ustalenia, nie zakończą one konfliktu w koreańskim społeczeństwie. Wielu uzna, że najważniejsza jest pamięć sukcesów Parka na polu praw człowieka. Inni będą patrzeć na niego jak na hipokrytę. Ale wielu ma też nadzieję, że ta sprawa zmieni społeczeństwo i że z czasem samobójstwo przestanie być traktowane jako „wybór honorowy”.

© ROMAN HUSARSKI

weź, czytaj! zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@tygodnik.com.pl, my zajmiemy się resztą. **Do kompletu 4 dowolnych wydań piąte dodajemy GRATIS*!**

* Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP”: „Do Bettlejemi”, „Moc czytania”, „Polska żydowska”, „Smak wolności”, „Zwierzenia zwierząt”, „Halo, tu Ziemia”, „Moc kobiet”.

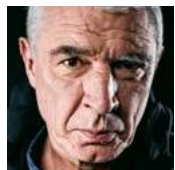
TYGODNIK
POWSZECHNY



ANDRZEJ

Stasiuk:

Kraina dzieciństwa (2)



TYLE SIĘ ZMIEŃIŁO. TE SILOSY. WIELKIE i srebrne. Odbijało się w nich słońce, odbijało niebo. Wyglądały obco i nie pasowały do agrarnego krajobrazu. Tak mi się wydawało. Tak jak kiedyś nie mogłem się pogodzić z tym, że zniknęły kopy siana za-

stępowane białymi belami sianokiszonki. Zwłaszcza na południu kraju, gdzie siano wcześniej suszyło się na ostrewkach i wieczorem wysokie sienne stożki rzucały długie czarne cienie. Brakowało mi tych cieni.

No ale cały krajobraz się zmieniał. Upraszcział i wyglądał. Setki hektarów pszenicy, setki hektarów kukurydzy i żadnej miedzy, gdzie mogłoby wyrosnąć drzewo ze swoim chłodem i schronieniem dla ptaka. Niepotrzebny był już cień i niepotrzebne ptaki.

Taką sobie składałem w sercu elegię, błakając się po obu stronach rzeki. Tutaj, blisko starorzeczy, najlepiej przechoowało się minione. Pola wciąż były niewielkie, domy skromne, na zwirowych drogach stały kałuże. Biegły wskroś wsi i przepadały w bagnach. Nieruchomo było i cicho. Prawie nic nie jeździło. Nieliczni ludzie odprowadzali mój samochód wzrokiem. Wielkie areale zaczynały się dalej i wyżej. Tam, gdzie nie sięgała nigdy woda. Najstarsze trzymało się blisko nurtu. Jakby szukało schronienia przed nowym. W każdym razie z wyglądu najstarsze. Przycupnięte i biednawe. Dalej od rzeki stały już te wszystkie kute ogrodzenia, a za nimi kolisty podjazd, strzyżone tujowiska, dworkowe wykusze i kolumienki. Cała ta kupna ni to tradycja, ni to ostentacja. Dlatego nie oddalałem się zbyt daleko od rzeki. Trzymałem się swojej przeszłości. Wracalem do niej, chociaż wiedziałem, że nigdy nie powrócę.

Któregoś dnia pojechałem do domu, w którym urodził się i wychował mój ojciec. Dom stał za wsią, na tak zwanej kolonii. Dawniej otoczony sadem, z którego pozostało ledwie kilka rozrośniętych, na wpół zdziczałych jabłoni. Dom powoli niszczał, od kiedy umarł dziadek, ojciec mojego ojca. Tylko on pozostał z całego obejścia. Nie było stodoły, nie było stajni, chlewika, nie było „murowańca”, czyli letniej kuchni. Pamiętam, że gdy kilkanaście lat temu rozebrano murszejącą stodołę, otworzył się widok na południową stronę. Widok, którego wcześniej nie było. Widok, którego wcześniej nigdy nie oglądałem. Ta raptowna zmiana wyglądu świata, który trwał nieprzerwanie od dzieciństwa, była tym dotkliwsza, że nadeszła w okolicach, gdzie zmieniało się tak niewiele. Nowy widok był jak okno na drugą stronę rzeczywistości. Takiego krajobrazu nigdy tu wcześniej nie było. Zjawił się w jednej chwili, w ciągu jednego dnia.

Teraz znów się zmienił, a właściwie znikł. Wszędzie rosy młode jesiony. Nad wykruszoną cembrowiną studni, na środku niegdyśszego obejścia, zalegał gęsty zielony cień. W dzieciństwie, w młodości, siedziałem w oknie kuchni i patrzyłem na słoneczny zegar podwórza. Słońce pięło się do góry nad letnią kuchnią, stawalo w zenicie nad stodołą i zniżało nad stajnią. W świetlistych plamach kury wygrzebywały piaszczyste dolki i zażywały pylistej kąpieli. Dziadek wyprowadzał konia, którego grzbiet lśnił jak nieruchomy rudy płomień. O zmierzchu krowy wracały z pastwiska wlokąc za sobą łańcuchy, które w ostatnim świetle dnia wydzielaly niepojęty, czarnosrebrny blask. Czas niby płynął, ale powracał do swych źródeł. Jego nurt kolicie opasywał świat i nadawał mu bezpieczną formę.

Dom był zamknięty tylko na skobel. Wszedłem do izby, która w tamtych czasach służyła za coś w rodzaju komory. Dziadek przechowywał tu zboże, śrutę, delikatniejsze gospodarskie sprzęty, części uprząży i chyba zasolone półcie słoniny. Dlatego w tym chłodnym bezokiennym pomieszczeniu pachniało wyprawioną skórą, suchym żytem, delikatną zbożową pylistością i trochę naftą. Te wonie zniknęły. Spod zerwanych desek podłogi ciągnęło zbutwiałość. Została tylko dziesiętna waga. Nikt jej nie ukradł. Nikomu już nie była potrzebna. Zniknęły jedynie odważniki z masywnego żelaza.

Szedłem ostrożnie po kruchej podłodze. Do sieni, potem do kuchni. Wszystko było martwe i małe. Ciemna i zimna kaflowa kuchnia miała zapadniętą, spękaną blachę. Okno zasnuły pajęczyny. Cioteczny brat któregoś roku widział małego liska siedzącego na parapecie. Tam, gdzie kiedyś stało radio zasilane z wielkich, pachnących smołą ogniów. Tam, gdzie w słoju warzył się wolno wiśniowy sok. Szedłem ostrożnie i cicho, jakbym się bał, że obudzę duchy. Że powstaną z martwych dawne zdarzenia.

Ciąg dalszy nastąpi

©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 417/19 toczy się postępowanie z wniosku Ilony Gradowskiej o uznanie za zmarłego Stefana Piekarskiego, urodzonego w dniu 22 kwietnia 1920 r., syna Józefa i Antoniny z domu Krakowiak, ostatnio zamieszkałego w Warszawie przy ul. Krochmalnej 31.

Sąd wzywa zaginionego Stefana Piekarskiego, aby zgłosił się w terminie 3 miesięcy, gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego. Sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym, aby zgłosiły się w terminie 3 miesięcy, gdyż w przeciwnym razie może zostać uznany za zmarłego.

OPERACJA OBIAD

Każda rocznica jest dla nich ważna.
Ta, po kilku miesiącach izolacji, jest szczególna.
Jak warszawscy powstańcy przeżywają czas epidemii?

PATRYCJA BUKALSKA

BAZA DANYCH MUZEUM POWSTANIA Warszawskiego liczy prawie 1200 kontaktów do mężczyzn i kobiet, którzy brali w nim udział. Duża część z nich mieszka w Warszawie, więc zaglądają do Muzeum lub do Domu Wsparcia dla Powstańców Warszawskich, spotykają się z uczniami i harcerzami, mają spotkania środowiskowe.

A raczej, tak było do marca: gdy wprowadzono restrykcje mające ograniczyć epidemię, za powstańcami zamknęły się drzwi ich mieszkań lub domów opieki. Oddzieleni od bliskich, od przyjaciół z powstańczych oddziałów, starali się wytrwać. I przetrwać.

W potrzebie

– Od razu zaczęliśmy dzwonić do wszystkich powstańców z naszej listy, tych w Warszawie i w innych miejscach Polski. Pytaliśmy, czego im potrzeba, jak pomóc, jak się czują. Z tych rozmów wyłoniła się nam grupa kilkudziesięciu, którzy potrzebowali systematycznej pomocy – opowiada Agnieszka Pawelec, która w Muzeum odpowiada za kontakty z weteranami.

Lista spraw była długa. Wyrzucenie śmieci, nadanie listów, zakupy. Ale też: uzyskanie recepty na kończące się leki, zorganizowanie wizyty u specjalisty, wsparcie w załatwieniu dokumentów dla opiekunki z Ukrainy (część ukraińskich opiekunek wyjechała do domu, martwiąc się o swoje rodziny, a te, które zostały, potrzebowały uaktualnionych dokumentów).

Zadania, które dla starszych ludzi i tak nie są łatwe, w czasie pandemii stały się niemal niewykonalne. Coś, co wcześniej można było szybko rozwiązać, stawało się katastrofą – jak awaria telewizora czy telefonu, teraz dla weteranów jedynych źródeł informacji i kontaktu ze światem.

– Samo Muzeum nie ma możliwości udzielenia pomocy, ale może być platformą komunikacji między instytucjami a powstańcami. Oni dzwonili do nas, bo nas znają i w sytuacji zagrożenia czuli, że mogą poprosić o pomoc – mówi Agnieszka Pawelec.

Na początku lipca, już z perspektywy czasu, podsumowuje: – Zrobienie zakupów było ważne, podobnie naprawienie telefonu. Ale najważniejsza była rozmowa, a właściwie słuchanie.

Na Nowolipiu

Powstał niespełna dwa lata temu i dla wielu szybko stał się niemal drugim domem. Mogli tu zjeść ciepły posiłek, napić się kawy czy herbaty, posiedzieć z kolegami. W Domu Wsparcia na ul. Nowolipie 22 była też gimnastyka, rehabilitacja i koncerty. Gdy odwiedziłam ośrodek rok temu, opowiadali, jak dzięki ćwiczeniom stają się sprawniejsi, a dzięki wizytom tutaj – mniej samotni.

– Dla nich to forma bycia z ludźmi. Przychodzili tu, żeby się spotykać, kłócić, opowiadać wojenne historie. Zapraszaliśmy gości ze świata filmu, z telewizji. To ich interesowało i nakreślało cały Dom. A potem w jednej chwili



nastąpiło zamknięcie – mówi Janusz Owsiany, prezes Stowarzyszenia Monopol Warszawski, które prowadzi Dom Wsparcia.

– Przede wszystkim trzeba było zapewnić im warunki do przebywania w izolacji: zakupy, obiady, leki – opowiada Owsiany. – A także rozwiązać np. problem emerytury, dotąd trafiającej na konto w banku, do którego oni już nie mogli pójść ze względu na ograniczenia związane z pandemią. Często nie dysponują kartami płatniczymi, nie korzystają z bankowości elektronicznej. To naprawdę był dla nich kłopot.

Tak jak w Muzeum Powstania Warszawskiego, również na Nowolipiu do telefonów usiedli pracownicy i wolontariusze. Dzwonili, pytali, słuchali. – Znamy wszystkich naszych powstańców. Już po głosie mogliśmy się domyślić, w jakim są stanie. Słuchać było, jak bardzo potrzebują naszego wsparcia – mówi Janusz Owsiany.



RAFAŁ SIDERSKI DLA „TP”

Zanim wybuchła epidemia: weterani w Domu Wsparcia dla Powstańców Warszawskich, lipiec 2019 r.

Wśród tych, którzy codziennie obdzwaniają powstańców, jest Magdalena Michalska. – Żle to zniesli. Dom musiał zostać zamknięty z dnia na dzień z uwagi na stan epidemii, nie byli na to przygotowani – mówi dziś. – Na początku dzwoniliśmy do tych kilkudziesięciu osób, z którymi już wcześniej mieliśmy stały kontakt. Szybko jednak trafiali do nas kolejni, którzy słyszeli, że można liczyć na nasze wsparcie.

Michalska podkreśla: – Najbardziej brakowało im normalnego kontaktu z nami. Staraliśmy się ich podnosić na duchu. Np. na Wielkanoc dostali osobiste listy, napisane przez dzieci. Takie gesty pokazywały im, że ktoś o nich pamięta.

Obiadowa logistyka

Gdy w ostatnich latach, jeszcze na długo przed pandemią, Muzeum pytało powstańców o ich potrzeby, jedną z najważniejszych okazywał się codzienny obiad.

Zrobienie i przyniesienie do domu zakupów, ugotowanie i pozmywanie – już



Żołnierze z Wojskowej Akademii Technicznej dostarczają paczki weteranom, wiosna 2020 r.

STOWARZYSZENIE MONOPOL WARSZAWSKI

wtedy było to zbyt trudne dla ludzi liczących zwykle 90 lat lub więcej. W czasie epidemii stało się niemożliwe.

– Zwykle przychodziło do nas regularnie ok. 30 powstańców, którzy jedzą obiady. A teraz mieliśmy nagle pod opieką kilka razy więcej. Codziennie musieliśmy dostarczyć ok. 150 porcji do powstańców mieszkających w różnych częściach Warszawy – opowiada Janusz Owsiany. – To było karkołomne zadanie, bo nie mieliśmy dość samochodów. Nie dysponowaliśmy też środkami, bo przecież nasza działalność nie była planowana na taką skalę.

Przy rozwożeniu obiadów, a także paczek żywnościowych pomogli m.in. żołnierze z Wojskowej Akademii Technicznej. Owsiany: – Można było na nich polegać. I powiem jeszcze coś: nie mieliśmy tyle aut, więc jeździli własnymi, ale żaden nawet nie wspominał o zwrocie kosztów benzyny.

Akcję obiadową prowadziły nie tylko Dom Wsparcia i Muzeum Powstania. ➔

→ Grupę ponad 300 weteranów AK i ich bliskich objęły wspólnie opieką: projekt „Nie zapomnij o nas, Powstańcach Warszawskich”, Stowarzyszenie Zachowania Pamięci o Armii Krajowej, Stowarzyszenie Odra-Niemien Oddział Mazowiecki (w ramach tej akcji żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej dostarczali posiłki także do mniejszych miejscowości i wiosek na wschodzie Polski, na Warmii i Mazurach). „Ja zostałam sama, bez niczego. I te obiady to mi po prostu uratowały życie...” – mówiła jedna z kobiet, odwiedzonych przez żołnierzy na Zamojszczyźnie.

„Czarny” idzie na kawę

– Właśnie jadę do Muzeum, to może pani też przyjedzie? Tam porozmawiamy – mówi Janusz Walędzik, pseudonim „Czarny”, bohater mojego artykułu w „Tygodniku” z zeszłego roku [„TP” nr 31/2019 – red.], gdy proszę go o rozmowę na początku lipca. To jeden z tych, dla których Muzeum jest drugim domem, a jego pracownicy kimś bliskim.

Spotykamy się godzinę później. Chcemy porozmawiać na ławeczce przed Muzeum, ale „Czarnego” co chwilę zatrzymuje ktoś z odwiedzających, prosi o wspólne zdjęcie, a on wyraźnie cieszy się tą namiastką kontaktu. To jedno z jego pierwszych wyjść z domu po wielotygodniowej samoizolacji.

Jak ją przeżył? – Trudno było. Szkoła zamknięta, młodzieży nie było – mówi Janusz Walędzik, który w Szkole Podstawowej nr 26 przy ul. Miedzianej prowadził powstańczą izbę pamięci.

On sam uczył się tam przed II wojną światową, a podczas powstania znalazł się znów w szkolnym budynku – jako 14-letni łącznik w Zgrupowaniu „Chrobry II”. Teraz mieszka niedaleko, więc przed pandemią w szkole był niemal codziennie. Dzieci znają go, nazywają „Dziadkiem”. Trudno wyobrazić sobie tę szkołę bez niego, a i jemu najwyraźniej trudno było przetrwać te tygodnie bez szkoły, bez dzieci, bez przelotnych rozmów, bez tego wszystkiego, co pokazuje, że życie trwa – nawet w miejscach tak naznaczonych jak ulica Miedziana, wtedy część tzw. twardego frontu: powstańczej linii obrony, której Niemcy nigdy nie przełamali.

– Mówili, żeby nie wychodzić z domów, żeby znajomi nie przychodzili – wzdycha teraz Janusz Walędzik. – Ale dzieci ze szkoły przychodziły czasem



Zofia Czekalska ps. „Sosenka” przyniosła własnoręcznie wykonane maseczki dla pracowników Domu Wsparcia, wiosna 2020 r.

przed dom, wychodziłem wtedy na balkon. No i jest telefon. Obiady mi przywozili, zakupy robili wolontariusze z Domu Wsparcia. A teraz już nawet rehabilitacja ruszyła, miałem ją trzy razy. Może znów będę chodzić jak dawniej?

Janusz Walędzik w tym roku wspiera się już na balkoniku. – Zobaczę, może ktoś ze znajomych jest w pracy w Muzeum. Może kawę jeszcze wypiję? – zastanawia się i stawia krok za krokiem.

Mobilizacja do życia

Rehabilitacja została uruchomiona ponownie na Nowolipiu pod koniec czerwca. To ważny element „przywracania” powstańców do życia po kilku miesiącach spędzonych w domu, bez możliwości innego ruchu niż przejście z pokoju do kuchni. Rozpoczęto też akcję „Spacery z powstańcem”, w której wolontariusze wychodzą z seniorami na przechadzki.

– Chodzi o mobilizację, żeby wyszli z domu, zdobyli się na aktywność, nawet jeśli ma to być tylko dojście do ławeczki przed blokiem – mówi Magdalena Michalska.

– To spaceruje w ich najbliższej okolicy, bo po tak długiej izolacji wielu z nich jest oszołomionych i zagubionych po wyjściu z domu – mówi Janusz Owsiany. – Staramy się ich ożywić, zainteresować tym, co na zewnątrz.

Agnieszka Pawelec uważa, że po zniesieniu części restrykcji, gdy powstańcy mogą już wychodzić z domów, jest im jednocześnie i łatwiej, i trudniej: – Dyktans, jaki powstał między ludźmi, chyba jeszcze długo będziemy redukować.

Także Magdalena Michalska zwraca uwagę na skutki długotrwałej izolacji: – Powstańcy pytają, kiedy Dom będzie znów otwarty, chcą spotykać się z koleżankami i kolegami, czekają na obchody rocznicy powstania. Jednak jest w nich duży niepokój. Po tak długim czasie w izolacji nie czują się na siłach, aby wyjść. Został w nich strach, który pomagamy im przełamać.

Smutek był i smutek znikł

Gdy zbliża się kolejny 1 sierpnia, następuje też odliczanie. I konstatacja, jak bardzo ich znów ubyło.

– W ostatnich tygodniach straciliśmy dwóch naszych podopiecznych – mówi Magdalena Michalska.

Wcześniej, w styczniu, zmarł Czesław Łukasik. Gdy rok temu pisałam o Domu Wsparcia, opowiadał mi, że wprawdzie ma liczną rodzinę, ale na Nowolipki przyciąga go uśmiech pracowników. – Zawsze można też porozmawiać z kolegami i koleżankami. Są tylko dwie zasady: nie rozmawiamy o polityce i Kościele! A na spory mamy szeryfa – mówił wtedy. – Ja jestem sędzią pokoju.

Szeryfem był i jest Zbigniew Daab. Pseudonim „Kapiszon”, walczył na Ochocie. Ma profil na Facebooku, zamieszczał na nim relacje ze spotkań. W ostatnich miesiącach pokazywał, jak mijają mu dni. Starał się podnosić na duchu siebie i innych. „Morale jest wysokie” – zapewniał w marcu. W czerwcu cieszył się pierwszymi wyjściami z domu i przypominał piosenkę Adolfa Dymszy:

*A u mnie siup, a u mnie cyk,
Smutek był i smutek momentalnie znikł,
Bo u mnie siup, i raz, i dwa,
I człowiek swój humorek znowu ma.*

Poczucia humoru w czasie epidemii nie straciła Zofia Gordon, ps. „Iskra”. Ona również była bohaterką mojego artykułu sprzed roku.

– To były miesiące więzienia – słyszę jej śmiech, gdy rozmawiamy teraz przez telefon. – I jeden kierunek: lodówka. Dwa kilo przytyłam. Trudne to było, bo ile można czytać albo oglądać telewizję? Teraz jestem już po pobycie nad morzem i lepiej się czuję.

Zofia Gordon podkreśla, jak ważny jest dla niej Dom Wsparcia i wolontariusze: – To fantastyczna rzecz, codziennie rano dzwonią, czy czegoś nie potrzebuję. Pytają,

jak się czuję, zakupy robią. Tyle że uśmiechu też ludzie potrzebują, to jest tak samo potrzebne. Z panią też wolałabym rozmawiać osobiście, a nie tak, przez telefon...

Jakby to było wczoraj

W tym roku rocznicowe obchody będą inne. Z ograniczoną liczbą uczestników, z transmisjami (na profilu Muzeum na Facebooku lub na stronie urzędu miasta). Ale się odbędą. Zaplanowano spotkanie powstańców z prezydentem Andrzejem Dudą i prezydentem Warszawy Rafałem Trzaskowskim, a także wspólne śpiewanie piosenek powstańczych.

Poszczególne środowiska powstańcze nie rezygnują też ze swoich uroczystości.

– Zaczynamy już 31 lipca, a 1 sierpnia odwiedzamy miejsca ważne dla naszego Zgrupowania „Ruczaj”. Będziemy przy wiadukcie na Marszałkowskiej, potem w kaplicy w kościele Zbawiciela, przy Małej Paście na ul. Pięknej, przy kamieniu pamiątkowym na skwerze Batalionu AK „Ruczaj” – wymienia Zofia Gordon. – No i oczywiście będziemy na Powązkach.

Forsowny plan, ale pani Zofia nie ma wątpliwości: – To wysiłek, ale co robić? Tyle przeszliśmy, ale wytrzymaliśmy, i żyjemy. Trzeba oddać hołd tym, co zginęli.

– Proszę zrozumieć: my widzieliśmy, jak oni ginęli. To nasi koledzy. Wszystko pamiętam, jakby to było wczoraj. Jeszcze przed powstaniem byłam świadkiem egzekucji, dotąd staram się omijać to miejsce, idę sąsiednią ulicą – dodaje.

Na obchody wybiera się też Janusz Walędzik: – Tak bym chciał, żeby ten wirus zniknął, żebyśmy wszyscy mogli się spotkać na Powązkach. Ja będę. Ze sztandarem.

Lekcja dobra

Uroczystości się odbędą, na chwilę powstańcy znów będą w centrum uwagi. A potem? Koronawirus nie zniknie, podobnie jak ich potrzeby.

– Epidemia uwidoczniła cały wachlarz problemów związanych w ogóle z opieką nad starszymi osobami, od których wcześniej uciekano. Teraz widać jak na dłoni, że trzeba budować od zera cały system takiej opieki. I że jednym z podstawowych

elementów powinny być domy dziennego pobytu, takie jak nasz – uważa Janusz Owsiany.

– Takie miejsce mobilizuje ich do wysiłku, wyjścia z domu, aktywności. Łatwiej też otoczyć ich tu podstawową opieką lekarską. Po co mają spędzać kilka godzin na SOR-ze, skoro pomógłby lekarz będący do ich dyspozycji w domu dziennego pobytu? To lepsze rozwiązanie. Ale ile jest takich domów w Warszawie? – dodaje.

Patrząc na ostatnie miesiące, Janusz Owsiany widzi jednak też coś pozytywnego: – Nie spodziewałem się, że będę brać udział w takiej operacji. To było wyzwanie, ale też szansa, lekcja przyzwyczajenia i elementarnego dobra. Coś takiego nie zdarza się często.

Zofia Gordon: – Proszę koniecznie zaznaczyć w swoim artykule, że nikt nam wtedy nic nie kazał. To był nasz wybór. Szliśmy walczyć o Polskę, o Warszawę. Miałam 16 lat, powiedziałam mamie: „Chcę iść walczyć”. Chwilę pomilczała, a potem mnie pocałowała i powiedziała: „Idź, dziecko”. Nadal czuję ten pocałunek.

© PATRYCJA BUKALSKA

„I nagle zostaliśmy zmuszeni do pełnej izolacji...”

Gdy widziałam się z Anną Jakubowską (ps. „Paulinka”, rocznik 1927) pod koniec lutego, nie mogłam przypuszczać, że nie zobaczymy się przez kolejne miesiące. Dom pomocy społecznej, w którym mieszka, został zamknięty – jak inne podobne placówki. W zamknięciu minęły Wielkanoc i wiosna, mija lato. Mnóstwo dni, których „Paulinka”, jak wielu jej kolegów i koleżanek z powstania, nie może dzielić z bliskimi.

Była sanitariuszką i łączniczką batalionu „Zośka”, została odznaczona Krzyżem Walecznych, po wojnie spędziła ponad pięć lat w komunistycznym więzieniu. Poznałyśmy się w 2005 r., gdy prowadziłam z nią wywiad dla Muzeum Powstania Warszawskiego. Potem spotykałyśmy się regularnie i rozmawiałyśmy, nie

tylko o powstaniu. Zaprzyjaźniłyśmy się. Z czasem z tych rozmów powstała książka „Szkło pod powieką”. Teraz pozostaje nam telefon, ale nawet długa rozmowa telefoniczna nie zastąpi spotkania. Jak radzą sobie weterani w DPS-ach? Gdy przygotowywać tekst, zapytałam o to Annę Jakubowską, zdecydowała się odpowiedzieć listem. Oto on.

© PB

ANNA JAKUBOWSKA, „PAULINKA”:

Od prawie roku mieszkam w Domu Pomocy Społecznej „Kombatant”. Inwalidztwo i niesamodzielność życiowa sprawiły, że musiałam wyzbyć się tej części mojej wolności, która mi jeszcze pozostała. Jednak nigdy wcześniej nie myślałam, że moglibyśmy stać się



CC BY-SA 4.0

tak bezradni, jak w czasie pandemii. Nagle zostaliśmy zmuszeni do pełnej izolacji. Jak sobie radzą z tym moi wiekowi koledzy, zamknięci w mieszkaniach, pozbawieni możliwości wzajemnej pomocy? Jak przezwyciężają narastające trudności dnia powszedniego? Poczułam się uprzywilejowana, pozbawiona tych codziennych trosk życiowych, które oni muszą na bieżąco rozwiązywać. Może dlatego, mimo

uciążliwej izolacji, staram się nie narzekać. Tymczasem zbliża się kolejna rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego. Skłania do refleksji i wspomnień. Wracam właśnie z krótkiego spaceru, który jest możliwy tylko dzięki mojemu nieodłącznemu chodzikowi. Pięknie skomponowany ogród pozwala cieszyć się różnorodnością drzew i krzewów, rozkwitających w różnych porach lata. Po drodze spotykam dwóch starszków uwięzionych w swoich wózkach inwalidzkich. Ich gestykulacja i ożywione twarze świadczą o wadze zagadnienia, które roztrząsają. Zapewne wspominają epizody z udziału w walkach powstańczych. Tego nikt im nie odbierze! Dochodzę do mojego pokoju. Cisza, którą można zagospodarować, to wielka wartość. ©

UNIwersytet I MIASTO

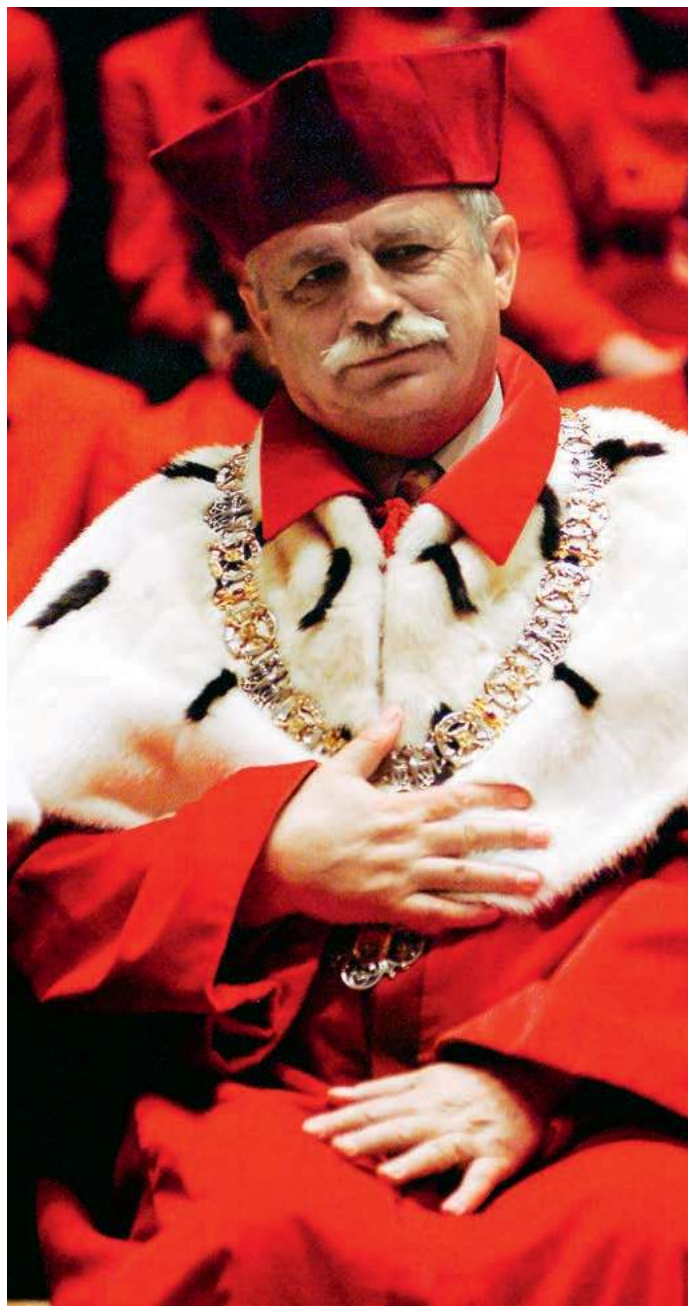
Wieloletni rektor najstarszej polskiej uczelni,
Franciszek Ziejka przypominał,
że od kondycji świata
akademickiego zależą losy przyszłych
obywateli Europy.

TOMASZ BILCZEWSKI

CHOĆ OD ZAKOŃCZENIA JEGO OSTATNIEJ KADENCJI REKTORSKIEJ minęło 15 lat, jego obecność w życiu Uniwersytetu Jagiellońskiego i Krakowa nie osłabła. Można powiedzieć, że ostatnia dekada potwierdziła, iż należał do grona najlepiej rozpoznawalnych twarzy zarówno Uczelni, jak i miasta, którego rozwój i świetność leżały mu na sercu. W ostatnich latach swoim związkom z tymi miejscami dał wyraz nie tylko jako nieustraszonego przewodniczący Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa – wielokrotnie też mówił i pisał o nich wprost.

W arkuszu notatek do wystąpień rektorskich z 2004 r. znalazły się dwa maszynopisy tekstów, które prof. Ziejka pieczołowicie przygotowywał. Pierwszy, przeznaczony do książki „Wielokulturowość, tożsamość narodowa, mniejszości na Węgrzech i w Polsce: język, literatura, kultura”, poświęcił europejskiemu obliczu młodopolskiego Krakowa. Pisał, że siła i atrakcyjność wizerunku miasta „jako stolicy duchowej Polaków czy też stolicy Młodej Polski jest tak duża, że znika z pola widzenia ów »międzynarodowy«, europejski wymiar toczącego się w nim życia umysłowego i artystyczno-literackiego”. Wynikał on zdaniem uczonego zarówno z kontaktów z Paryżem, Berlinem, Wiedniem czy Monachium, jak i z charakteru samego ośrodka, „kształtowanego nie tylko przez Polaków, ale także przez Ukraińców, Czechów, Żydów, Litwinów i przedstawicieli innych narodów”.

Z właściwą sobie dociekliwością – prof. Ziejka był mistrzem poszukiwań archiwalnych, a Biblioteka Jagiellońska jego drugim domem – prowadził wieloletnie kwerendy, z pasją dokumentując szczegóły: od słynnych niegdyś pod Wawelem spotkań wielbicieli poezji Dantego po wizyty aktorki paryskiej Sary Bernhardt (1892 r.),



pisarzy miary Josepha Conrada (1914 r.) czy uczonych jak Georg Brandes, duński badacz literatury światowej, odwiedzający miasto w 1898 r. Ale jak w życiu Uczelni wspierał równowagę rozwoju wielu dyscyplin, określanych tradycyjnie mianem ścisłych, humanistycznych czy społecznych, tak też obraz Krakowa pisarzy, poetów i malarzy nie był dla niego pełny bez przypomnienia osiągnięć wybitnych fizyków, chemików i medyków: Karola Olszewskiego, Zygmunta Wróblewskiego, Napoleona Cybulskiego, Tadeusza Browicza czy Mariana Smoluchowskiego.

Urok lokalnego kolorytu i specyfiki miasta, do którego Profesor był przywiązany, ujawniał się w całej złożoności dopiero w wymiarze europejskim. Warto o tym pamiętać, wszak czasy, gdy kierował najstarszą polską uczelnią, przypadły na historyczny moment poszerzania granic Wspólnoty europejskich państw. Trzy dni przed włączeniem

Profesor Franciszek Ziejka podczas ceremonii nadania tenorowi Placido Domingo tytułu doktora honoris causa Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie, czerwiec 2003 r.

Polski w strukturze unijnej, jako przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, w obecności kilkuset europejskich rektorów, reprezentujących blisko 2 mln nauczycieli akademickich i ponad 15 mln studentów, przypominał w Lublinie, że od kondycji świata akademickiego zależą losy przyszłych obywateli Starego Kontynentu. Tego, który jawił mu się jako świadoma swej bolesnej historii przestrzeń „wyzbyta nacjonalizmów i otwarta na wartości humanizmu”.

Zabierał wówczas głos w imieniu instytucji wprowadzających do okrzepłej już Wspólnoty ponad 3 mln studentów z krajów, w których liczba studiujących w ciągu 15 lat podwoiła się lub potroiła (w Polsce było ich wówczas czterokrotnie więcej niż w 1990 r.). W notatkach do tego wystąpienia, które sąsiadują z notatkami o młodopolskim Krakowie, zapisywał, że to na uniwersytetach spoczywa odpowiedzialność za nadanie „Europie nowego oblicza, oblicza Europy wiedzy”.

Temu zadaniu podporządkował uniwersyteckie obowiązki i przedsięwzięcia, pragnąc synergii rozwoju miasta i świata akademickiego. Podkreślając wagę swych radłowskich korzeni i wyniesionej z domu dyscypliny pracy, która od wczesnego poranka wyznaczała rytm jego dnia, kształtował swą wizję Uniwersytetu z rozmachem, budując jego infrastrukturę (Kampus 600-lecia, Auditorium Maximum), międzynarodowe kontakty (EUA, Coimbra Group), lokalną i krajową pozycję (KRASP, KRUP, KRSWK). Przypominał o jego bogatej historii podczas obchodów jubileuszy;

współpracował z mediami i instytucjami życia kulturalnego. Gościł w murach naszej Almae Matris premierów i prezydentów, koronowane głowy, przedstawicieli wielu kultur i kontynentów, jednak w jego kalendarzu zawsze znajdowało się miejsce dla trudnych spraw wszystkich szukających u niego rady i wsparcia.

W jednym z przemówień, skierowanym do czołowych badaczy świata arabskiego, podkreślał, że UJ „otwarty jest na dialog uczonych różnych języków, kultur i światopoglądów”. Przesłanie stojące za ideą „uczelni dialogu” towarzyszyć będzie rozwojowi Uniwersytetu także w najbliższych latach. ©

Autor pracuje na Wydziale Polonistyki UJ, zajmuje się komparatystyką literacką, teorią i historią literatury, translatologią i przekładem naukowym. Był sekretarzem Franciszka Ziejki, gdy ten sprawował funkcję rektora UJ.

Złota legenda

ANNA CZABANOWSKA-WRÓBEL

Franciszek Ziejka nie tylko badał zjawiska literackie, ale ukazywał to, co najistotniejsze dla naszej tożsamości.

JEGO ODEJŚCIE TO STRATA, KTÓREJ JESZCZE NIE ROZUMIEMY; poszukujemy formuł, które mogłyby go opisać. Niewiarygodna pracowitość i wielka życzliwość: te dwa rysy jego osobowości powtarzają się chyba najczęściej, co nie wynika z trudności w znalezieniu oryginalnych określeń, ale z jedności i konsekwencji budowanego przez lata wizerunku.

Jako uczony Franciszek Ziejka badał dzieła i zjawiska literackie, a równocześnie ukazywał to, co najistotniejsze dla naszej świadomości zbiorowej i tożsamości, akcentując ściśle związki literatury polskiej z europejską. Połączenie dbałości o szczegóły z umiejętnością uogólnienia stanowi wielką wartość jego prac, wśród których znajdują się monografie, jak choćby odkrywca interpretacja „Wesela”, zatytułowana „W kręgu mitów polskich” (1977 i 1997), monumentalna „Złota legenda chłopów polskich” (1984) czy tak wybitne dzieła jak „Paryż młodopolski” (1993), „Nasza rodzina w Europie” (1995), „Poeci, misjonarze, uczeni” (1995), „Miasto poetów” (2005). Widać je także w książkach popularizatorskich, które mają wiernych odbiorców. Znawca literatury i kultury polskiej wieków XIX i XX, ukazywał w nich zjawiska literackie na tle historii, dziejów obyczaju, historii sztuki, w powiązaniu z dziedzictwem europejskim.

Jeśli spojrzeć na te książki z perspektywy biografii ich autora, można również zobaczyć, że wszystkie składają się na jedną konsekwentną opowieść kogoś, kto urodził się w 1940 r. w Radłowie pod Tarnowem, kto o tym pamiętał i czuł się prowadzony przez Siłę Wyższą, którą możemy nazywać Opatrznością, a świecko – Losem.

Pod koniec życia interesowały go nekropolie, miejsca pochówku sławnych ludzi; odtwarzał z pietyzmem szczegóły ich pogrzebów. Zajmował się też życiem artystów, poruszała go historia Wandy Monné i Artura Grottgera, przejmował tragiczny los Franciszka Wyspiańskiego (odkrywał jego nieznanne rzeźby). Dlaczego przesunął punkt ciężkości z dzieł na człowieka? Przecież nie z naiwności, lecz z przekonania, że ostatecznie w nim kryje się istota współtworzonej przez jednostki kultury.

Ziejka laboriosus – topos pracowitości od zawsze wiązał się z chłopskim habitusem. Tę samą topikę znamy z biografii Stanisława Piğonia, o którym pisał, ale od którego wiele go różniło. Nie podążał już, ➔

⇒ jak w przypadku Pigonia, drogą „z Komborni w świat”, ale kierował się wyobrażeniem Radłowa jako „naszego miejsca w Europie”. Etos chłopskiej pracowitości wybija się u niego na pierwszy plan, choć nie brakowało mu talentu, inwencji i odkrywczosci. Wytrwałość i dociekliwość to cechy Ziejki jako uczonego, który nieustannie pracował, wierząc, że można kształtować samego siebie poprzez trud nakierowany na cel.

Profesor Ziejka był recenzentem mojego doktoratu; miałam okazję obserwować, jak przez dziesięciolecia opiekował się uczniami, nie robiąc różnic między „swoimi” i „cudzymi”, co w nauce wcale nie częste. Niepowtarzalna i wspaniałomyślna życzliwość zapada w pamięć i rodzi wdzięczność. Właściwe mu było głębokie rozumienie Uniwersytetu – zarówno jego idei, jak i realiów materialnego trwania, ale zwłaszcza jako wspólnoty kolejnych pokoleń.

„Niewiara w wielkość wrodzona jest duchowi ludzkiemu. Jest w nas jakiś duch małości, który rozdrabnia, ryje, podgryza, kruszy, aż póki nie rozdrobi, nie rozniesie, nie prze-ryje skały wielkości... To jest nieustanna, żarliwa, podziemna praca małości” – pisał Bruno Schulz w czasach, które nie były

ani trochę łatwiejsze niż nasze. A gdyby przestać podważać i przestać pomniejszać, aby zobaczyć ludzi, którzy byli jeszcze wczoraj niedaleko nas, w całej niezwykłości i niepowtarzalności? Zyskalibyśmy na tym jako społeczeństwo, a z pewnością jako ludzie.

W jednym z ostatnich szkiców, zamykających książkę „Podróże pisarzy” (2019), Ziejka odtworzył pobyt Władysława Jagiełły wraz z całym dworem w Radłowie w roku 1413. Na tekst ten sam zwrócił moją uwagę w jednej z rozmów. To znamieny gest powrotu do początków – własnych i rodzinnej miejscowości. Wiedział, że jest postacią legendarną, i szatę legendy nosił we właściwy sobie pogodny sposób. Uderzająca była w jego przypadku jedność wizerunku i osoby – rzadko zdarza się tak doskonała. Będziemy powtarzać nasze wspomnienia, aż z formuły i toposów ukuje się legenda, która jest, przywołując znów Schulza, „reakcją ludzkiego ducha na wielkość”.

© ANNA CZABANOWSKA-WRÓBEL

Autorka pracuje na Wydziale Polonistyki UJ, zajmuje się badaniami literatury Młodej Polski, literatury dziecięcej i poezji współczesnej.

Z wielkim żalem i ogromnym smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

profesora Franciszka Ziejki

polskiego historyka literatury,
profesora nauk humanistycznych,
rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego
w latach 1999–2005,
przewodniczącego Konferencji Rektorów
Akademickich Szkół Polskich w latach 2002–2005,
członka Polskiej Akademii Umiejętności,
członka Komisji ds. Etyki w Nauce
przy Polskiej Akademii Nauk
oraz Kapituły Nagrody Prezesa Rady Ministrów.

Pozostanie dla nas wzorem i uosobieniem
najlepszych tradycji akademickich,
autorytetem moralnym i naukowym
dla wielu pokoleń naukowców.

Żegnamy Go w poczuciu ogromnej straty.

Łączymy się w bólu ze społecznością
Uniwersytetu Jagiellońskiego.

RADA REKTORÓW SENIORÓW
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

REKTOR I SENAT
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

Polska Akademia Umiejętności
z najgłębszym żalem
żegna

ś.†P.

Profesora Franciszka Ziejkę

członka czynnego Wydziału Filologicznego,
niezwykle aktywnego
we wszelkich działaniach Akademii,
Człowieka wielkiego umysłu i serca.

ZARZĄD I RADA
POLSKIEJ AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 19 lipca 2020 roku zmarł

prof. dr hab. Franciszek Ziejka

wybitny humanista, znawca literatury i kultury polskiej XIX i XX wieku,
propagator jej znaczenia w Europie i w świecie, człowiek wielkiego serca, wytrwałości i siły ducha.

Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego (1999–2005), Prorektor (1993–1999),
Dziekan Wydziału Filologicznego, Kierownik Katedry Historii Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski.

Przewodniczący Kolegium Rektorów Szkół Wyższych Krakowa (1999–2005),
Przewodniczący Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich (2002–2005),
Przewodniczący Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa (2005–2020),
członek: Narodowej Rady Integracji Europejskiej przy Prezesie Rady Ministrów,
Komitetu „Polska w Zjednoczonej Europie” przy Prezydium PAN,
Wydziału I Filologicznego Polskiej Akademii Umiejętności oraz polskiego PEN Clubu.
Wielki organizator życia naukowego, uhonorowany przez Uniwersytet Jagielloński:
Złotym Medalem Plus Ratio Quam Vis (2005), Medalem Merentibus (2009),
tytułem Profesora honorowego Uniwersytetu Jagiellońskiego (2012), Laurem Jagiellońskim (2020).

Uhonorowany wieloma odznaczeniami państwowymi, m.in. Krzyżem Komandorskim
Orderu Odrodzenia Polski (2012), Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis (2019),
odznaczeniami nadanymi przez rządy: Francji (Kawaler Legii Honorowej 2006),
Brazylji, Portugalii, Niemiec, Austrii i Japonii.

Doktor honoris causa: Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie
(ówczesnej Akademii Pedagogicznej w Krakowie) (2003),
Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu (2003), Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach
(ówczesnej Akademii Świętokrzyskiej) (2004), Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II
(ówczesnej Papieskiej Akademii Teologicznej) (2005), Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej (2005).

Honorowy obywatel Radłowa, Tarnowa i Sanoka.

Laureat wielu nagród i wyróżnień, m.in. Ministra Edukacji Narodowej,
Miasta Krakowa, Krakowianina Roku, Małopolanina Roku.

Urodzony 3 października 1940 r. w Radłowie, w ziemi tarnowskiej, upamiętnił w swojej twórczości
wielowiekowe dziedzictwo chłopów polskich. Gorąco przywiązany do Krakowa, poświęcił mu znaczną część
swojego dorobku naukowego. Był autorem wielu ważnych monografii historycznoliterackich i studiów naukowych,
a także pisanych z pasją książek przybliżających literaturę i kulturę szerokim kręgom odbiorców.

Od początku istnienia opiekun naukowy miesięcznika UJ „Alma Mater”.

W osobie Zmarłego Uniwersytet Jagielloński traci nie tylko wybitnego uczonego,
lecz także doskonałego organizatora, który przeprowadził Uniwersytet w XXI wiek,
realizując program budowy Kampusu 600-lecia Odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego,
traci najlepszego orędownika naszej Almae Matris, który pracował dla niej z poświęceniem i miłością.

Wyrazy głębokiego współczucia oraz najszczerze kondolencje

składają

REKTOR, SENAT, DZIEKAN I RADA WYDZIAŁU POLONISTYKI
ORAZ SPOŁECZNOŚĆ AKADEMICKA UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

DOBRZE MIEĆ PROBLEMY

JUAN LUIS ARSUAGA, PALEOANTROPOLOG:

Żeby stworzyć cywilizację, potrzebujesz dłoni,
przestrzennego widzenia i życia społecznego. Wszystkie mały
byłyby dobrymi kandydatami na naszych następców.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Zaczniemy od czegoś łatwego. Co to znaczy być człowiekiem?

JUAN LUIS ARSUAGA: To znaczy należeć do społeczeństwa. Jesteśmy przede wszystkim gatunkiem społecznym, ze społecznym mózgiem.

Kiedy byłem studentem, wedle powszechnej opinii nasza pozycja dominującego gatunku była efektem tego, że nauczyliśmy się polować, zabijać i jeść mięso. Staliśmy się myśliwymi, a nasze mózgi zaczęły rosnąć, co pomagało rozwijać się naszym talentom łowieckim. Ale w ostatnich dekadach ten paradygmat się zmienił. Dziś mówimy, że rozmiar naszych mózgów, świadomość, wszystkie nasze charakterystyki, nawet fizyczne, są związane z faktem, że jesteśmy gatunkiem hipersocjalnym. Jesteśmy ssakami społecznymi *par excellence*. Nie ma innych, które by nam dorównywały.

Istnieją inne linie ewolucyjne, które ewoluowały w stronę socjalności, np. delfiny czy słonie. Wypracowały – niezależnie – niektóre cechy, którymi charakteryzują się ludzie. Ale tylko my zaszliśmy w tym procesie tak daleko. Nasze mózgi są wielkie, bo potrzebujemy ich do przetwarzania informacji społecznych. Są maszynami do analizy społecznych sygnałów.

Pierwsze było społeczeństwo czy mózg?

Rozwijały się razem. Ewolucja nie jest procesem linearnym. To seria sprzężeń zwrotnych. Ludzie mają problem ze zrozumieniem jej, bo myślą linearnie. Tymczasem, jak w pytaniu o kurę i jajko, niemożliwe jest stwierdzenie, co było pierwsze. Im większy mózg, tym bardziej złożone staje się społeczeństwo. Ono z kolei tworzy warunki sprzyjające selekcji na korzyść dużych mózgów. A duże mózgi pozwalają na tworzenie jeszcze bardziej złożonych społeczeństw. Kiedy to ewolucyjne koło się rozpędzi, jego obroty mogą być bardzo, bardzo szybkie. Ewolucja potrzebuje czasu, bo początkowo proces biegnie powoli. Ale kiedy nabierze pędu, następuje bardzo szybko. Tak też było z rozwojem złożoności naszego mózgu.

Czy to proces nieunikniony? To, że dziś, jako dwaj członkowie tego społecznego gatunku, rozmawiamy przez internet, jest oczywiste? Czy gdyby sprawy potoczyły się inaczej, to dziś rozmawiałaby tu jakaś istota podobna do mnie i jakaś istota podobna do Pana, ale należące do innego gatunku?

O tym jest moja książka „Życie”. To eksperyment myślowy, spekulacja podparta

wiedzą, bo nie potrafimy sprawdzić tego eksperymentalnie. Choć nie, może jakoś potrafimy. Bo eksperyment polegający na tworzeniu złożonego życia społecznego nastąpił w wielu liniach. Możemy więc analizować wspólne elementy. Nasze powstanie było moim zdaniem nieuniknione albo przynajmniej bardzo prawdopodobne, przy założeniu, że ewolucja ma dość czasu. Bo wszystko jest kwestią czasu i stabilności.

Niedawno opublikowano pracę, z której wynika, że mamy ogromne szczęście, ponieważ Słońce jest gwiazdą stabilną, nie przejawia gwałtownych fluktuacji promieniowania. Nie wiedzieliśmy tego wcześniej. W galaktyce jest wiele podobnych gwiazd, które jednak cechują się gwałtownymi skokami promieniowania. Przy takich zaburzeniach ewolucja byłaby niemożliwa. Nie wystarczy więc to, że gwiazda jest położona w odpowiedniej odległości – musi być bardzo stabilna przez miliardy lat. Ale jeśli istnieje planeta we właściwej odległości od gwiazdy o charakterystyce podobnej Słońcu, to →

Profesor Juan Luis Arsuaga (w środku) i jego zespół prezentują skamieniałości neandertalczyków znalezione w Sima de los Huesos, lipiec 2006 r.



→ wtedy, po powiedzmy czterech miliardach lat i po wielu kolejnych „jeśli”, jest bardzo prawdopodobne, że powstanie więcej niż jedna linia ewolucyjna prowadząca do zwierzęcia o stałej temperaturze ciała, które będzie rozwijać się w stronę złożoności społecznej. Chociaż nawet to jeszcze nie wystarczy, by powstał ktoś taki jak człowiek. Delfiny tworzą złożone społeczności, ale nigdy nie stworzą cywilizacji technologicznej, nie wyprodukują narzędzi.

Nie mają dłoni.

Właśnie. Są bardzo inteligentne, uspołecznione, mogą stworzyć język, ale nie rozpalą ognia. Bez ognia nie ma źródła energii. A bez tego niczego nie stworzysz. Możesz tylko jeść i absorbować energię otoczenia. Podobnie jest ze słoniami. Słonie żyją długo – co też jest ważne dla powstania inteligencji społecznej. Jednak ich trąby nie wystarczą do stworzenia cywilizacji technologicznej. Nie wyobrażam sobie słonia rozpalającego ogień czy piszącego trąbą. Do powstania cywilizacji potrzebna jest linia ewolucyjna istot zdążających w stronę złożonego społeczeństwa, posiadających dłonie.

Ale to nadal nie wszystko. Potrzeba też np. widzenia w trzech wymiarach. Żeby tworzyć przedmioty, musisz umieć oszacować odległości. Żeby uderzyć kamieniem w drugi kamień, musisz widzieć stereoskopowo. Jest więc bardzo dużo „punktów kontrolnych” na drodze do cywilizacji technicznej. Taka cywilizacja jest w punkcie wyjścia bardzo mało prawdopodobna, choć przy właściwych warunkach gdzieś w innej galaktyce mogły pojawić się inne humanoidy. Ale pewnie nigdy się z nimi nie skontaktujemy.

W moich prezentacjach często pokazuję pewien rysunek. Mała dziewczynka pyta wyroczni: czy jesteśmy sami we Wszechświecie? Wyrocznia mówi: oczywiście, że nie. Jest wielu innych. Dziewczynka pyta: więc dlaczego ich nie spotkaliśmy? Wyrocznia odpowiada: bo oni też są sami. Może istnieje wiele cywilizacji, ale obawiam się, że wszystkie są samotne.

Pozostaniemy przy samotności.

Czy było nieuniknione, że będziemy jedynym pozostałym przy życiu gatunkiem człowieka? Ledwie 40 tys. lat temu były co najmniej trzy.



JAVIER TRUEBA / MSF

JUAN LUIS ARSUAGA jest paleoantropologiem zatrudnionym na Uniwersytecie Complutense w Madrycie. Od 40 lat tropi ślady naszych najstarszych przodków, m.in. wczesnych *Homo sapiens* i neandertalczyków. Do polskich księgarń trafiła niedawno jego książka „Życie” (wydana przez Znak), w której stara się opowiedzieć całą ewolucyjną historię powstania naszego gatunku. Oraz odpowiedzieć na pytania, dlaczego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, i czy nasze powstanie w toku ewolucji było przypadkiem czy koniecznością.

Od początku badań nad ewolucją człowieka wracamy do tego pytania. Do geometrii ewolucji człowieka. Czy nasza ewolucja przypomina linię czy krzew albo raczej drzewo? Jedna linia ewolucyjna czy jeden gatunek politypowy, czyli posiadający warianty geograficzne, ale bez specjalizacji, fragmentacji, podziału na osobne gatunki? Są różne odpowiedzi.

Nikt do końca nie wie, ile było gatunków *Homo*. Sto tysięcy lat temu żyły hominidy na wyspie Flores – metrowego wzrostu, podobne do starszego o dwa miliony lat *Homo habilis*. W tym samym czasie na Jawie mogli wciąż żyć przedstawiciele *Homo erectus*. W Europie mieliśmy neandertalczyków – ale na Ziemi byli też denisowianie, *Homo sapiens*, a może także *Homo naledi*, kolejny gatunek niskiego wzrostu. Dziś też nie jesteśmy sami. Mamy szympansy, bonobo, goryle. Bliskich krewnych, którzy żyją obok nas. Prawie doprowadziliśmy do ich wymarcia. Choć niedawno rzeczywiście mieliśmy krewnych o wiele bliższych.

Jednym z problemów w tych dyskusjach jest definicja gatunku. Czy neandertalczyk i my to różne gatunki? Ta definicja się zmienia. Wiemy, że gatunki należące do tego samego taksonomicznego

rodzaju zwykle wymieniają się genami. Na przykład niedźwiedzie brunatne żyjące w Polsce mają około 3 proc. genów niedźwiedzia jaskiniowego.

Podobnie jak my mamy geny neandertalczyków.

3 proc. to dokładnie ten sam odsetek genów, jaki my odziedziczyliśmy po neandertalczykach, dzięki temu, że nasi przodkowie się z nimi krzyżowali. Więc neandertalczyk i my to ten sam gatunek, jeśli uznamy, że niedźwiedzie brunatne i jaskiniowe są jednym gatunkiem.

Moim zdaniem jednak niewielka wymiana genetyczna nie sprawia, że możemy mówić o jednym gatunku. To jak z językami. Mogę powiedzieć „sushi” i „sashimi”, ale to jeszcze nie znaczy, że mówię po japońsku, pożyczylem tylko parę słów. Tak samo jest z gatunkami. Według mnie neandertalczyk był oddzielnym gatunkiem, mimo że mamy od nich geny. Wymarli, a my prawdopodobnie przyczyniliśmy się do tego.

Dla wielu ludzi obecna pandemia COVID-19 wydaje się apokaliptycznym momentem przemiany świata. Ale czy to ważny moment w naszej ewolucji?

Zupełnie w to nie wierzę, choć wielu ludzi bawi się w proroków apokalipsy. Mówią o apokalipsie, a robią plany na przyszłość. To absurdalne. To wirus. Potrzebujemy szczepionki, a nie proroków.

Wirusy ataczały nas zawsze. Były ważnym elementem ewolucji, bo transportowały geny w ramach tzw. horyzontalnego transferu genów – czyli między gatunkami.

Prawdą jest, że ta pandemia to choroba XXI w. Przynależy do tego okresu historii, bo żyjemy w wielkich miastach ściśle powiązanych ze sobą. Ten problem będzie o wiele powszechniejszy. To element naszej cywilizacji, z którym będziemy musieli sobie poradzić, tak jak radziliśmy sobie w przeszłości z wieloma innymi. Pamiętam, co się działo, kiedy terroryści zaczęli wysadzać samoloty. Nikt nie powiedział: nie będziemy latać przez bomby. Latamy tysiąc razy częściej niż wtedy. Poradzimy sobie i z pandemią. Dostosujemy się. Zawsze powtarzam, że najlepszą definicją życia jest rozwiązywanie problemów. Tylko żywe istoty mają problemy. Dobrze mieć problemy. Martwi nie mają żadnych.

Czy ewolucja ukształtowała nas tak, że mamy stronę duchową? Richard Dawkins pisał, że przez to, że sami tworzymy narzędzia, szukamy we wszechświecie ręki Stwórcy, celowości.

To możliwe. Nasz sposób myślenia opiera się na przypisywaniu duszy i celowości wszystkiemu wokół. Najlepszym przykładem jest ta pandemia. Ludzie mówią: „wirus chce”, „wirus dąży do”. Personalizujemy wirusa, staramy się zrozumieć jego cele, plany. Personalizujemy wszystko, bo w ten sposób najłatwiej jest nam przewidzieć zachowanie świata.

Noblista, biochemik Jacques Monod, autor słynnej książki „Przypadek i konieczność”, powiedział mi kiedyś: „W chemii, kiedy chcę coś przewidzieć, myślę: co zrobiłbym, gdybym był elektrenem?”. Tak rozumiemy świat. Przypisujemy ludzkie atrybuty wszechświatowi. Wypełniamy go duchami. Bierze się to stąd, że to najlepszy sposób przewidzenia zachowania innych ludzi. Wchodzisz w ich głowę. Stawiasz się w ich butach. „Co zrobiłbym, gdybym był moim przyjacielem, synem, ojcem?”. Potem rozszerzamy ten sposób myślenia na wszystko. Przypisujesz ludzkie cechy wszystkiemu, co żyje, albo rzece, chmurze, burzy, górze, gwiazdom. W prymitywnym, magicznym myśleniu dusze są wszędzie. A myślenie animistyczne, magiczne, to pierwszy krok do religii.

Monoteistyczni bogowie przyszli o wiele później. W ubiegłym roku opublikowano w „Nature” pracę, w której badacze wykazywali, że kiedy społeczeństwo dociera do pewnego poziomu skomplikowania, który możemy mierzyć poprzez wielkość populacji, poziom złożoności instytucji rządowych czy systemów pocztowych, cywilizacja „wytwarza” boga monoteistycznego. Nazwali go „bogiem prospołecznym”, bogiem, którego interesuje ludzkie zachowanie.

Prymitywne bóstwa nie interesują się zachowaniem ludzi. Nie interesuje ich, kto z kim sypia, tylko to, jak odnosisz się do nich. W prymitywnych religiach, nawet na początku Biblii, liczą się jedynie twoje obowiązki w stosunku do boga. Możesz być wierny żonie albo niewierny, to nie robi różnicy tak długo, jak długo składasz ofiary. Ale na pewnym poziomie skomplikowania bóg zaczyna martwić się twoim zachowaniem nie w odniesieniu do niego, tylko do innych ludzi.

Jesteśmy najlepszym z gatunków właśnie dlatego, że nie przestrzegamy praw natury. Ich przestrzeganie oznaczałoby, że **większość dzieci nie dożyłaby wieku reprodukcyjnego.**

Pojawiają się przykazania – co wolno im robić, a czego nie. To właśnie bóg prospołeczny, zainteresowany społecznym porządkiem.

Czy nasza kultura i technologia zmieniły sposób, w jaki wpływa na nas ewolucja? W wielu kwestiach możemy teraz ominąć czynniki, które w innym przypadku wymagałyby od nas rozwiązań biologicznych.

Opracowaliśmy technologię edytowania genów, możemy więc zrobić wszystko, ale uważam, że nie zmieni się nic. Nie istnieje coś takiego jak ideał osoby. Gdyby zapytano mnie, zanim miałem dzieci, jakiego syna czy córkę chcę, nie miałbym odpowiedzi, bo nie miałem w głowie żadnego ideału córki. Chcę po prostu, żeby moje dzieci były szczęśliwe, nie obchodzi mnie, czy są wysokie czy niskie, czy są blondynami czy brunetami.

Tylko szaleńcy mają w głowie ideał człowieka. Dla większości ludzi genetyczna loteria jest dobra. Każdy z nas ma jakieś dary. Każdy ma swój, nikt nie ma wszystkich. Uważam, że w tej dziedzinie niewiele się zmieni. Nie wierzę w żadnego „człowieka przyszłości”. Jestem czasem pytany np. o to, czy nie byłoby fajnie, gdyby ludzie mogli latać. Tyle że przecież ja potrafię latać. Robię to bez przerwy, samolotami. Mam też idealną pamięć. Nazywa się Wikipedia. Moglibyśmy może opracować lepsze zęby czy coś podobnego. Ale nie ma przed nami żadnych wielkich celów do spełnienia, jedynie drobiazgi.

Ale czy jako gatunek zmienimy się? Będziemy ewoluować?

Nie. Gatunek zmienia się, bo podlega selekcji naturalnej. A ona polega na tym,

że przeżywają nieliczni. Nie chcę świata, w którym umierają moje dzieci, więc jestem przeciwnikiem selekcji naturalnej. Nie chcę jej.

Jesteśmy najlepszym z gatunków właśnie dlatego, że nie przestrzegamy praw natury. Ludzie mówią: powinniśmy przestrzegać praw naturalnych. Nie! Nie powinniśmy! Ich przestrzeganie oznaczałoby, że większość dzieci nie dożyłaby wieku reprodukcyjnego. Musimy wyeliminować selekcję naturalną. W obecnej pandemii umierają głównie starsi ludzie. Ale nikt nie mówi: „nie martwcie się, to tylko starzy ludzie, zresztą w złym stanie zdrowia”. Nikt tak nie mówi, bo nie polegamy na selekcji naturalnej.

Sam zresztą zawsze powtarzam, że nie chcę być żadnym cyborgiem. Chcę żyć w ciele, które jest wspomnieniem Afryki. Nie chcę zmian.

A czy jesteśmy zagrożeni? Mówi się, że zaczęło się szóste wymieranie.

To prawdziwy problem. Najpoważniejszy. Nie koronawirus. Każde pokolenie zużywa trzykrotnie więcej energii niż poprzednie. Musimy się pohamować. Nie możemy wciąż zużywać więcej energii, bo zasoby naturalne są ograniczone. Ale problemem nie jest sama natura, tylko to, że zaczniemy walczyć między sobą, gdy zabraknie zasobów, choćby wody. Większość wojen w historii była wojnami o zasoby, o wodę. Wirus jest problemem krótkoterminowym. Ale to, co dzieje się w środowisku, zmiany klimatyczne, to prawdziwy, długoterminowy problem. W Hiszpanii większość kraju w ciągu jednego pokolenia znalazła się w niebezpieczeństwie klimatycznym.

Jeśli jednak doprowadzimy do swojej zagłady, to ewolucja nas zastąpi?

Możliwe. Jak wspominałem, potrzebujesz czegoś podobnego do ssaka, o stałej temperaturze ciała, bo jeśli musisz hibernować przez zimę, to nie masz czasu na rozwijanie technologii. Potrzebujesz dłoni, widzenia trójwymiarowego, życia społecznego, więc wszystkie małpy byłyby dobrymi kandydatami na naszych następców. Naczelnie mają wszystkie niezbędne predyspozycje do tego, by kiedyś ewoluować w stronę złożonych społeczeństw. Nic nie jest pewne, ale miałyby szansę. To byłaby prawdziwa planeta małp.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Udane białko

PAWEŁ JEDYNAK, PIOTR GRABARZ

Rosnącym problemem dla środowiska są odpady keratynowe. Ale naukowcy starają się je zagospodarować.

WŁOSY, PIÓRA PTAKÓW CZY PAZNOKCIE i pazury zawdzięczają swoją moc keratynie – bardzo odpornemu białku, z którego składają się prawie w 90 proc. Białka są długimi niciami, zbudowanymi z reszt aminokwasowych. Keratynowe nici dodatkowo splatają się ze sobą w sznury. Takie struktury trudno rozzerwać: nie rozpuszczają się, nie nasiąkają w wodzie i, co najważniejsze, są mało podatne na rozkład. Cieszą się z tego archeolodzy, którzy mogą badać włosy liczących kilka tysięcy lat mumii. Martwią się za to ekolodzy.

ISTNIEJE NATURALNY MECHANIZM rozkładu keratyny – kilka znanych nam gatunków grzybów i bakterii produkuje specjalne enzymy (keratynazy), które potrafią nad-

trawiać i rozplatać długie nici keratyn, jednak zajmuje to sporo czasu. A ponieważ w ogromnym stopniu zwiększyliśmy ilość keratyny w przyrodzie, rozkładające ją mikroorganizmy przestają nadążać. Sama hodowla kurczaków przynosi rocznie 9 miliardów kilogramów piór do utylizacji (a to tylko jedno ze źródeł keratyny).

Takich odpadów nie można np. spalić. Pomijając niezbyt przyjemny zapach – wydzielające się wówczas gazy zawierają sporo tlenków azotu i siarki (składników smogu), a przy słabszym dostępie tlenu toksycznego amoniaku i siarkowodoru. Grecy już w 189 r. p.n.e. użyli naczyń z tłącymi się piórami do zagazowania tuneli wykopywanych przez oblegających Ambrację rzymskich żołnierzy. Miałoby pozostało niezdołane.

O wiele bezpieczniejszym rozwiązaniem jest kompostowanie. Ale i ta metoda jest kłopotliwa – całkowity rozkład piór zajmuje nawet do siedmiu lat. Naukowcy poszukują więc w różnych środowiskach mikroorganizmów o najwyższym potencjale rozkładania keratyny. Przodują bakterie *Bacillus subtilis*, które w kontrolowanych warunkach pożerają pióro w ciągu dwóch tygodni. Mikroorganizmy te służą do produkcji preparatów, którymi można np. zaszczerpić kompost, by przyspieszyć rozkład piór.

Jednak odpady można też wykorzystać. Trwają np. próby zastosowania piór do produkcji bioplastiku i papieru, w tym wodoodpornego. Poprzez wyrażanie w wysokich temperaturach z piór udaje się uzyskać także nanorurki węglowe oraz inne nanomateriały. A stosując pochodzące od bakterii enzymy do nadtrawiania keratyny z wełny, można uzyskać hydrolizaty, wykorzystywane jako dobrej jakości pasze dla zwierząt albo dodatki do kosmetyków, szczególnie tych związanych z pielęgnacją włosów. Rozplecione keratynowe nici znakomicie nadają się także do produkcji hydrożeli stosowanych w medycynie regeneracyjnej jako wypełniacze i rusztowania, na których ludzkie komórki mogą odtwarzać uszkodzenia tkanek.

Niestety, metody enzymatyczne są powolne, kosztowne i niezbyt wydajne – stulitrowy zbiornik z bakteriami jednoznaczowo przerabia zaledwie ok. kilograma piór lub wełny. Stąd najszybszą metodą jest podgrzanie masy piór poubojowych

do wysokiej temperatury i gwałtowne obniżenie ciśnienia, co powoduje rozerwanie keratyny i rozdrobnienie nawet bardzo dużych porcji materiału. Taką masę można wtórnie wykorzystać np. jako niskiej jakości paszę.

Rosnący problem odpadów mobilizuje biologów, którzy starają się udoskonalić rozkładające keratynę bakterie. Jedną z możliwości jest zwiększenie wydzielania keratynaz przez mikroorganizmy do otoczenia. Drugą – usprawnienie samego enzymu, którego działanie zależy od genów. Modyfikując cząsteczkę DNA możemy sprawić, by enzym sprawniej przekształcał keratynę.

ISTNIEJE NA TO KILKA SPOSOBÓW. Np. działanie światłem UV, które po trafieniu w DNA może je uszkadzać (dlatego promieniowanie UV jest rakotwórcze), prowadząc do losowych mutacji. Oczywiście szansa, że cząstka światła ultrafioletowego trafi akurat we fragment DNA kodujący keratynazę i w dodatku zmieni go w pożądaną dla nas sposób, jest niewielka. Mamy jednak do dyspozycji mnóstwo komórek bakterii. W przeciętnej kropli pobranej z hodowli może znajdować się ich około 5 miliardów. Inną metodą modyfikacji DNA jest bezpośrednie zsintetyzowanie genu kodującego keratynazę w sposób, który prowadzi do powstawania losowych błędów. Używa się w tym celu popularnej metody: łańcuchowej reakcji polimerazy (PCR). W tej technice enzym zwany polimerazą szuka genu (oznaczonego przez badacza starterami), a następnie kopiuje go setki razy, popełniając co jakiś czas błąd. Potem uzyskane fragmenty zmutowanego DNA wszczepiane są do nowych komórek bakterii, które następnie są wysiewane na specjalną pożywkę zawierającą keratynę. Po kilkudziesięciu godzinach wzrostu można ocenić zdolność bakterii do rozkładu keratyny, obserwując, gdzie najwydajniej zanikają drobiny tego materiału.

Badania trwają, a stawka jest wysoka – przetwarzanie keratyny w niskich temperaturach chroniłoby przed uszkodzeniem cenne aminokwasy, z których można np. produkować bardziej wartościowe pasze dla zwierząt. Pomógłby też przywrócić zaburzoną przez nas równowagę ekologiczną. ©

Autorzy pracują na Wydziale Biochemii, Biofizyki i Biotechnologii UJ.



Po każdym hodowanym kurczaku zostaje 200 gramów piór.

ADOBE STOCK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

xABO KSIĄDZ BONIECKI

xABO

W KINACH

SCENARIUSZ I REŻYSERIA ALEKSANDRA POTOCZEK
PRODUCENT ALEKSANDER KARDYS PRODUCENT WYKONAWCZY AGNIESZKA ISKRA
ZDJĘCIA ADAM PALENTA, SZYMON SINOFF WIEROŃNICTWO PRODUKCJI LIDIA BARANKIEWICZ
MONTAŻ MARCIN SUCHARSKI DZWIĘK TOMASZ KOCHAN MUZYKA HANIA RANI

PRODUKCJA:
FUNDACJA
IM. TADEUSZA
POWŚCIECZNEGO



SPONSOR GŁÓWNY:



SPONSORZY:



PARTNER:



DYSTRYBUCJA:

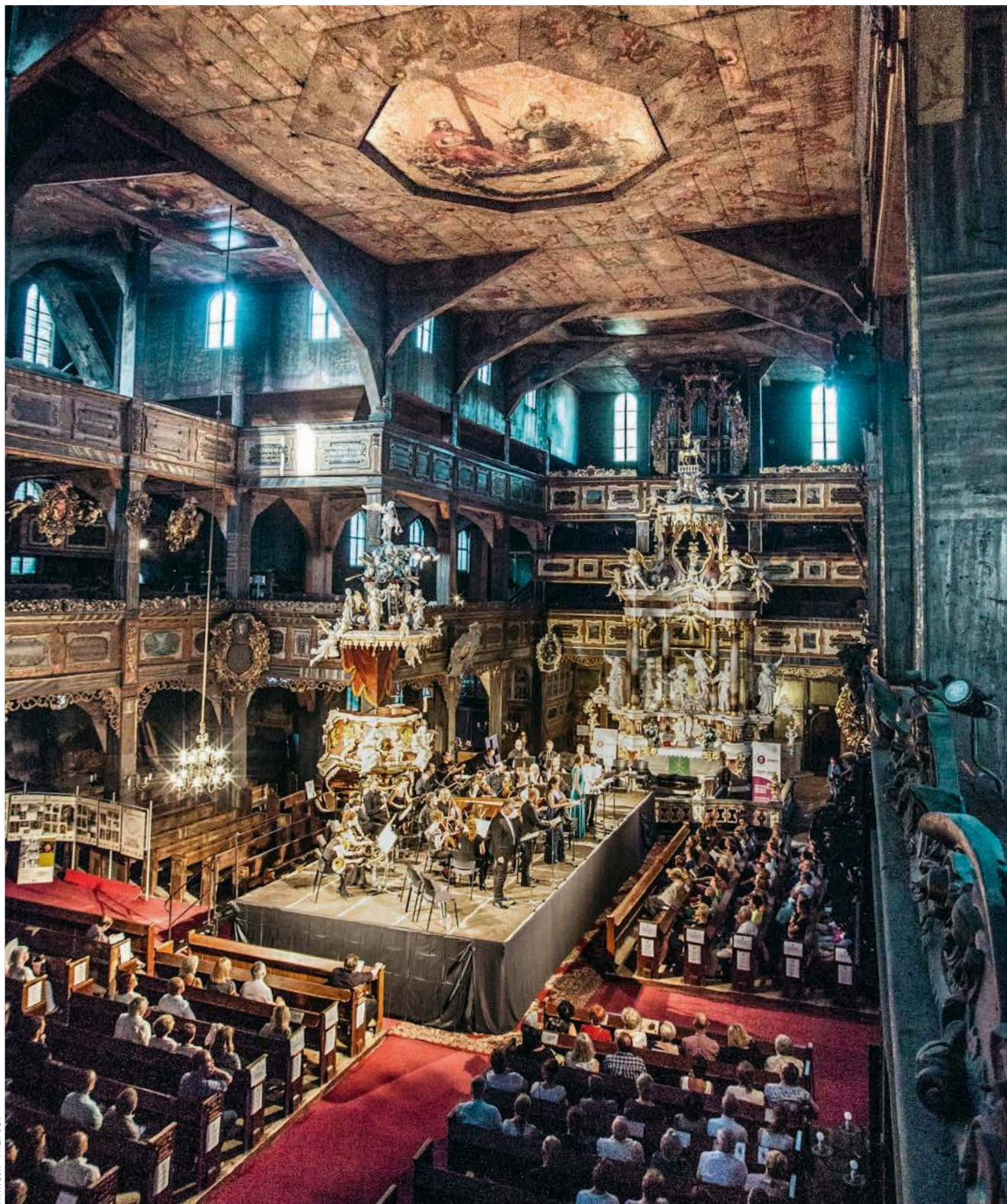


PATRONI MEDIALNI:



FOT. MACIEJ ZIEMNIEWICZ DLA TYGODNIKA POWŚCIECZNEGO

Włóczykij i Powsinoga



Zabrzmi mimo wszystko

JAKUB PUCHALSKI

Internetowe transmisje czasów pandemii sprawiły, że w naszym zasięgu znalazł się cały świat: najlepsze orkiestry, soliści, teatry operowe. Ale ileż można słuchać muzyki w marnej, komputerowej postaci?

Polska muzyczna, jak wiemy, nie sezonami artystycznymi, lecz festiwalami stoi. Wiosenne przepadły, ale największy wysyp imprez mamy latem, zazwyczaj w przepięknych zabytkowych miasteczkach. Wiele z nich musiało okroić swoje programy, czasem nawet radykalnie. Innym natomiast udało się przejść przez pandemię bez większych strat. Na dodatek znaczna część koncertów transmitowana jest przez internet – dla tych, którzy wolą tę formę (lub nie mogą inaczej).

Jesteśmy w połowie wakacji, więc za nami już pierwsza porcja letnich wydarzeń, m.in. Starosądecki Festiwal Muzyki Dawnej czy Festiwal Trzy-Czte-Ry. Prawdziwe eldorado jednak dopiero nas czeka – tradycyjnie najważniejszym miesiącem letnich festiwali jest sierpień.

Chopin w Dusznikach i Warszawie

Zacznijmy od tych najważniejszych. Festiwal Chopinowski w Dusznikach-Zdroju mimo trudnej sytuacji proponuje bardzo interesujący program. Wśród wykonawców znajdzie się Federico Colli, który mógłby wreszcie szerzej zaistnieć w Polsce. A także Arcadi Volodos, jeden z najsławniejszych współczesnych pianistów – z programem, którego miałem już okazję słuchać w grudniu w Budapeszcie. Składały się na niego dramatycznie kształtowane późne utwory Liszta oraz – co było punktem kulminacyjnym – romantyczno-kapryśny Schumann, rodem z Jean Paula i E.T.A. Hoffmanna. Festiwal zakończy twórca obdarzony wyjątkową muzyczną mądrością – Kevin Kenner.

By jednak posłuchać występów w normalnych warunkach, konieczne będzie nabycie karnetu na całość festiwalu: tylko ich posiadacze zostaną wpuszczeni do niewielkiej sali w Dworcu Chopina. Słuchacze z pojedynczymi biletami będą musieli zadowolić się miejscem przed telebimem w namiocie dostawionym przy wejściu. Ryzykowny pomysł – ale też pandemia wymusza nietypowe decyzje.

Skoro jesteśmy przy pianistce – przejdźmy do największej imprezy poświęconej tego typu muzyce w Polsce, jakim jest warszawski festiwal Chopin i jego Europa. Tutaj kuszają pianiści, których nie trzeba przedstawiać: Ivo Pogorelić,

Nikolai Lugansky czy Dmitri Alexeev. Będzie sławny Belcea Quartet, który zagra serię kwartetów Beethovena. Pojawi się mistrz fortepianowych barw Evgeni Bozhanov, przyjedzie też oczekiwana od paru lat gwiazda ostatniego Konkursu Chopinowskiego Kate Liu. Wystąpi jeden z najwybitniejszych współczesnych barytonów Matthias Goerne z Janem Lisieckim. Zabraknie niestety innych gości z Ameryki – ale na pocieszenie wiele koncertów będzie transmitowanych online.

Co przetrwa, co się zmieni

Lato jednak jak zawsze zdominowane jest przez muzykę dawną. W przypadku Festiwalu Bachowskiego w Świdnicy jedynie tytuł tegorocznej edycji – „Przegląd czasów przyszłych i warunkowych” – sugeruje sytuację pandemiczną. Przez lata impreza przyjęła kształt ciągłego strumienia koncertów ożywiających historyczne miasto przez cały sierpień – i tak też będzie w tym roku. Co więcej, zmieści się tu nawet Bachowska „Pasja wg św. Jana” oraz występ dzisiejszej megagwiazdy, czyli kontratenora Jakuba Józefa Orlińskiego z Capellą Cracoviensis.

Pomysł na całość wydaje się genialny w swojej prostocie: pomimo ograniczonych środków wykonawczych daje się słuchaczom najlepszą muzykę. Czyli kameralistyka albo recitale, a skoro trzeba wprowadzić limit uczestników pojedynczego koncertu, to dlaczego znakomici soliści nie mieliby wystąpić dwukrotnie? Nie dzień po dniu, ale z przerwą dwutygodniową, by dać szansę także tym, którzy odwiedzą Świdnicę w innym terminie. I dlaczego nie miałyby być to największe dzieła? Dwukrotnie zabrzmi m.in. cały zbiór „Das Wohltemperierte Klavier” Bacha! Dodajmy, że świdnicki festiwal uruchomił w tym roku nową filię: w bazylice w Strzegomiu, jednym z najpiękniejszych kościołów gotyckich w Polsce, zainaugurowany zostanie festiwal Strzegom A Cappella. Bohaterami będą chóry, a repertuar obejmie także muzykę najnowszą.

Jednak scenę muzyki dawnej kształtuje przede wszystkim kilka imprez, które od lat gromadzą wiernych i wymagających fanów. Wymienić trzeba dwa festiwale: Pieśń Naszych Korzeni w Jarosławiu i Muzyka w Raju w Paradyżu. Bardzo różne – oba jednak zbudowane na głębokiej wspólnotocie muzyków i słuchaczy. Oba też znacząco dotknięte skutkami epidemii.

Marzena Lubaszka z Capellą Cracoviensis prezentuje „Cosi fan tutte” W.A. Mozarta w Kościele Pokoju w Świdnicy podczas Festiwalu Bachowskiego 2017.



→ Ich organizatorzy wciąż każą czekać na informacje dotyczące tegorocznego programu. Wiemy już jednak, że w Jarosławiu odbędzie się tydzień spotkań i warsztatów, zestrojony jak zwykle z rytmem liturgicznym, oraz prawdopodobnie trzy koncerty (23-30 sierpnia). Inaczej sytuacja wygląda w Paradżu, gdzie istotą festiwalu jest nie tylko wspólne przeżywanie muzyki, ale i wspólne mieszkanie w klasztorze.

„Uznaliśmy, że nie możemy podjąć ryzyka realizacji Muzyki w Raju w naszej rezydencyjnej formule – stwierdził Cezary Zych, twórca festiwalu. – Dlatego proponujemy inny wariant: przygotowujemy nasze archiwalne materiały z lat poprzednich, które będziemy transmitować w internecie. Udostępnimy je także naszym sprawdzonym partnerom: instytucjom kultury na Ziemi Lubuskiej, w Wielkopolsce i na Dolnym Śląsku, które, przetestowawszy już funkcjonowanie w reżymie sanitarnym, będą prezentować je w formie publicznych wydarzeń”.

Okrojona Wratislavia i hołd dla Pendereckiego

Szczególnie mocno okrojono w tym roku jeden z największych festiwali w kraju – Wratislavię Cantans (odbywa się z początkiem września, ale trudno zaliczyć ją do wydarzeń jesiennych). Wielką imprezę ograniczono tym razem do pięciu koncertów w ciągu trzech dni – i to niemal wyłącznie w oparciu o własnych wykonawców. Oczywiście z powodzeniem można wracać do Chóru NFM, orkiestr Leopoldinum i Wrocławskiej Orkiestry Barokowej – bo jest do czego! Ale... z oczekiwanego święta pozostał Il Giardino Armonico ze swym dyrektorem (a zarazem dyrektorem festiwalu) Giovannim Antoninim oraz słusznie uwielbiana Julia Lezhneva, która zaśpiewa wybór włoskich arii.

Nie tylko koronawirusowe piętno naznaczyło festiwalowe programy. W marcu zmarł Krzysztof Penderecki – i różne imprezy składają hołd ostatniemu rozpoznawalnemu, a zarazem klasycznemu kompozytorowi z Polski. Wratislavia dedykuje mu koncert chórалny, jednak główny ciężar upamiętnienia mistrza spoczywa na Krakowie i Łusławicach.

Krakowski Festiwal Muzyki Polskiej w ciągu czterech dni postawi Pendereckiego obok Mikołaja Gomółki z jego „Melodiami na psalterz polski” i polskich romantyków, których zagra niemiecki pianista Tobiasz Koch. Pojawi się także opera w wersji koncertowej – będzie nią „Jadwiga, królowa polska” Karola Kurpińskiego. Postaci Pendereckiego i jego twórczości poświęcony będzie również festiwal Emanacje, odbywający się w Łusławicach i Krakowie. Nie oznacza to jednak monotematyczności: tytuł festiwalu brzmi „Artysta – dzieło – spotkania” i ten ostatni element będzie kluczowy, gdyż muzyka Pendereckiego spotka się tam z dziełami innych wybitnych kompozytorów.

Na ile to nowe oblicze polskich festiwali pozostanie ich trwałym rysem? Niejeden pomysł wydaje się ucieczką do przodu – a to może przynieść niemałe korzyści. Tak dzisiaj, jak w kolejnych latach.

© JAKUB PUCHALSKI

Od góry:

Capella Cracoviensis z Jakubem Józefem Orlińskim, Kraków, lipiec 2020 r.

Pianistka Kate Liu wystąpi na warszawskim festiwalu „Chopin i jego Europa”.

Pianista Kevin Kenner wystąpi na zakończenie festiwalu w Dusznikach-Zdroju.

Sopranistka Julia Lezhneva wystąpi na festiwalu Wratislavia Cantans.



MATERIAŁY PRASOWE / PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI W SOPOCIE X2



Widok wystawy „Bruno Schulz wśród artystów swoich czasów” w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie. Powyżej: Bruno Schulz „Scena fantastyczna”

Lato sztuki

MARTYNA NOWICKA

**Walka ciemności ze światłem,
katastrofa klimatyczna, monograficzne
wystawy polskich artystek
– tak można podsumować najciekawsze wystawy
prezentowane przez muzea tego lata.**

Wywrócić budynek na lewą stronę, wyjąć wzmocnienia, stal czy żelazo zmiąć jak kulkę z papieru. Poręcze? Przedłużyć, podnieść, zafundować dłoni szukającej podparcia wyboje, wzniesienia, aż wreszcie – uwolnić od funkcji, niech płyną ku abstrakcji. Chociaż prace **Moniki Sosnowskiej** od lat podbijają światowy rynek sztuki, w Polsce dawno nie pokazywano ich w większym wyborze (trzy lata temu można było podziwiać modele, ale nie pełnowymiarowe realizacje). Tym bardziej cieszy wakacyjna retrospektywa, którą od 24 lipca można zobaczyć w warszawskiej Zachęcie.

Sosnowska w swoich pracach rzeźbiarskich czerpie przede wszystkim ze świata architektury: za materiały służą jej zbrojenia (lub ich kopie) budynków, rury czy kształtowniki. Struktury zostają wyjęte z pierwotnego kontekstu, geometryczne formy – zniekształcone, a powstające w ten sposób rzeźby podważają podstawy architektury. Stal poddana ogromnym naprężeniom – rozciągnięta, powyginana – traci swoją funkcję.

Główną inspiracją dla artystki jest modernistyczna architektura socjalistyczna, ale na warszawskiej wystawie można zobaczyć również „Targowisko”, powstałe z wykorzystaniem elementów z rozebranych straganów Stadionu Dzieśięciolecia, czy prace nawiązujące do architektury z Bangladeszu. Miłośnicy efektownych realizacji Sosnowskiej mogą odwiedzić także Lublin, gdzie w galerii Labirynt wystawiono jej „Fasadę!”.

Tego lata warto zainteresować się pokazami prac artystek ważnych, choć mniej znanych: **Teresy Tyszkiewicz** i **Urszuli Broll**. Obie zmarły w tym roku, obie stanowią w polskiej sztuce zjawiska osobne. Korzystając z różnych mediów i estetyk, eksperymentowały z formami – czy to przeprowadzając badania nad duchowością, czy podejmując temat cielesności.

Muzeum Sztuki w Łodzi przypomina Teresę Tyszkiewicz wystawą „Dzień po dniu”, na której zebrano jej prace powstałe w ciągu ostatnich 40 lat. Jednym z ważniejszych motywów są tu... szpilki: wbijane w różne obiekty i materiały, stały się rozpoznawalnym znakiem intymnych performansów artystki.

Z kolei w warszawskiej Królikarni przypomniano Urszulę Broll – malarkę, ➔



„Słońce”, kwatery witrażowa z Biecha

→ członkinię katowickiej grupy Oneiron, zafascynowaną duchowością Wschodu. Od lat 80. praktykowała podejście, które sama nazwała „sztuka jako joga”, i coraz mniej była zainteresowana tworzeniem obiektów. Jej medytacyjne prace, czerpiące z tradycji buddyjskiej, zebrano na wystawie zatytułowanej „Atman znaczy Oddech”.

Jeśli wakacyjne wędrowki zaprowadzą Państwa w okolice Trójmiasta, warto odwiedzić Państwową Galerię Sztuki w Sopocie. Na wystawie **„Bruno Schulz wśród artystów swoich czasów”** pokazano prace autora „Xiegi bałwochwalczej” i twórców jemu współczesnych. Rysunki Schulza zestawiono z dziełami Ksawerego Dunikowskiego, Wojciecha Weissza czy Leona Wyczółkowskiego, odtworząc krajobraz artystyczny dwudzie-

DANIEL PODÓSEK / MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

stolecia międzywojennego. Zobaczyc też możemy freski Schulza z kolekcji Muzeum Ziemi Drohobyckiej. Dobrze się pospieszyć, bo wystawa potrwa tylko do 16 sierpnia.

Warto też odwiedzić Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, gdzie trwa wystawa **„Wiek półcienia. Sztuka w czasach planetarnej zmiany”**. Tytułowy „wiek półcienia” to termin pożyczony z książki Naomi Oreskes i Erika M. Conwaya, opisujący okres „anty-intelektualizmu, który (...) uniemożliwia podjęcie działań opartych na wiedzy naukowej”. Kuratorzy zapraszają nas więc w podróż po kuli ziemskiej, pokazując, jak sztuka współczesna reaguje na zachodzące na Ziemi zmiany.

Całość ekspozycji rozpięta jest między przełomem lat 60. i 70. a współczesnością – kluczowymi momentami dla zainteresowania sztuki ekologią. „Wiek półcienia” wyróżnia się jednak na tle innych wystaw poświęconych podobnej tematyce – celem jest tu nie tylko podsumowanie, w jaki sposób sztuka obrazuje katastrofę klimatyczną, ale również próba odpowiedzi na pytanie: co sztuka może w tej sytuacji zaoferować i jakim przemianom ulega, kiedy sięga po tematy ekologiczne? Czy posługuje się językiem nauki, czy raczej korzysta z tradycyjnych mediów? Nie ma tu jednoznacznych odpowiedzi, ale potraktowanie współczesnych praktyk artystycznych jako „znaków na niebie i na ziemi” otwiera nowe perspektywy.



„Stworzenie aniołów”, kwatery witrażowa z prezbiterium kościoła Mariackiego w Krakowie

DANIEL PODÓSEK / MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Wernisaż wystawy (podobnie jak wielu innych) został opóźniony przez pandemię, w tym czasie można ją było zobaczyć w sieci, a towarzyszące jej niezwykle obszerne materiały są dostępne bezpłatnie na stronie internetowej muzeum.

Krakowskie Muzeum Narodowe proponuje nam zupełnie inne spojrzenie na światło, przypominając, że w teologii późnego antyku i wczesnego średniowiecza symbolizowało ono boską obecność w świecie. Do promieni słonecznych, które wpadały do europejskich kościo-

REKLAMA

Projekt jest współfinansowany ze środków Miasta Krakowa

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka” realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca

16. FESTIWAL MUZYKI POLSKIEJ
FESTIVAL OF POLISH MUSIC POLSKIEJ

w programie m.in.:

Krzysztof Penderecki
Józef Kozłowski
Karol Kurpiński
Polscy romantycy –
Tempo di Polacca – Tempo di Mazourka

KRAKÓW
8-9.08.2020
www.fmp.org.pl

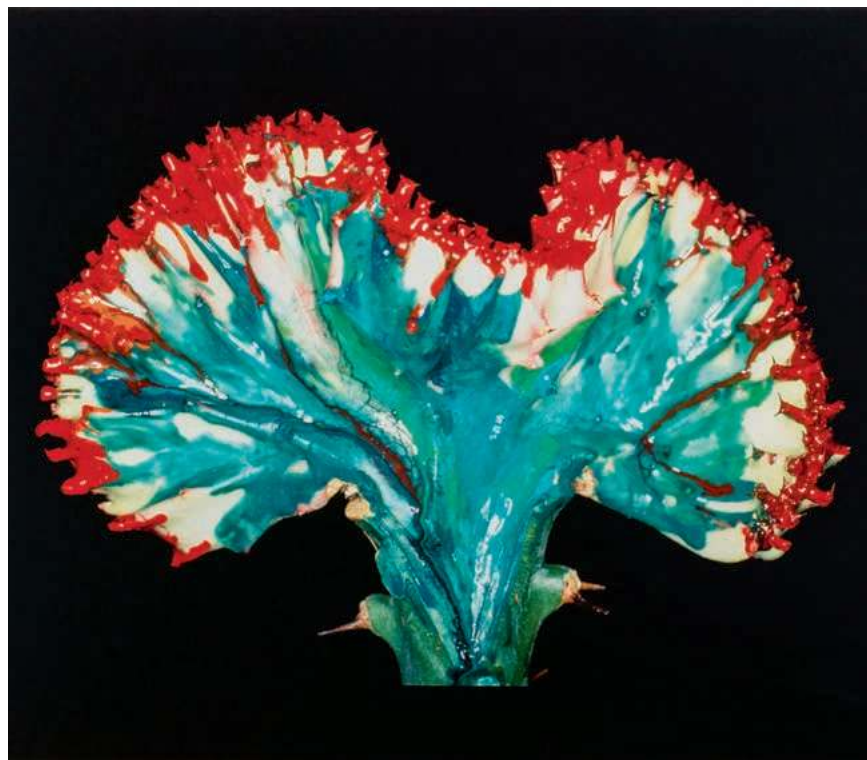
łów, przywiązywano szczególną wagę, a w okna wstawiano wielokolorowe witraże, przekazujące prawdy wiary, biblijne historie czy moralne wskazówki. Wystawa „Cud światła” przybliży współczesnym widzom najwybitniejsze osiągnięcia malarstwa witrażowego, stworzone na terenie Polski między XII a XVI wiekiem.

To jedna z nielicznych okazji, by sprawdzić, jak wyglądają witraże, które na co dzień są ukryte za ołtarzem Wita Stwosza w kościele Mariackim (według kuratorki wystawy następna taka okazja najwcześniej za pół wieku!), a przy okazji przekonać się, jak ta świątynia wyglądała w czasach Kazimierza Wielkiego. Podziwiać można detale, na które zazwyczaj spoglądamy z dołu, a także witraże niedostępne na co dzień – zdobiące okna w klasztorach czy będące częścią prywatnych kolekcji.

„Cud światła” to jednak nie tylko opowieść o sztuce łączenia kolorowych szyb, ale również o jej skomplikowanych dziejach. W epoce nowożytnej zainteresowanie witrażami znacząco spadło, zapewne dlatego tak niewiele z nich zachowało się do dziś. Na nowo odkrył je dla nas wiek XIX – warto prześledzić tę historię utkaną z kolorów i promieni słońca.

Pozostając w Krakowie i w obrębie metafory światła – warto wybrać się do Mangghi, gdzie prezentowana jest wystawa „Araki / Tsujimura. Na granicy cienia”. Śmiało połączenie współczesnej japońskiej ceramiki, której autorem jest Shirō Tsujimura, ze zdjęciami Nobuyoshiego Arakiego to propozycja zaskakująca i bardzo udana. Zdjęcia Arakiego – zarówno te przedstawiające ciała spętane przy pomocy liny, jak i kwiaty, zestawiono z celowo niedoskonałymi formami ceramicznymi, które mocno odstają od japońskich ideałów. Artystów łączy zainteresowanie chwilą i jej ulotnością, niebezpośrednie odniesienia do tradycji zen oraz skłonność do negocjowania kanonów własnych dyscyplin sztuki.

W Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej warto też zajrzeć na pozostałe wystawy – „Jak we śnie! Emil Orlik w Ja-



Ceramika Shirō Tsujimury

ponii” oraz „Japoński notes Andrzeja Wajdy”. Kontynuując tradycję prezentacji europejskich japonizmów, tym razem sięgnięto po cykl grafik stworzonych przez Emila Orlika w trakcie długiego pobytu w Japonii. Artysta, członek Secesji Wiedeńskiej, w 1901 roku pojechał tam, by poznać technikę barwnego drzeworytu. Jego prace nie są jednak prostym odwzorowaniem wschodniego stylu, wykorzystują bowiem współczesne Orlikowi secesyjne wzorce. Pokaz ten uzupełniają ekslibrisy inspirowane sztuką japońską. Prawdziwa uczta dla oka!

Na koniec wracamy do Warszawy, gdzie w muzeum POLIN otwarto wystawę czasową „Tu Muranów”, poświęconą historii dzielnicy. Opowieść o Muranowie, który swoją nazwę wziął od weneckiego Murano, gdzie urodził się Bellotti, architekt na dworach XVII-wiecznych polskich królów, łączy historie różnych społeczności i ich tragicznych losów. Możemy tu prześledzić dzieje tego wycinka Warszawy: od żydowskiej dziel-

nicy, której serce stanowiły handlowe Na-lewki, przez warszawskie getto z jego dramatyczną historią, aż do czasów powojennych, gdy w tym wyjątkowym miejscu postanowiono zbudować nowoczesne osiedle.

Wystawa, przygotowana przez Beatę Chomątowską, prof. Jacka Leociaka i Kamilę Radecką-Mikulicz, podejmuje tematy współistnienia w jednym miejscu kilku narracji, nie faworyzując żadnej z nich. To także autotematyczna opowieść samego muzeum. Dlaczego to właśnie tutaj stało POLIN? Jak Muranów wygląda dziś, jak mógłby wyglądać w przyszłości? Do uzupełnienia historycznej narracji zaproszono artystów – Jadwigę Sawicką, która przygotowała przestrzenny kolażowy mural, obrazujący nawarstwianie się różnych opowieści, oraz Artura Żmijewskiego i Zofię Waślicką-Żmijewską, badaczkę Zagłady, którzy uważnie przyjrzeni się odkryciom archeologicznym odkopanym w trakcie budowy muzeum.

© MARTYNA NOWICKA



WOJCIECH ROJEK

Pochmurno, ale z przejaśnieniami

MICHAŁ SOWIŃSKI

Nagroda Literacka Gdynia jest z nami już od 15 lat i odegrała kluczową rolę w kształtowaniu polskiej literatury. Dobrze, że powstała książka opisująca ten skomplikowany, a czasem i bolesny proces.

Gdyńska nagroda od samego początku wyraziście zarysowała priorytety, którymi kieruje się, wskazując najciekawsze dzieła wydane w danym roku. W każdej z kategorii – esej, poezja, proza i przekład na język polski – już same nominacje pokazywały twórców często nieoczywistych, spoza głównego literackiego i medialnego nurtu, nierzadko pomijanych przez kapituły innych nagród.

Pochwała oryginalności

Oczywiście nie sposób wskazać wspólnego mianownika dla tych kilkuset już pisarzy i pisarek, którzy znaleźli się w gdyńskiej orbicie. Jubileusz skłania jednak, by się pokusić o zarysowanie pewnych tropów, które zdążyły się wyklarować w ostatnich latach. Przede wszystkim byłaby to oryginalność – słowo nad-

używane i wyświechtane, które jednak w tym kontekście odzyskało właściwe znaczenie.

Literaturę docenianą przez jurorów gdyńskiej nagrody cechuje autentyczne, niezafałszowane doraźnością i koniunkturami poczucie niedosytu języków dla opisu naszego świata, a także jednostkowych i indywidualnych sposobów jego doświadczania. Stąd różnorakie poszukiwania – od eksperymentów formalnych, przez skrajną intensyfikację istniejących już środków, po kreowanie nowych idiomów językowych.

Te próby nie zawsze kończą się sukcesem, jednak nie w tym rzecz. W Gdyni docenia się przede wszystkim odwagę i rozmach wyobraźni, być może najważniejszą cnotę literatury, bez której popada ona w petryfikujący banał albo konwencjonalną nudę. Przegląd nominowanych we wszystkich kategoriach to co roku

doskonała okazja, żeby przyrzeć się najciekawszym propozycjom literackim, które – z powodu coraz szybszych cykli wydawniczych, podporządkowanych niemal wyłącznie logice marketingowej – potrafią umknąć uwadze nawet zawodowych czytelników (czyli tak zwanych krytyków).

Dobrze więc, że organizatorzy Nagrody wpadli na pomysł wydania niecodziennej książki jubileuszowej. W odróżnieniu bowiem od zwyczajowych publikacji tego typu, „Prognoza niepogody” nie jest albumem wspominkowym ani rocznicowym popisem retorycznym pozbawionym krytycznych pazurów. Redaktorzy książki, wykorzystując doświadczenie dziesiątek osób towarzyszących Nagrodzie od lat, zbudowali coś na kształt raportu o kondycji polskiej literatury – widzianej właśnie z tej gdyńskiej, nieco bocznej i osobnej perspektywy.

I choć zbiór to obszerny, a wiele tekstów wchodzących w jego skład ciąży ku syntezie tego czy innego wycinka pola literackiego, jednak z pewnością nie jest on systematycznym wykładem o tym, „jak jest” (czy też powinno być). Mocne tezy, które padają tu gęsto, należy rozumieć bardziej jako zachętę do dyskusji niż próbę zdominowania czy przejęcia dyskursu – co jest zawsze wartością dodaną w dzisiejszych czasach wojen kulturowych.

Literatura widziana z Gdyni

Jak zatem wygląda literatura widziana z Gdyni? Zdaniem Agaty Bielik-Robson, obecnej przewodniczącej Kapituły, czuje się ona świetnie „w konwencji liryczno-sylwicznej, gdzie na plan pierwszy wysuwa się autorski podmiot”. Bardziej problematyczna okazuje się proza skupiona na fikcji i snuciu opowieści – problem sygnalizowany w polskiej kulturze od przeszło stulecia, a Nobel dla Tokarczuk jest tu raczej wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Deficyt snutych z rozmachem opowieści filozofka tłumaczy zmiennością i płynnością współczesnego świata, do którego przestały pasować długie, rozbudowane formy, wymagające uważności i cierpliwości. Albo też narzędzia, którymi proza fabularna wwierca się pod skórę świata, stały się zbyt anachroniczne, aby na czas reagować na coraz dynamiczniejsze zmiany. Hipoteza frapująca, acz kontrowersyjna – wymagająca zapewne rozwinięcia.

Niemniej wiele głosów dotyczących polskiej prozy wskazuje na swoiste przesilenie.

„Z sieci wyjmujemy świeże szprotki i śledzie, ale czytająca publiczność ma apetyt na grubą rybę” – Eliza Kącka, jurorka Nagrody, w tekście o znamienym podtytule „Grube ryby odpłynęły” sięga po marynistyczną metaforę. To ciekawa obserwacja, zwłaszcza jeżeli przełożymy ją na twarde dane o nagradzanych książkach prozatorskich. Pięć pierwszych kostek-statuetek w tej kategorii otrzymały „pełnokrwiste” powieści, potem prym zaczęły wiesć formy mniejsze, bardziej kameralne, w których epicki rozmach ustępuje raczej językowej inwencji i ekspresji autorskiego „ja”. Ocena tego trendu zależy oczywiście od przyjętych wcześniej założeń na temat istoty czy też roli literatury, niemniej za samą możliwość jego obserwacji powinniśmy być Nagrodzie wdzięczni.

Z kolei co do eseju – rzadko docenianej w innych nagrodach formy literackiej – panuje powszechna zgoda: ma się świetnie. Być może dlatego, że tego gatunku nie da się zdefiniować nawet w sporym przybliżeniu. I bardzo dobrze – w ten sposób powstaje wyjątkowa przestrzeń literacko-filozoficzno-reporterskiej komunikacji, w której swoje miejsce mogą znaleźć rzeczy zbyt osobne, aby zaistnieć gdzie indziej.

Amorficzność i hybrydowość to dla wielu autorów możliwość swobodnego uchwycenia rzeczywistości. Dochodzi tu więc do ciekawego odwrócenia, na które również zwraca uwagę Bielik-Robson – w tym zestawieniu to proza okazuje się wylatującą o zmierzchu (o ile nie jeszcze później) sową Minierwy, a eseistyka, klasycznie rozumiana jako medium refleksji i namysłu, pełni funkcję sił pierwszego reagowania, próbujących uchwycić (oczywiście z różnym efektem) rzeczywistość *in statu nascendi*.

Okna i laboratorium

Przekład na język polski – kategoria dołączona w roku 2014 – również nie budzi kontrowersji. Gdyńska nagroda ma swój znaczący wkład w ze wszech miar chwalne zjawisko (obserwowane już od paru ładnych lat) przywracania tłumaczom ich należnego miejsca w przestrzeni literatury. Jak słusznie zauważa Magda Heydel, bez tłumaczy – ludzi, którzy otwierają nam okna na niezliczone literackie światy – skazani byłibyśmy wyłącznie na zaduch swojskości. Dziś trudno sobie wyobrazić pominięcie nazwiska autora przekładu na stronie tytułowej, a coraz częściej trafia ono na okładkę książki.

Piszący o tej właśnie dyscyplinie wskazują na dwa równoległe trendy. Wśród laureatów pojawiają się – co oczywiste – autorzy brawurowych przekładów książek współczesnych (lub tych nadrabiających istotne zaległości), ale również, co już mniej oczywiste, tłumacze, którzy po-

rywają się na trudne i niewdzięczne zadanie ponownej translacji dzieł klasycznych, obecnych w naszej literaturze od dekad, jeśli nie stuleci. Ten drugi przypadek jest szczególnie interesujący, gdyż z całą mocą pokazuje znaczenie przekładu dla naszego obcowania z tekstem. Doprecyzowanie, odświeżanie, wprowadzanie nowych kontekstów – to ciężka i zbyt rzadko doceniana robota, która pobudza nasz literacki krwiobieg.

Na koniec poezja – zjawisko niszowe w obrębie literatury, bez której jednak trudno wyobrazić sobie jakiejkolwiek szersze spojrzenie na przestrzeń językowej twórczości. Zapewne dlatego, że poezja, mimo że znacząco odsunęła się od pierwszej linii sporów politycznych, ideologicznych czy społecznych (choć zapewne wielu poetów i poetek się z tym nie zgodzi), to jednak wciąż pozostaje ważnym laboratorium, gdzie powstaje językowy grunt naszych prywatnych i publicznych światów. Nic więc dziwnego, że to właśnie wokół poezji toczono są najbardziej zażarte i fundamentalne spory.

Dzisiejsza poezja, pisze Piotr Śliwiński, przypomina stan hiperwentylacji, „nadmiaru oddechu, ataku bódców, prowadzącego do duszności i parestezji, czyli rozmaitych zaburzeń odczuwania”, co idealnie streszcza sens poezji docenianej przez gdyńskie jury. To najczulszy ze zmysłów literatury, boleśnie nadwrażliwa tkanka, która wciąż upewnia nas, że my – czytelnicy, pisarze, tłumacze i krytycy – wciąż, tu i teraz, pozostajemy wśród żywych. ©



PROGNOZA NIEPOGODY. LITERATURA POLSKA W XXI WIEKU

red. Maciej Jakubowiak,
Szymon Kłoska.
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2020

NAGRODA LITERACKA GDYNIA zostanie wręczona podczas gali finałowej **28 SIERPNIA**.

Nagrodzie towarzyszy **FESTIWAL MIASTO SŁOWA** (24-30 sierpnia).

Program imprezy i inne informacje na stronie

nagrodaliterackagdynia.pl



MECENAS
NAGRODY LITERACKIEJ
GDYNIA

NAGRODA
LITERACKA
GDYNIA



BARTOSZ BAŃKA / INSTYTUT KULTURY MIEJSKIEJ GDAŃSK

Gdańsk bocznymi ulicami

MARTA BAŃKA

Wyczekane wakacje w Trójmieście? Plaża może się znudzić, a i pogoda bywa kapryśna. Wtedy warto pójść na spacer po nieoczywistych miejscach Gdańska.



Dolne Miasto. Bastiony i Optyw Motławy

Alternatywne spacerory

z Lokalnymi Przewodnikami i Przewodniczkami po Zaspie, Biskupiej Górze, Dolnym Mieście, Nowym Porcie, Oruni, Oliwie i Wyspie Sobieszewskiej odbywają się do połowy września, z zachowaniem reżimu sanitarnego.

Są bezpłatne, obowiązują zapisy na stronie www.ikm.gda.pl/zapisy lub telefonicznie: **664 976 052**



GDAŃSK

instytut
kultury
miejskiej

Nazywam się Katarzyna Werner i jestem Lokalną Przewodniczką po Nowym Porcie. Mieszkam tu od urodzenia i pokażę dziś Państwu dzielnicę oczami mieszkańców”.

Nowy Port to dzielnica Gdańska, w której zachował się XIX-wieczny układ ulic, stoi zabytkowa latarnia morska, a nad całością góruje Falowiec, najdłuższy blok mieszkalny w Polsce. Tak jak Katarzyna Werner, witają kilka razy w tygodniu zwiedzających przewodnicy i przewodniczki po innych gdańskich dzielnicach – Zaspie, Biskupiej Górze, Dolnym Mieście, Oruni, Oliwie i Wyspie Sobieszewskiej.

Pomysłodawczynią i koordynatorką projektu jest Barbara Sroka z Instytutu Kultury Miejskiej. Schemat działania wygląda tak: podczas spacerów odkrywamy miejsca, w które nie trafilibyśmy sami. Chodzimy po ścieżkach, zaułkach i uliczkach na pierwszy rzut oka niewartych uwagi. Słuchamy o wydarzeniach i wspomnieniach ważnych dla lokalnej społeczności. Wchodzimy miastu pod skórę.

GDAŃSKI GENIUS LOCI utrwalony został w prozie Güntera Grassa, Stefana Chwina, Pawła Huellego. Czuć w niej głębokie zakorzenienie w przeszłości i szacunek dla rzeczy oraz miejsc pozostawionych przez poprzednich mieszkańców. Ci nowi przyjechali tu z Lwowa, Wilna, zza Buga, z mniejszych miejscowości z całej Polski. Za pracą, za miejscem do życia. Przysposobili przedmioty, które znaleźli, mieszkania, w których zaczęli żyć i zakładać rodziny, dawne pola i łąki zmienili w nowoczesne osiedla z wielkiej płyty.

– Proszę zwrócić uwagę na nazwę „Danziger Tabak Monopol” – mówi Jacek Górski, Opowiadacz Historii Dolnego Miasta w Gdańsku. Pokazuje klaser z wyciętymi opakowaniami po papierosach, produkowanymi tu, na Dolnym Mieście. To niejedyna fabryka funkcjonująca w Gdańsku w XIX i XX wieku. Były tu też Królewska Fabryka Karabinów, zakłady futrzarskie, montownia amerykańskich samochodów i drobniejsze przedsiębiorstwa. W latach 70. minionego wieku w charakterystycznym budynku o zaokrąglonej fasadzie mieścił się Peweks. Dzieci mogły zdobyć tu skarby, takie jak guma Donald, która również znajduje się w podręcznym zbiorze przewodnika.

Pierwsi lokatorzy już tu mieszkali, a pod ich oknami wciąż startowały i lądowały samoloty. Nie było takiej drugiej dzielnicy w Polsce. Osiedle Zaspą-Młyniec do dzisiaj podzielone jest na pół płytą dawnego lotniska Gdańsk-Wrzeszcz. Działo aż do 1974 roku, kiedy port lotniczy przeniesiono do Rębiechowa.

ALTERNATYWNE ZWIEDZANIE GDAŃSKA rozpoczęło się właśnie od Zaspy. Instytut Kultury Miejskiej od 2016 roku organizuje tu festiwal Monumental Art oraz edukacyjny projekt Gdańska Szkoła Muralu, dzięki którym powstała prawdopodobnie największa w Europie zintegrowana galeria murali. 60 wielkoformatowych dzieł zdobi dziś szczytowe ściany kilku- i kilkunastopiętrowych bloków. Po Zaspie Lokalni Przewodnicy i Przewodniczki oprowadzają od 2011 roku.



BARTOSZ BAŃKA / INSTYTUT KULTURY MIEJSKIEJ GDAŃSK

Dolne Miasto, ul. Ułańska 11

→ Z Głównego Miasta, tego z Neptunem i Długim Tarciem, można w kilka kroków – trzy przejścia dla pieszych, tunel i wiadukt – dostać się do Biskupiej Górki. Od samego początku wyczuwamy różnorodność dzielnicy: budynki są ceglane, ale na jednym z nich jest mural z Martinem Lutherem Kingiem, a drugi zdobi napis „Shine on you crazy diamond”. Spacer z przewodnikiem lub przewodniczką zaczniemy przy dawnym kościele mennonickim z początku XIX wieku – mennonici byli osadnikami z Niderlandów, którym Żuławy zawdzięczają system kanałów nawadniających i domy szachulcowe.

WYSTARCZY KILKA KROKÓW, żeby natknąć się na pierwsze poniemieckie napisy: „Milch Verkaufsstelle”, „Seifen” czy „Restaurant zum Schwarzen Meer”, czyli Restauracja nad Morzem Czarnym. Warto wspiąć się na szczyt Biskupiej Górki, liczący 60,8 metra wysokości, gdzie stoi dawne Schronisko Młodzieżowe im. Pawła Beneke. Można tam spotkać Neptuna, tyle że tym razem zdobi on ścianę budynku, w którym obecnie znajduje się Laboratorium Kryminalistyczne Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku. Nie można wejść do środka, choć wieża, z odnowionym dzięki zbiorce lokalnej społeczności zegarem, kusi. Rozciąga się za to stamtąd przepiękna, często uwieczniana na pocztówkach panorama Gdańska.

WYBIERZMY SIĘ NIECO DALEJ od centrum, do Oliwy. To kraina uroczysk. Jedno z nich, zwane Doliną Elfów, można odkryć

skręcając z ulicy Polanki, za V Liceum Ogólnokształcącym (o historii pozyskania w 1945 roku dla szkoły służącego do dziś fortepianu Grotrian-Steinweg opowiada jeden z Lokalnych Przewodników – Krzysztof Rzeźniowiecki), w pełne interesujących kamienic ulice Podhalańską i Leśną. Docho- dząc do skraju lasu, wspinamy się po drewnianych schod- kach w górę i po chwili jesteśmy nad leśnym oczkiem wod- nym. Elfental lub Elfengrund – taką nazwę nadano temu miejscu na przełomie XIX i XX wieku. W okolicy są też Dróżka Filozofów oraz Wzgórze Trzech Panów. Obok znaj- dują się budynki Dworu I oraz II, zamiejskich rezydencji dawnych gdańszczan. Chociaż stare ogrody są dziś zapusz- czone, wciąż można znaleźć ślady ich świetności: prześwity alei, staw, pawilon ogrodowy. Opowiada o nich Michał Ślubowski, Lokalny Przewodnik po Oliwie i autor bloga Gedanarium.

POMYŚL NA OPOWIADANIE – o dawnej i bliższej historii, o architekturze, o lokalnych wydarzeniach – przyjął się, dla- tego tworzymy kolejne trasy alternatywnych spacerów po różnych dzielnicach Gdańska. Trasa najnowsza, o którą dopominali się sami mieszkańcy, wiedzie przez Wyspę Sobieszewską i została zainaugurowana w 2019 roku. Ważny jest tu element osobistej narracji – każdy przewod- nik to autorska opowieść. Czasem podczas takiego spa- ceru zatrzymują się przypadkowi przechodnie i dorzucają własne historie.

© MARTA BAŃKA



KSIĘGARNIE ODPORNE

www.miastoliteratury.pl



Księgarnie Odporne

Ekonomiczne skutki wiosennych restrykcji związanych z epidemią były dotkliwe dla każdego przedsiębiorcy, szczególnie w sektorach, które już wcześniej znajdowały się w kryzysie. Mimo starań różnych agend i instytucji rynek książki oraz stacjonarne księgarstwo to jedno z najbardziej zaniedbanych i najmniej uregulowanych branż w Polsce.

Niezależne księgarnie pełnią kluczową dla czytelnictwa funkcję. To tam, w kameralnej atmosferze, między ciasno zapelnionymi regałami, wybieramy książki, które zostają z nami na długo. W nich mamy dostęp do pełnej

oferty wydawniczej, w tym do tytułów ambitnych, wydawanych nie tylko z myślą o zysku. Takie księgarnie to także aktywne centra kultury, organizujące warsztaty, spotkania autorskie, kluby książki, wystawy i koncerty.

Pandemia koronawirusa doprowadziła wiele z nich na skraj bankructwa – spadki obrotów o 98 proc., odcięcie od odbiorców i bezkonkurencyjne rabaty udzielane przez wielkie sklepy internetowe sprawiły, że środowiska związane z rynkiem książki zaczęły bić na alarm. Jako jeden z pierwszych zareagował Kraków – od 2013 r. Miasto Literatury UNESCO.

Stolica Małopolski od lat realizuje jedyny w skali kraju program promocji czytelnictwa

– wsparcie dla twórców i lokalnego rynku książki, w tym niezależnego księgarstwa. Funkcjonuje system ulg czynszowych w lokalach miejskich, specjalny budżet zasila przez cały rok wydarzenia kulturalne w księgarniach, organizowany jest doroczny plebiscyt na najlepsze księgarnie i szereg innych akcji.

Na początku pandemii Miasto Kraków przeznaczyło 100 tys. zł na bezpośrednie wsparcie finansowe dla księgarni. W ramach miejskiej strategii „Kultura Odporna” Krakowskie Biuro Festiwalowe zrealizowało program „Księgarnie Odporne”, w którym wzięły udział 22 krakowskie księgarnie i antykwariaty. Jednym z efektów programu były publikowane na Facebooku wideorecenzje, w których krakowscy księgarze i księgarki polecali swoje ulubione książki, a także bardziej tradycyjne recenzje, zamieszczane w kolejnych numerach informatora kulturalnego „Karnet”. Ich autorzy i autorki dali się w nich poznać nie tylko jako kompetentni sprzedawcy, ale przede wszystkim pasjonaci i przewodnicy po świecie literatury – krytycy literaccy, którzy swoją wiedzę wcielają na co dzień w praktyce.

BO KSIĘGARNIE TO WIĘCEJ NIŻ SKLEPY, TO CENTRA KULTURY!

Księgarnie Odporne:

- Antykwariat PiBook
- Antykwariat Abecadło
- Antykwariat SK
- Bonobo Księgarnia Kawiarnia Podróżnicza
- De Revolutionibus Books & Café
- Fankomiks Księgarnia Hobbistyczna

- Główna Księgarnia Naukowa
- Książkoteka
- Księgarnia Akademicka
- Księgarnia CUD
- Księgarnia Jedyńka
- Księgarnia Karakter
- Księgarnia Muza II
- Księgarnia Pod Globusem

- Księgarnia Kurant
- Lokator Kawa & Książki
- Massolit Books
- Spółdzielnia Ogniwo
- Szafa Pełna Książek
- Księgarnia Skrzat (ul. Prądnicka 77)
- Księgarnia Skrzat (os. Niepodległości 3)
- Café NOWA Księgarnia

WIOSENNY LOCKDOWN JUŻ ZA NAMI, A DO KRAKOWSKICH KSIĘGARNI MOŻNA PONOWNIE ZAGLĄDAĆ. ZAPRASZAMY!

Organizatorami programu „Księgarnie Odporne” były Miasto Kraków i Krakowskie Biuro Festiwalowe. Wszystkie wideorecenzje powstałe w ramach programu można obejrzeć na profilu Kraków Miasto Literatury UNESCO na Facebooku.



Przed pandemią. Festiwal Conrada 2018 w Księgarni Pod Globusem.

KULTURA

WRÓŻBA JAGUARA

MAREK KAMIŃSKI, PODRÓŻNIK:

Najdalszym biegunem Ziemi jest dla mnie Japonia.
Jeśli jesteś cudzoziemcem,
nigdy nie będziesz swój.
A polską Japonią są Kaszuby.



KATARZYNA KUBISIOWSKA: Pandemia to był dla Ciebie punkt zwrotny?

MAREK KAMIŃSKI: Pokrzyżowała mi plany: miałem jechać dookoła świata samochodem elektrycznym z humanoidalnym robotem NOA.

Dlaczego z robotem?

Hiroshi Ishiguro, szef Laboratorium Inteligentnej Robotyki w Osace, z wykształcenia filozof, napisał, że próba skonstruowania robota jest próbą zrozumienia człowieka.

A Ty co myślisz?

To samo. We wszystkich moich działaniach – czy zdobywałem bieguny Ziemi, czy podróżowałem po Ameryce Południowej – kluczowa była próba zrozumienia człowieka. Oraz szukanie odpowiedzi na pytanie: dlaczego jedni potrafią przezwyciężyć strach, a inni się boją. Dlaczego jeden ma energię, by podejmować wyzwania, a inny nie ma siły, by wstać z łóżka? Niby coś na ten temat wiemy: bo ten miał taką przeszłość, a tamten inną. Naprawdę tajemnica tkwi dużo głębiej.

Gdzie?

Pamiętasz legendę o Golemie? W XVI w. w Pradze stworzył go rabin, który napisał na jego czole „Emet”, co w hebrajskim oznacza „prawda”. A potem, by Golema unieszkodliwić, zmasał pierwszą literę – w ten sposób powstało słowo „Met”, czyli „śmierć”. Dla mnie historia Golema jest próbą pokazania, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, a jednocześnie chce stworzyć siebie samego.

W każdym razie NOA to nie jest zabawka, którą teraz będę się bawił, nie jestem zresztą jakimś szczególnym fanem technologii. W tym projekcie chodzi też o to, by wyprawa realnie wpłynęła na redukcję emisji CO₂.

No, ale nie pojechałeś w tę podróż.

W tym czasie zrobiłem coś innego: napisałem książkę „Power4change” – podsumowanie doświadczeń, które dotąd zgromadziłem, pokazującą, jak przekraczać granice swoich możliwości.

I naprawdę wierzysz, że każdy może przekroczyć granicę swoich możliwości?

Tak.

Brzmi jak bajka.

Realna bajka. Wierzę, że każdy może, ale nie każdy chce, musi czy potrzebuje.

No dobrze, a ten pierwszy punkt zwrotny w Twoim życiu?

Ten, którego nie pamiętam, czyli dzień moich narodzin.

Twoja mama o nim opowiadała?

Urodziłem się 24 marca nad ranem. Mama była w potężnym stresie, ponieważ moja starsza siostra umarła kilka dni po porodzie.

Mama opowiadała, jakim byłeś dzieckiem?

Ciekawskim: zadawałem dużo pytań i chciałem sprawdzić, co jest za rogiem. Kiedyś razem z kuzynem uciekliśmy wujkowi, który nas prowadził z przedszkola do domu: rozbiegliśmy się w różnych kierunkach. Wujek nie wiedział za kim gończyć, więc nie gonił nikogo. A my spotkaliśmy się w miejscu wcześniej ustalonym i mieliśmy trochę czasu, by eksplorować park położony nieopodal przedszkola.

To był Twój pomysł?

Mój. Nie byłem dzieckiem, które poruszało się po koleinach wyznaczonych przez dorosłych.

A drugi punkt zwrotny?

Złamanie ręki w pięciu miejscach. Miałem pięć lat, byłem u cioci pod Łodzią i wylądowałem w tamtejszym szpitalu. Spędziłem w nim blisko pół roku. Rękę parę razy mi łamano i z powrotem składano, bo nie chciała się zrosnąć. Istniała możliwość zakażenia i amputacji. Długo musiałem sobie radzić bez rodziców.

Pamiętam z tego okresu, jak dzieci mnie straszą, że mama i tata już do mnie nie wrócą i nigdy ich nie zobaczę. I jeszcze pamiętam, że nocą, w sali szpitalnej, stoję przy oknie i patrzę na migoczące w dole światła Łodzi.

Samotność w czystej postaci.



→ By to wszystko przetrwać, musiałem nauczyć się liczyć wyłącznie na siebie. Stąd we mnie umiejętność radzenia sobie w krytycznych sytuacjach. Np. wtedy, kiedy byłem sam na Oceanie Arktycznym. Ta sytuacja mnie nie paraliżowała, traktowałem ją w kategoriach zadania, które musiałem wykonać w innych okolicznościach niż zazwyczaj.

Sądzę, że doświadczenia z dzieciństwa kształtują nasze zachowania, charakter, schematy postępowania. Dlatego punkty zwrotne im wcześniej się zdarzają, tym mają większy wpływ na nasze życie.

Gdy przygotowywałeś się do wyprawy z Jankiem Melą, nastolatkiem, pierwszym niepełnosprawnym, który w roku 2004 zdobył biegun północny i południowy, przypomniałeś sobie, że jako chłopiec sam mogłeś stracić rękę.

Wspomnienie pobytów w sanatorium wróciło, gdy z Jankiem pojechalśmy do Ciechocinka. To naturalny mechanizm: traumy się w nas ukrywają, bo inaczej trudno byłoby nam żyć.

A trzeci punkt zwrotny?

Jako piętnastolatek sam, bez rodziców, popłynąłem w rejs do Afryki. Przeżyłem sztorm w Zatoce Biskajskiej. Był rok 1979 – wtedy odbyły się najtragiczniejsze regaty w historii Wielkiej Brytanii, zatonięło wiele ludzi i jachtów. Wszystko działało się niedaleko nas – z kabiny radio-oficera śledziłem akcję ratowniczą. Nabrałem wtedy pokory wobec natury.

Jak to możliwe, że nastolatek sam płynię do Afryki?

Byłem u wujka w Szczecinie, zobaczyłem ogłoszenie o rejsie i pomyślałem: dlaczego miałbym nie popłynąć?

A co na to rodzice?

Nie wierzyli, że to możliwe, i tylko dlatego wyrazili zgodę. Krok po kroku udało mi się pokonać wszystkie trudności i zakrętowałem się na statek.

Zaraz, a te trudności?

Największym wyzwaniem był paszport. By go dostać, trzeba było mieć wyrobiony tymczasowy dowód osobisty. W urzędzie miejskim nikt nie słyszał o takim dokumencie – więc co obciąłem jedną głowę smokowi, wyrastało siedem innych. Dla piętnastolatka abstrakcją jest

zgoda notarialna rodziców na to, że może popłynąć sam.

Musiałem też zarobić pieniądze – pracowałem na stacji benzynowej, zbierałem truskawki i maliny. Na paszport czekało się dwa miesiące – to mnie nauczyło cierpliwości. I planowania. A marynarze dali mi sterować statkiem po ogromnych wodach Oceanu Atlantyckiego.

Jakie to uczucie?

Że wszystko jest możliwe, tylko trzeba chcieć i starać się.

Tylko?

I mieć odwagę zapytać. Tak jak ja: zapytałem, czy mogę posterować statkiem. Dla sternika to było odciążenie, chętnie podzielił się swoją pracą z kimś młodszym. Ten rejs to były noce spędzone w maszynowni statku i na mostku z marynarzami.

Kogo najbardziej zapamiętałeś?

Córkę drugiego oficera, bo się w niej zakochałem. Zapamiętałem też kapitana, który mówił, że nie warto być marynarzem, lepiej zostać dziennikarzem albo pisarzem, bo w ten sposób lepiej pozna się świat. Z kolei drugi oficer marzył o tym, by objechać świat kamperem volkswagenem – zresztą w tym tkwią korzenie mojego pomysłu podróży samochodem elektrycznym do Japonii. Był jeszcze marynarz, który mówił, że najlepszymi kobietami na świecie są Indianki – w jednej zakochał się w trakcie rejsu do Stanów. To też mi zostało w tyle głowy, że Indianki są niesamowicie wrażliwymi kobietami.

Są?

Kasia...

Pytam, bo podróżowałaś po Ameryce Południowej.

Nie mam takiego doświadczenia jak ten marynarz. Ale potrafię zrozumieć, że ludzie z innych kultur szukają osób do siebie niepodobnych. Dla mnie Japonia jest najdalszym biegunem Ziemi – tam wszystko jest zupełnie inne, szczególnie relacje międzyludzkie. Niektórzy Japonię kochają, inni, po jednej podróży, mówią, że nigdy więcej tam nie wrócą.

Ty wracasz.

Na stałe bym tam raczej nie mógł mieszkać – choć znam wielu Polaków,

którzy tam osiedli, więc muszą darzyć Japonię głębokim uczuciem. Ale jeśli jesteś cudzoziemcem, w Japonii nigdy nie będziesz swój. Identycznie jest na Kaszubach: gdy nie jesteś Kaszubem, nigdy nie będziesz stamtąd, choćbyś nie wiem ile lat tam mieszkał. Polską Japonią są Kaszuby. Istnieją ludzie, którzy żywią przekonanie, że gdy świetnie nauczą się języka i zamieszkają w Japonii, to wtopią się w nową rzeczywistość. A dla Japończyków im lepiej cudzoziemiec mówi po japońsku, tym bardziej jest podejrzany.

A te relacje?

Japończycy są dla siebie bardzo grzeczni. Może to nie do końca szczerze, ale wzajemna życzliwość jest tam wyjątkowa. Kiedy na stacji metra pytałem kogoś o miejsce, którego szukałem, to ta osoba cierpliwie tłumaczyła, którą mam iść, a nawet mnie tam prowadziła. Gdy po kilkumiesięcznym pobycie w Japonii wysiadłem na lotnisku w Monachium, przeżyłem szok: w Europie ludzie nie zwracają na siebie uwagi. W Japonii ta wyostzona uważność częściowo wynika z buddyzmu – nikt nie zlekceważył tego, że jesteś w potrzebie.

A kolejny punkt zwrotny?

Kiedy jako dwudziestolatek znalazłem się w Meksyku. Jeśli rejs do Afryki był otwarciem na świat, to do Meksyku – na cały kosmos. Zobaczyłem, że świat jest jednym z wariantów istnienia we wszechświecie. Zetknąłem się z kulturą Azteków i Majów, spałem w piramidach, podziwiałem sztukę Fridy Kahlo i Diega Riverę.

Meksyk przejechałem od granic Gwatemali do Tijuany.

Kwintesencją Meksyku było spotkanie w dżungli, wśród ruin, dwóch jaguarów.

I?

Bałem się, że mnie zjedzą. Jaguary zabijają ludzi wbijając kły od góry w czaszkę. Kiedy je zobaczyłem, zacząłem się zastanawiać, gdzie podzieli się Indianie, z którymi szedłem. Z jednej strony bałem się, że jaguary mnie rozszarpia, ale z drugiej strony byłem spokojny...

Serio?

Może dlatego, że jako dziecko bawiłem się z siedmioma kotami... I jaguary wycały, że jestem dobry dla kotów. Popatrzyli mi w oczy, ja popatrzyłem w oczy jaguarów i jak bezszelestnie się pojawiły,



MAREK KAMIŃSKI (ur. 1964 r.) jest podróżnikiem, polarnikiem, pisarzem i przedsiębiorcą. Pierwszy i jedyny człowiek na świecie, który zdobył oba bieguny Ziemi w ciągu jednego roku bez pomocy z zewnątrz: 23 maja 1995 r. wraz z Wojciechem Moskałem dotarł na biegun północny (770 km w 72 dni), 27 grudnia 1995 r. zdobył samotnie biegun południowy (1400 km w 53 dni). W 2004 r. dotarł na obydwa bieguny z niepełnosprawnym chłopcem – Jaśkiem Melą. Ekspert w dziedzinie motywacji i przywództwa. Założyciel Instytutu Marka Kamińskiego – firmy szkoleniowej. Obecnie przygotowuje się do wyprawy dookoła świata elektrycznym autem z czujnikami do mierzenia jakości powietrza i w towarzystwie humanoidnego robota.

NA ZDJĘCIU: Z mieszkańcami Trójmiasta w drodze po pasie nadmorskim z Gdańska-Brzeźna do Gdyni, 17 kwietnia 2011 r.

➔ Rozmowa z Markiem Kamińskim także w Podkaście Powszechnym. Weź, słuchaj! powszech.net/kaminski

tak bezszelestnie zniknęły. Potem spotkałem Indiankę, która powiedziała, że według Majów spotkanie jaguarów oznacza, że człowieka spotka w życiu coś ważnego. Prawie codziennie myślę o tej sytuacji.

Bo myślisz, że Cię dziś coś ważnego spotka?

Bo zastanawiam się, dlaczego mnie wtedy oszczędziły.

Może dlatego, żebyś jednak mógł studiować filozofię.

To kolejny punkt zwrotny. Przez całe liceum myślałem o tym, by zostać kapitanem, planowałem zdawać do Wyższej Szkoły Morskiej. A tu nagle, w czwartej klasie, zacząłem czytać Stachurę, Witkatego, Gombrowicza, Wojaczka, Burse. I wszystko mi się odmieniło.

Nie zapomnę, jak omawialiśmy „Obcego” Alberta Camusa, a potem była próbna matura z polskiego, w której napisałem, „że życie to taka kurewska zupka, tutaj groszek, tam marchewka”. To był rok 1982, stan wojenny, wszystko śmiertelnie poważne, można było za byle co nie zostać dopuszczonym do matury, a nawet wylecieć za szkoły. A nauczycielka oddała mi pracę mówiąc, że nie można takich słów używać i żeby raz jeszcze tę pracę napisał w domu. W ogóle w liceum zrobiłem skok w niezależnym myśleniu – a jak coś mówiłem o Katyniu czy miałem wpięty w sweter czerwony opor-

nik, dzięki mądrym i życzliwym nauczycielom mogłem cztery lata przetrwać bez większych konsekwencji.

Skąd filozofia?

Studia wybrałem metodą podwójnej negacji: o ile wiedziałem, że nie chcę być wojskowym, inżynierem czy ekonomistą, to nie potrafiłem powiedzieć sobie, że nie chcę zostać filozofem. I to był jedyny powód, dla którego zdecydowałem się studiować filozofię. Podkreślałem raz jeszcze: to był absolutnie jeden z najbardziej zwrotnych punktów w moim życiu.

Dlaczego?

Dlatego, że filozofia zajmuje się pytaniem, które właśnie postawiłaś: „dlaczego?” A jej historia jest przeglądem ludzkiego podejścia do poznawania świata. Filozofia nauczyła mnie precyzyjnie myśleć, a sztuka precyzyjnego myślenia jest kluczowa w zdobywaniu biegunów.

A nauczyciele?

Znakomici: Klemens Szaniawski, Marian Przełęcki, Bogusław Wolniewicz, Barbara Stanosz, spadkobiercy Ajdukiewicza, Myślickiego, Tatarkiewicza. Równolegle studiowałem fizykę, ale ukończyłem tylko filozofię. Gdybym jednak jej nie skończył, nic by to nie zmieniło.

W sensie?

Skończyłem ją dlatego, że wszyscy pytali, dlaczego jeszcze nie skończyłem. Łatwiej mi było skończyć, niż tłumaczyć.

Nie trzeba kończyć tego, co się zaczęło?

Gdy przerwałem studia filozoficzne, to też w konkretnym celu: nie chciałem chodzić na obowiązkowe wtedy studium wojskowe. Początkowo myślałem, że czegoś się tam dowiem. Pomyliłem się: jakiś trep powiedział, że on mnie odczyty zadawania pytań, i wtedy stwierdziłem, że szkoda mi czasu, by poświęcić na studium nawet jeden dzień w tygodniu. Ale naprawdę powodem było to, że czułem, że już się wszystkiego na studiach nauczyłem, i fakt, że dostanę dyplom, nic nie zmieni. I rzeczywiście, już w latach dwutysięcznych napisałem pracę magisterską, obroniłem ją i kwita. To było tylko potwierdzenie, że warto podążać za intuicją... Lepiej było rzucić te studia i zacząć się rejssem dookoła świata.

Rejsem, który się nie odbył.

Chciałem płynąć „Władimirem Wysockim”, tak nazwałem jacht, który remontowałem z kolegą, Jurkiem Andrzejukiem. Sami wykonywaliśmy prace stolarskie, ciesielskie, szlifowanie, malowanie etc. Skąd nazwa? W stanie wojennym na okrągło słuchałem „Nie lubię” i „Bani”, piosenki Wysockiego dodawały mi siły. Plany opłynięcia świata pokrzyżował ➔

→ kapitan bezpieczeństwa, który próbował namówić mnie do kolaboracji. Nie zgodziłem się. A on powiedział, że jacht nigdy z Polski nie wypłynie. Cały plan leży w gruzach.

Kłęska!

W maju miałem płynąć dookoła świata, a w czerwcu jako emigrant znalazłem się w Hamburgu, bez grosza, bez pracy, bez studiów. Ale już w październiku zacząłem studiować filozofię na uniwersytecie hamburskim. Znalazłem pracę jako ogrodnik.

Potem w porcie dwudziestotonową ciężarówką wozilem piach. Dalej – zapisałem się do spółdzielni studenckiej. Im wcześniej rano przyszedłeś, tym miałeś niższy numer, o ósmej ogłaszano, jakie prace są do wzięcia. Jeśli miało się niski numer, można było dostać pracę na dwa, trzy dni. Byłem wtedy taksówkarzem, myłem gary w kuchni, pracowałem w biurkach. Przez dwa lata wykonywałem około 50 zawodów. Najciekawsze było rozwożenie pizzy: stawka wynosiła jedną markę, a właściciel restauracji zapewniał, że wszyscy dają napiwki i to jest bonus tej pracy. Okazało się jednak, że klienci mieli odliczone pieniądze i napiwków nie dawali. Dziś jak zamawiam pizzę, zawsze daję napiwek...

Pobyt w Hamburgu dużo mnie nauczył. Dzięki temu, że podejmowałem różne rodzaje pracy, zdobyłem doświadczenie, które przełożyło się na to, że po zmianie ustroju byłem w stanie założyć w Polsce firmę i skutecznie zarządzać. Czyli jednak klęska okazała się sukcesem. Gdybym wtedy popłynął w rejs dookoła świata, wróciłbym z doświadczeniem podróżniczym, ale być może później nie zdobyłbym biegunów i nie prowadziłbym biznesu.

W roku 1989 od razu poczułeś przyływ wolności?

W tę noc, kiedy upadł mur berliński, wracałem z Hamburga do Gdańska. Moja droga była czarna i pusta. A po drugiej stronie, na trzech pasach sunęła rzeka samochodów z Berlina Wschodniego do Hamburga.

Ale czy wierzyłeś, że komuna się skończy?

Jest taki filmik na YouTube, jak w czasie demonstracji rzucam w stronę ZOMO kamieniem. Gdybym nie wierzył, tobym

Wiedziałem, że nie chcę być wojskowym, inżynierem czy ekonomistą.

Ale nie potrafiłem powiedzieć sobie, że nie chcę zostać filozofem.

nie rzucał. Pamiętam strach i to, co kazało mi jednak ten strach przemóc.

Ty i strach?

Nie rzucam na co dzień kamieniami w ludzi. Dodam jeszcze, że za komunę czułem się wolnym człowiekiem.

Opowiedz.

Każdy system polityczny niesie z sobą zagrożenia. Na pewno system demokratyczny daje wolność, ale trzeba umieć ją wykorzystać. Natomiast PRL-owski system był bardziej opiekuńczy, myślał za obywateli i można w nim było żyć w miarę szczęśliwie, niespecjalnie się starając. Ale każdy system działa za pomocą dwóch głównych bodźców: kar i nagród. Wolność masz taką, jaką jesteś w stanie sam sobie zapewnić. Żaden system ci jej nie zagwarantuje, wolność jest sprawą wewnętrzną. Od czasów komun pod tym względem nic się nie zmieniło.

Zmieniło się to, że granice są otwarte i nie musisz mieć nawet paszportu, by je przekraczać.

Punktem zwrotnym było w 1993 r. przejście z Wojtkiem Moskałem Grenlandii. Wojtek przez 15 lat gromadził wiedzę na temat zdobycia bieguna i przekazał mi ją w czasie jednej wyprawy. To skróciło okres przygotowań do moich kolejnych wypraw. A sama wyprawa na Grenlandię była trudna. Czy chodziło mi po głowie, by z niej zrezygnować? Jasne! Człowiek, gdy jest ciężko, często myśli, by z czegoś zrezygnować. Ale właśnie wyprawy nauczyły mnie tego, że jeśli się o czymś myśli, to ta myśl nie jest mną.

To znaczy?

Że nie trzeba się myśli poddawać. Na każdej wyprawie zdarzają się momenty, kiedy życie wisi na włosku.

A te momenty najtrudniejsze?

Najtrudniejszy może był moment, kiedy z Wojtkiem znaleźliśmy się na środku lądolodu, a ja zatrąłem się od prymusa. Miałem zawroty głowy i myślałem, że pęknie mi serce. I wtedy pomogło mi liczenie do tysiąca – to też ważny moment, bo nauczyłem się, by poprzez medytację panować nad emocjami.

Na biegunie północnym wiele razy wpadłem do wody, a dno było cztery kilometry pod mną. Wojtek wszedł na wielotonową krę, która obróciła się do góry nogami. Uratowało go to, że skoczył na drugą krę... Dodam, że kry poruszały się z taką prędkością, że ledwo co mogliśmy przeskakiwać z jednej na drugą. A w tym wszystkim odgłosy i świeże ślady białych niedźwiedzi.

A na biegunie południowym zagrożenie stanowiły szczeliny, które miały po dwieście metrów głębokości, zginęło w nich wiele wypraw. Kiedyś rozbiłem namiot na szczelinie... W każdym razie z trudnościami trzeba było sobie radzić głównie przy pomocy spokoju umysłu.

I liczenie do tysiąca właśnie w takich sytuacjach pomaga?

To jest jedna z technik, nie jedyna. Można się też modlić. I trzeba mieć zaufanie do siebie samego – nie ulegać strachowi.

A założenie rodziny to punkt zwrotny?

Moje życie bez tego nie byłoby pełne.

Tyle że posiadanie rodziny koliduje z życiem podróżnika.

Koliduje. Ale gorzej dla rodziny jest wówczas, gdy mówisz: tego czy tamtego nie robię, bo się dla was poświęcam. W życiu wiele rzeczy ze sobą koliduje, ważne, by znaleźć równowagę.

Oboje wiemy, że teoria jest łatwiejsza od praktyki.

Oboje też wiemy, jak ważne jest to, by w życiu nie stracić siebie. Trzeba mieć odwagę, by być nie lubianym i robić coś, co się komuś nie spodoba. Jeśli będziesz żyć w ten sposób, by zaspokoić wszystkich na świecie, stanie się to kosztem ciebie. Znam wiele małżeństw nieszczęśliwych, które bez reszty poświęcają się dla dzieci. A potem dzieci dorastają, zapominają o rodzicach i na koniec wszyscy są nieszczęśliwi.

Po założeniu rodziny zrobiłem tylko jedną ekstremalną wyprawę na bieguna, właśnie tę z Jankiem Melą. Ale ona nie była samotna, tylko grupowa. Wypraw samotnych nie podejmowałem świadomie – by nie zginać, by moje dzieci miały ojca.

Wyprawy nie zastąpią rodziny, rodzina nie zastąpi wypraw, to są różne rzeczywistości.

Chyba nawet bardzo.

Sporo wypraw zrobiłem z moimi dziećmi. Razem pojechalśmy do Maroka, miesiąc w podróży. Powtórzyliśmy *de facto* trasę, którą zrobiłem jako piętnastolatek... Zatrzymaliśmy się w tym samym porcie w Safi, z którego 40 lat temu przywiozłem czardziejską skrzynię.

A jeszcze jakiś punkt zwrotny?

Te, które popchnęły mnie w całkiem innym kierunku. Bo ze zdobywania świata przeszedłem do pisania książek. Powróciłem do filozofii i refleksji nad kondycją ludzką – zrobiłem to we wspomnianej książce „Power4change”. Teraz dzielę się moim doświadczeniem z innymi.

By ich uszczęśliwiać?

By wskazywać możliwości.

Wiesz, ja dopiero na wyprawie z Jankiem Melą pojąłem, że człowiek jest tym, co daje innym. Wcześniej nie wiedziałem, dlaczego decydowałem się na wyprawy na bieguna. Byłem pewny tylko jednego: że chcę je zdobyć i że to będzie dopiero początek. Oprócz pisania książek prowadzę teraz webinary, czyli warsztaty odbywające się przez internet. Robimy to co dwa tygodnie z Asią Heidtman, psycholożką biznesu z Krakowa. Rozmawiamy na różne tematy, także o samotności i nadużywaniu prochów. Jedna ze słuchaczek napisała do nas, że wysłuchanie nas uchroniło ją przed samobójstwem. Dla mnie to ogromna motywacja – człowiek mówi i pisze, a Pan Bóg słowa nosi i nigdy nie wiadomo, w którym momencie i na kogo one trafią... Nawet jeśli miałbym robić to dla jednej osoby, to naprawdę warto.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Potęga żartu

PIOTR KOSIEWSKI

W warszawskim Zamku Ujazdowskim trwa wystawa „Żarty żartami”, poświęcona satyrze i dowcipom w przeszłości i dzisiaj.

GRUPA SLAVS AND TATARS, ZAŁOŻONA w 2006 r. przez dwójkę młodych artystów – Polkę Kasię Korczak i osiadłego w Europie Amerykanina irańskiego pochodzenia Payama Sharifi, od dawna jest uznawana za jedno z najciekawszych zjawisk we współczesnej sztuce. W 2016 r. jej dużą wystawę można było oglądać w Centrum Sztuki Współczesnej. Po czterech latach Slavs and Tatars wrócili do Zamku Ujazdowskiego, by tym razem wcielić się w rolę kuratorów. „Żarty żartami” to jedna z ostatnich ekspozycji przygotowanych przez poprzednią dyrekcję; zapowiedziana przez nowego dyrektora Piotra Bernatowicza zmiana oznacza, że na podobną twórczość w Zamku może już nie być miejsca.

Pierwszą wersję tej wystawy można było zobaczyć podczas 33. Biennale Sztuk Graficznych w słoweńskiej Lublanie. Wersja warszawska została uzupełniona o polskie konteksty, m.in. o prace Bolesława Chromego, Rafała Dominika, Jany Shostak i Mikołaja Sobczaka.

Miejsce satyry

„Przyszło nam żyć w gorzkich czasach. Do ich obsługi trzeba nam słodko-gorzkich metod” – podkreślają twórcy wystawy. Pomocą w zrozumieniu dzisiejszych czasów mogą być żart, dowcip, satyra. Ale mogą one też służyć do czegoś więcej: do zmiany rzeczywistości. Przy czym Slavs and Tatars przypominają, że satyra towarzyszy nam od wieków.

W Zamku Ujazdowskim mediewista Łukasz Kozak pokazuje obecność żartu w średniowieczu: w bordiurach iluminowanych modlitewników czy kronik można znaleźć przedstawienia prześmieszne, często obsceniczne. Antykwarisz Arthur Fournier i historyk kultury



Anna Uddenberg „Palec V”, 2018

Raphael Koenig przygotowali przegląd publikacji satyrycznych, od słynnych karykatur Honorého Daumiera, który stworzył przenikliwy obraz Francji za rządów Ludwika Filipa i Napoleona III, aż po współczesne magazyny. Kuratorka Ewa Tatar i pisarz Andrzej Szpindler zgromadzili na wystawie polskie pisma satyryczne, karykatury, utwory krotchwilne i fantasmagoryczne, m.in. Mai Berezowskiej, Bronisława Wojciecha Linkego, Mirona Białoszewskiego i Mieczysława Piotrowskiego. Wreszcie sami Slavs and Tatars przy okazji słoweńskiej odsłony wystawy wydali „Crack up – crack down” z imponującym przeglądem satyry z całego świata: od XIX-wiecznych karykatur po Sachę Barona Cohena w roli Borata i słynnego Grumpy Cat – zdjęcia nieprawdopodobnie naburmuszonego pyszczka tego kota podbiły media społecznościowe.

Ważne jest to przypomnienie długiej historii satyry i pokazanie jej rozmaitych oblicz. Jednak „Żarty żartami” ➔



Woody De Othello „Ciepłe powitanie”, 2019; na drugim planie: KRIWET „Text Dia”, 1970; poniżej: Żanna Kadyrowa „Market”, 2019

Lin May Saeed
„Czyszciciel”,
2006



Lin May Saeed
„Błękitny Nil”,
2011



→ nie są jedynie encyklopedycznym katalogiem. Ich twórcy postawili pytanie o przydatność od dawna stosowanych form wypowiedzi do obecnej sytuacji. O to, czy żarty nadal mają sprawczą moc zmieniania świata, czy też są tylko sposobem jego oswojenia. Czy – jak mawiał George Orwell – dowcip jest wciąż „małą rewolucją”, czy też jedynie neutralizuje sprzeciw, protest, rewoltę?

Zażartujmy

U wejścia do jednego z pomieszczeń zawieszono kurtynę wykonaną z grubych pasów przezroczystego PCV, podobną do montowanych w sklepach rybnych czy mięsnych. Za nią natykamy się na ladę sklepową, z wielką dwuszałkową wagą, jakich jeszcze do niedawna powszechnie używano. Wokół leżą pokrojone w płyty ryby. W białych pojemnikach ukrywają się ostrygi, a w małych słoiczkach kawior. Wszystko przypomina sklep rybny, poza jednym: brak tu charakterystycznego zapachu. Bo też ukraińska artystka Zanna Kadyrowa wszystkie wiktuały wykonała z ceramiki. To nie stoisko, tylko jego dokładne, aseptyczne odwzorowanie, a dzieła – ryby czy owoce morza – są sprzedawane na wagę, w zależności od miejsca ekspozycji np. za euro albo dolara za gram.

Na wystawie jest wiele podobnych gier z rzeczywistością, prób wybicia widza z poczucia oczywistości, zabaw z jego zmysłami. Szwedka Anna Uddenberg od dawna tworzy niezwykle realistycznie rzeźbiarskie przedstawienia ciała kobiecego poddawanego wysiłkowi, wyciągane, ćwiczonego i upiększanego. W Zamku Ujazdowskim można zobaczyć ogromny palec jej autorstwa. Wyprostowany, starannie wypielegnowany, oddany ze wszystkimi szczegółami wydaje się w swym osamotnieniu absurdalny, ale też groteskowy.

Dowcip to bowiem „wiedza o podobieństwie różnych rzeczy i różnicy podobnych”, jak zauważyła Madame de Staël. W tym kryje się siła żartu. Pozornie bywa niewinny, ale potrafi obnażyć pustkę, błagę czy fałsz. W sali kinowej Zamku Ujazdowskiego można oglądać film urodzonego w Argentynie Pabla Bronsteina. Przedstawia on męczyznę i kobietę witających się na wiele sposobów. Przyjmują wyrafinowane pozy, wyginają ciała, układają ręce w skomplikowany sposób. Temu „baletowi gestów”

przygląda się grupa siedzących osób. Wykonanie kolejnego powitania jest nagradzane brawami.

Bronstein przenosi nas do XVIII-wiecznych Chin. Jesteśmy na tamtejszym cesarskim dworze, a powitania zaczerpnięto z zachodnioeuropejskiej etykiety. Jednak same gesty są niezbyt precyzyjnie odtwarzane. Tracą pierwotne znaczenie. „Rozrywka na dworze: 100 europejskich sposobów, by przelotnie pozdrowić przygodnego znajomego” pokazuje rytuały, które nic już nie znaczą. Przedstawia zniekształcone wyobrażenia: Wschodu o Zachodzie i *vice versa*. Film Bronsteina rozgrywa się zresztą w dość obskurnej sali, zapewne sportowej, a występujący są odziani w stroje, które w niczym nie przypominają wyrafinowanej chińskiej mody.

Żart, dowcip umożliwiają też opowiadanie o sobie, mówienie o trudnych kwestiach. W Zamku Ujazdowskim znalazł się duży wybór prac chińskiego artysty Xiyadie (to jego pseudonim, znaczący „syberyjski motyl”). Są to wycianki, uznana i wspiera od lat przez jego państwo technika, popularna wśród artystów ludowych. Sam Xiyadie nosi taki tytuł i otrzymuje nawet skromne, ale comiesięczne stypendium. A jednocześnie jego prace dotyczą homoseksualności. W żartobliwy, ale też wyrafinowany sposób przedstawia sceny seksu. Otwarcie, lecz z dystansem, niekiedy opatrzone prace zabawnymi tytułami, jak „Sortowanie słodkich ziemniaków (Tato, nie krzycz, jesteśmy w piwnicy sortując słodkie ziemniaki)”.

Twarze satyry

Jednak satyra czy karykatura miewa też inne oblicze. Obie stawały się narzędziem reżimów. Służyły i służą do piętnowania, wykluczania, naznaczania. Za ich pośrednictwem, także w naszym kraju, są przekazywane treści rasistowskie, antysemickie, homofobiczne i seksistowskie. Kreuje się wrogów, zbędnych, obcych.

Pozostaje wreszcie pytanie o sprawczą moc żartu. Arthur Fournier i Raphael Koenig swój wybór materiałów z historii satyry zatytułowali „Nakład Fuchsa wyczerpany”. Nieprzypadkowo przywołali nazwisko niemieckiego historyka sztuki i kolekcjonera. Eduard Fuchs był autorem fundamentalnych opracowań dziejów karykatury; odwołując się do myśli marksistowskiej, był

przekonany o znaczeniu satyry w walce z faszyzmem i kapitalizmem. Po dojściu Hitlera do władzy musiał emigrować, zmarł w Paryżu w 1940 r., a jego wspańnię zbiory prac m.in. Daumiera zostały skonfiskowane i sprzedane na publicznych aukcjach.

Czy dzisiaj, w czasach mediów społecznościowych, satyra zachowała swą emancypacyjną siłę? Fournier i Koenig przekonują, że w dobie mediów cyfrowych jej moc zaczyna słabnąć. Czy mają rację? Przecież klasyczna karykatura publikowana w prasie nadal budzi emocje. Nieprzypadkowo jej twórcy byli ostatnio obiektem ataków fundamentalistów.

Nie można także pominąć egalitarnego, ludycznego wręcz wymiaru żartu. W publikacji „Crack up – crack down” Slavs and Tatars przypominają o niewinnym filmiku autorstwa kadetów Uljanowskiego Instytutu Lotnictwa Cywilnego. W 2018 r. sparodiowali oni znany wideoklip „Satisfaction” Benny’ego Benassiego. Miejsce skąpo odzianych młodych kobiet zajęli nastolatki, ubrani jedynie w bieliznę, wysokie buty, paski do spodni, krawaty i wojskowe czapki. Przyjmując erotyczne pozy, występowali ze znalezionymi w akademiku przedmiotami: miotłą czy żelazkiem i deską do prasowania.

Upublicznienie filmu wywołało burzę. Protestowali urzędnicy, rosyjska prokuratura wszczęła dochodzenie (szczęśliwie szybko zakończoną), a rektor uczelni porównał kadetów do prześladowanej przez władze grupy Pussy Riot. Wyglądało to groźnie. Jednak sieć została zalana wspierającymi kadetów filmami. Własne wersje „Satisfaction” nagrywali uczniowie szkół od handlowych po rolnicze, pielęgniarzy i sportowcy, a nawet petersburskie emerytki. Każdy ten klip, jak podkreśla amerykańska publicystka Masha Gessen na łamach „New Yorkera”, był „pokazem solidarności z grupą młodych nieznajomych oraz pokazem zdolności zwykłych ludzi do organizowania się i działania razem – zdolności, którą państwo, zdawałoby się, wyeliminowało”. Niewinny klip pokazał, jaką siłę, także mobilizacyjną, może mieć żart.

© PIOTR KOSIEWSKI

ŻARTY ŻARTAMI, Warszawa, Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski, wystawa czynna do 11 października br. Kuratorzy: Slavs and Tatars.

Droga do Onondaga

BARTOSZ HLEBOWICZ

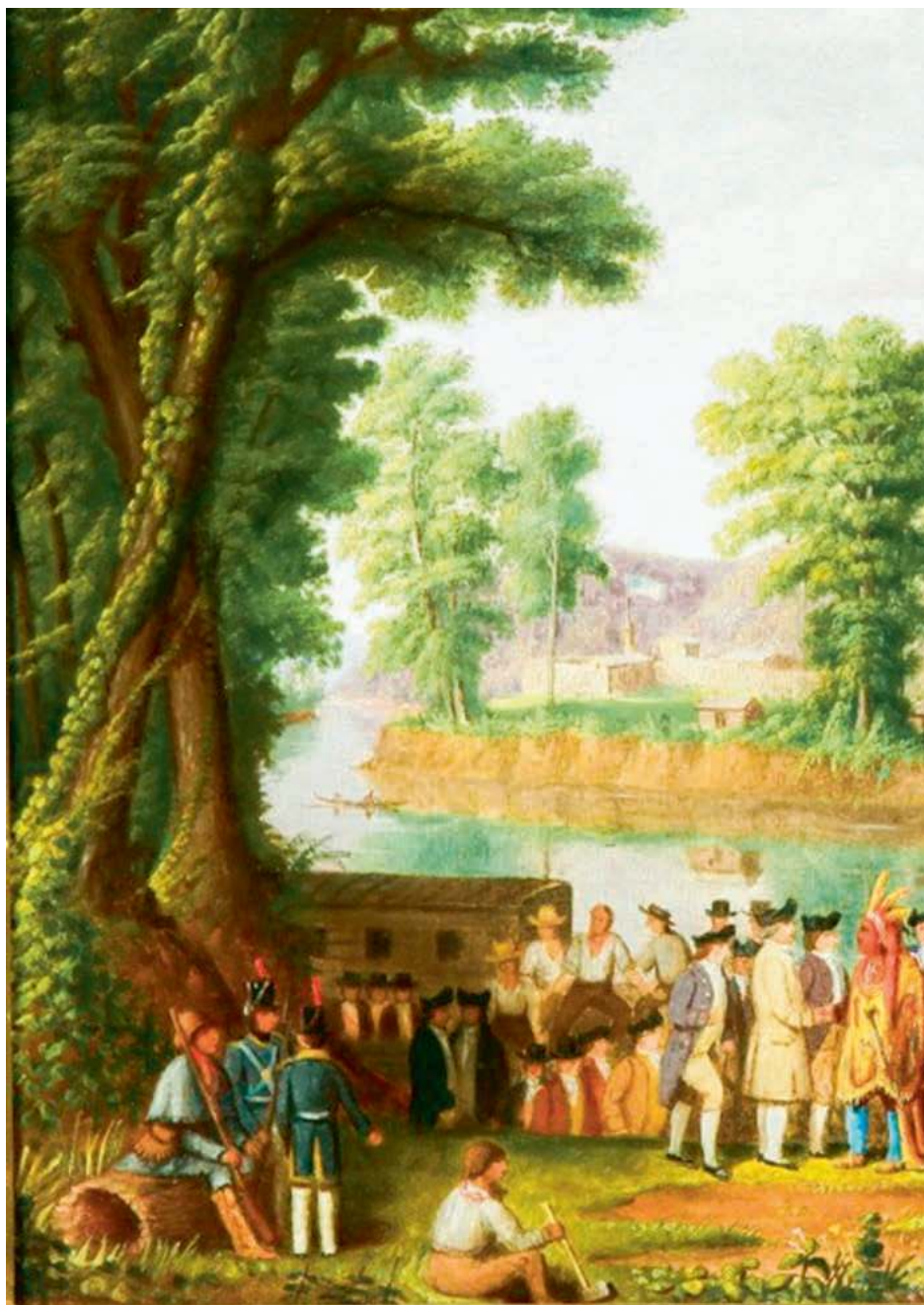
Gigantyczne platany wymagały jednoczesnej pracy sześciu ludzi, a jeden osadnik na wyrąbanie własnej „przestrzeni życiowej” potrzebował nawet czterech tygodni. „Drzewa były wrogami stojącymi na drodze postępu”.

KTÓREGO DNIA SHICKELLAMY, PRZEDSTAWICIEL Konfederacji Irokeskiej w Pensylwanii, rzekł do swego kompana, Conrada Weisera: „Miałem sen. Śniło mi się, że Tarachiwagon (Podtrzymujący Niebo – Irokezi nazywali Weisera imieniem postaci z własnej mitologii) podarował mi nową strzelbę”. Weiser oddał Indianinowi strzelbę, mówiąc: „Ja też miałem sen. Śniło mi się, że Shickellamy podarował mi wyspę w dolinie Susquehanny” i wskazał przyjacielowi Isle of Que u ujścia Penns Creek. Shickellamy nie miał wyjścia i zrealizował sen przyjaciela. „Conrad, już nie będziemy więcej snić razem”, podsumował.

Irokezi lubili opowiadać tę anegdotę, przytoczoną przez historyka Paula Wallace’a, i nie ma większego znaczenia, że zapewne jest zmyślna. Indianie faktycznie kierowali się wizjami sennymi w swym postępowaniu, autentyczni byli Shickellamy i Weiser, podobnie jak ich dzieło utrzymywania pokoju między białymi a Indianami we Wschodnich Lasach w pierwszej połowie XVIII w. Historia ta wprowadza w inny świat niż ten, do którego przyzwyczaiły nas groszowe powieści, rewia Buffalo Billa i hollywoodzkie westerny. Shickellamy i Weiser współtworzyli świat, w którym Indianie i biali potrafili być partnerami, próbowali się do siebie dostosować, wznosili się na wyżyny dyplomacji, a do tego umieli mieć do siebie dystans.

Druga historia jest taka. Jesienią 1742 r. grupa Onondagów i Oneidów (jedni i drudzy należeli do Irokezów) wyruszyła ze swoich osad w środkowej części kolonii Nowy Jork na południe, aż za Appalachy, na tradycyjną wyprawę przeciw Catawbom, którzy, jak twierdzili Irokezi, „ciągle nas nękają i źle o nas mówią”.

Zadośćuczynieniem za te krzywdy miały być catawbowskie skalpy i jeńcy, których można by potem „zaadoptować” albo spalić żywcem. Po drodze jednak Irokezi zostali napadnięci przez oddział białych Wirgińczyków. Broniąc się, Irokezi zabili ośmiu z nich, a resztę zmusili do ucieczki. Sami stracili czterech wojowników. Z wyprawy na Catawbów nici, ale problem był większy: groźba wojny Konfederacji Irokeskiej z kolonią Wirginia i niejasna sytuacja kolonii Pensylwania, leżącej pomiędzy Nowym Jorkiem a Wirginią i sta-



rającej się utrzymywać dobre relacje ze wszystkimi Indianami.

Zakopać topory i przegnać chmury

Uratować pokój mogli tylko posłańcy, negocjatorzy, osoby umiejące poruszać się między dwoma światami – a nawet więcej niż dwoma, bo nie było wtedy jednych „białych” ani jednych „Indian”. Odrębne interesy miała kolonia Wirginia, odrębne Pensylwania i jeszcze inne Nowy Jork. Inna była pozycja Szaunisów i Dela-

warów w Pensylwanii i Ohio oraz usiłujących ich reprezentować i kontrolować Irokezów z kolonii Nowy Jork.

Padło na Weisera i Shickellamy'ego. Byli najlepsi, od paru dziesiątków lat ich zakulisowe działania pomagały zaprowadzać pokój po starciach i wzajemnych krzywdach. Wirginia poprosiła Weisera, na co dzień służącego swą mądrością i znajomością rzeczy kolonii Pensylwania, by w jej imieniu udał się do Onondaga, stolicy Konfederacji Irokeskiej, z prezentami wartości stu funtów. Ra-

zem z nim w podróż wyruszył Shickellamy – jako przedstawiciel Pensylwanii (nic nie jest oczywiste!).

Rytuały powitania i wstępne negocjacje trwały kilka dni. Kiedy już zebrała się rada irokeskich wodzów, dwóch z nich, jak opisywał później Weiser, przechodziło tam i z powrotem, a trzeci siedział pośrodku, śpiewając „pełne wdzięku nuty”, po czym rozpalono ogień rady. Kiedy nadeszła pora na wystąpienie Weisera, w jego, a właściwie Wirginii, imieniu przemówił jeden z irokeskich wodzów Canasatego. Weiser podawał mu sznury lub pasy wampumu, czyli nanizanych koralików z muszli, i szeptał mu kolejny „akapit” przemówienia, a Canasatego powtarzał go na głos swoim rodakom.

Wypowiadając się jako spersonifikowana Wirginia, Canasatego najpierw „wyjął topór z głowy Irokezów”, aby „pochować to nieszczęśliwe wydarzenie pod ziemią”. Następnie zwrócił się do pogrążonych w smutku krewnych zabitych wojowników, „przegnał chmury” i naprawił „łańcuch przyjaźni”. W tym momencie kobiety przyniosły jedzenie (kolejny raz). Następnego dnia rada zebrała się ponownie, żeby podziękować „Pensylwanii” za jej pośrednictwo. Potem wodzowie odśpiewali pieśń przyjaźni i radości, a w odpowiedzi Weiser, w imieniu Pensylwanii i Wirginii, uczynił to samo. W ten oto sposób topory wojenne zostały zakopane na 15 lat.

Dlaczego przytaczam te historie? Chyba po to, żeby pokazać czytelnikowi mojej nieregularnej rubryki indiańskiej w „Tygodniku”, że coś takiego w ogóle było możliwe. Że opowieść o tubylczych mieszkańcach Ameryki można snuć obok wielkiej narracji o wojnach i masakrach (których nie brakło), starciach między „dziczą” a „cywilizacją”, Indianami i pionierami, bezwzględny podboju i stracającej walce obronnej, prowadzonej przez Anglosasów asymilacji i tubylczych próbach oporu.

Europejczycy cywilizowani przez Indian

W istocie w XVIII-wiecznym świecie Wschodnich Lasów funkcjonowała „leśna dyplomacja”, podlegająca drobiazgowemu protokołowi, pełnemu metafor i nawiązań do mitologii indiańskich i historii relacji z różnymi grupami białych kolonistów. Na przykład bez wampumu, ↳



Sala Bosworth
„Przybycie
pionierów
do Marietty”,
ok. 1840

LIBRARY OF CONGRESS

→ wynalezionego przez mitycznego Hiawathę, żadna rozmowa nie miała znaczenia – dawał on autorytet rozmówcy, bez niego słowa Anglików (czy kogokolwiek) były tylko „niezrozumiałym szumem”. Wampum gwarantował, że intencje mówiącego są szczerze, a jego słowa prawdziwe. Podobnie pieśń, tak jak w mitach, w których była magicznym narzędziem zamiany kanibala Tadadaho w miłującego pokój wodza, rytualnie zamieniała wrogów w przyjaciół.

Był to czas, jak ujął to historyk James Merrell, „wielkiego, nieuświadomianego eksperymentu edukacyjnego”, w którym koloniści i Indianie uczyli się wypracowywać wspólny sens, dogadywać się, zawierać sojusze i naprawiać wzajemne krzywdy. I w którym – uwaga! – uczniami byli biali. To oni, przynajmniej na początku, musieli uczyć się indiańskich języków, metafor, protokołu. O tym, jak poważnie traktowali leśną dyplomację, świadczy np. złożone przez pensylwańskich kupców w Nowym Jorku w połowie XVIII w. zamówienie na produkcję stu tysięcy koralików wampumowych.

Oto inna historia podboju Ameryki: szukanie pola porozumienia, unikanie konfliktów, a gdy te już się wydarzą, szukanie sposobu na ukojenie bólu i powrót do współpracy. Dopiero zejście na poziom lokalny, leśnej dyplomacji, wiosek tubylczych (np. indiańskich pionierów-uchodźców uciekających przed Irokezami do Ohio już w XVII w.) i osad schrytlanizowanych Indian, pozwala zrozumieć, jak sądzić, ówczesną rzeczywistość.

Droga do Campus Martius

Na poziomie lokalnym utrzymuje swą opowieść autor wydanych właśnie po polsku „Pionierów”, David McCullough. Tyle że przyjmuje perspektywę białych osadników.

Hasło „amerykańscy pionierzy” przywołuje na myśl sznur wozów osadników z „Rzeki Czerwonej” Howarda Hawksa, „Drogi do San Juan” Johna Forda i dziesiątków innych westernów, sunący do Kalifornii, Oregonu, Utah czy Teksasu przez równiny i pustynie wnętrza kontynentu w drugiej połowie XIX w. Tymczasem książka McCullougha przedstawia losy grupki zdeterminowanych idealistów z Nowej Anglii, którzy parę lat po zakończeniu wojny o niepodległość

**Wyrąbывали ścieżkę
cywilizacji w dziczy,**
a wokół nich były groźne
pumy, wilki, grzechotniki
oraz „miejscowe plemiona”.
Indianin był częścią natury?

postanowili zapaść się do doliny Ohio, czyli na krańce rodzącego się amerykańskiego imperium. Obszar ten nazywano wtedy Terytorium Północno-Zachodnim.

„Pionierzy” plasują się więc świetnie między „Mayflower” Nathaniela Philbricka a „W poszukiwaniu granic Ameryki” Stephena Ambrose’a, o których pisałem już na tych łamach (wszystkie ukazały się w Wydawnictwie Poznańskim). Ich bohaterowie, półtora wieku po pierwszych pielgrzymach w kolonii Plymouth, kontynuują dzieło ekspansji, tym razem docierając na dzisiejszy Midwest, kilka zaś lat po nich Lewis i Clark zmierzają nad Pacyfik. I tak jak Ambrose opiewa amerykańskich oficerów, którzy zostali wyprawieni w założycielską Wielką Północną Amerykańską, tak McCullough sławi mniej znanych osadników-wizjonerów, którzy wypuścili się na wyprawę znacznie skromniejszą, ale mimo to imponującą.

W grudniu 1787 r. 48 mężczyzn – mierzniczy, cieśle, szkutnicy, kowal – podzielonych na dwie grupy, wyruszyło z Nowej Anglii, przebyło na piechotę ponad tysiąc kilometrów, przedzierając się m.in. przez góry zachodniej Pensylwanii (pokonanie Alleghenów zajęło im miesiąc). Każdy z nich miał motykę, siekiere, muszkiet i bagnet. Wszystko, co było potrzebne do stworzenia nowego osiedla pośród leśnej dziczy, wieźli w ciągnionym przez woły wozie, na którego bokach wymalowano „Do Ohio”. Po dotarciu do Sumrill’s Ferry w zachodniej Pensylwanii zbudowali 14-metrowej długości galerię, którą na wiosnę popłynęli rzekami Youghiogheny, Monongahela, Allegheny i Ohio do dzisiejszej Marietty na granicy Ohio i Wirginii Zachodniej. Celowo przytaczam nazwy rzek, bo – prócz tego, że brzmią pięknie – przypominają, że osadnicy poruszali się w indiańskim kraju.

Miejsce nazwali Campus Martius i od razu zabrali się do „wycinania dziewiczej

puszczy”. Było to niehumanitarne wyzwanie. Gigantyczne platany wymagały jednoczesnej pracy sześciu ludzi, a jeden osadnik na wyrąbanie własnej „przestrzeni życiowej” potrzebował trzech do czterech tygodni. „Drzewa były wrogami stojącymi na drodze postępu”, komentuje autor.

Książki za skóry szopów

Tę opowieść czyta się jednym tchem. Opisy codziennych trudów i przypadków mieszkańców Campus Martius (wyrąb lasu, odkrycie źródła wody solankowej, epidemie szkarlatyny i ospy wietrznej dziesiątkujące mieszkańców oraz zarazy niszczące plony kukurydzy) przeplatają się ze sprawami wagi lokalnej czy regionalnej – takimi jak budowa uniwersytetu w Athens, pierwszej uczelni na Terytorium Północno-Zachodnim – i państwowej: mowa tu m.in. o Rozporządzeniu Północno-Zachodnim z 1787 r., „jednym z najbardziej postępowych aktów prawnych w całej historii Stanów Zjednoczonych”, zabraniającym na nowym terytorium niewolnictwa.

Głównym autorem rozporządzenia był pastor Manasseh Cutler, pomysłodawca wyprawy do Ohio. 15 lat później, już na terytorium Ohio, o równouprawnienie czarnych Amerykanów równie zażarcie – i skutecznie – walczył jego syn Ephraim. Inną zasadą, której strzegli ojcowie założyciele osady i ich potomkowie, była gwarancja wolności religijnej.

Siłą „Pionierów” są obrazki z życia codziennego osadników, np. całonocne tańce, którym, z braku instrumentów, towarzyszył jedynie śpiew pewnego staruszka, cuconego „z pomocą ożywczego napoju”. Wzmianka o założeniu biblioteki „w środku głuszy”, a konkretnie w mieszkaniu Ephraima Cutlera, spodobała mi się szczególnie. Pieniądze na zakup pierwszych 50 książek uzyskano ze sprzedaży skór szopów.

„Jak mało było w ludziach egoizmu”, zanotował cytowany przez McCullougha jeden z protagonistów, Samuel P. Hildreth, lekarz i kronikarz początków osady. „Ci, którzy mieli krowy, dzielili się mlekiem z sąsiadami, zwłaszcza tam, gdzie były dzieci”. Dobrze prosperujące małżeństwo farmerów z Pensylwanii, które osiedliło się po drugiej stronie rzeki (a więc w Wirginii), w „roku głodu” (1789) sprzedawało mieszkańcom osady kukurydzę za symboliczną cenę 50 cen-

tów od buszla, pięciokrotnie niższą od ówczesnie obowiązującej. Tym, których nie było stać, dawali ją za darmo. A spekulantom nie pozwalali nawet zbliżyć się do swego domu.

McCullough podkreśla zbiorowy wysiłek pierwszych osadników w Ohio, budujących nowy świat i walczących o lepsze życie dla siebie i bliskich, ale skupia się też na wybitnych osobach, takich jak Manasseh Cutler, gen. Rufus Putnam – założyciel Ohio Company, który poprowadził imigrantów do Ohio i przewodził nim w pierwszych latach – Ephraim Cutler (podczas podróży do Ohio zginęło dwoje z czworga jego dzieci) czy cieśla Joseph Baker, który został także kronikarzem Marietty i sierżantem lokalnej milicji.

Ta książka to hołd historyka gawędziarza dla twórców pierwszej stałej amerykańskiej osady w Ohio. „Ukończyli swe dzieło, bez względu na przeciwności losu, z jakimi przyszło im się mierzyć. Osiągnęli to, co sobie zamierzeli, by podnieść jakość życia i zwiększyć stojące przed ludźmi możliwości – aby jak najpowszechniej krzewić amerykańskie ideały”, podsumowuje autor.

Stara dobra opowieść z Indianami w tle

Z tą książką mam jednak problem: brak w niej Indian. To znaczy niby są, ale w tle, bardziej jako element groźnego krajobrazu. „Aby zacząć wszystko właściwie, nie trzeba będzie obalać żadnych ugruntowanych wcześniej systemów” – autor cytuje Manasseha Cutlera i najwyraźniej przyjmuje jego punkt widzenia, nazywając zresztą Indian, tak jak jego biali bohaterowie, „dzikusami”.

W wizji autora „pionierzy” wyrąbali ścieżkę cywilizacji w „otaczającej zewsząd niezmierzonej dzicy”, a wokół nich były groźne pumy, wilki, grzechotniki oraz „miejscowe plemiona”, które najwyraźniej trudno mu zaliczyć do równorzędnych „systemów ludzkich”. Tak oto autor podpina się niestety pod narrację ze starych westernów. Indianie stanowią w nich naturalną przeszkodę – jak wodospady, pustynie, dzikie zwierzęta i owe drzewa „stojące na drodze postępu”. Indianie u McCullougha są prawie tak niewidzialni jak w klasycznym „Dyliżansie” Johna Forda: nad osadnikami cały czas wisi groźba ich ataku, ale nie wiadomo, czym miałyby być on spowodowany.



WIKIPEDIA.ORG

Sala Bosworth „General Rufus Putnam”

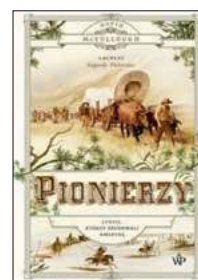
Nie wiadomo też, kim w ogóle są. Pojawia się np. wódz Delawarów Captain Pipe, raz witający z radością osadników w Mariettie (1788), drugi raz mordujący białych podczas bitwy z takim zapałem, że aż mu „ręka opadła z wysiłku” (1791). Ale nie bardzo wiemy, dlaczego Delawarowie w ciągu zaledwie trzech lat zmienili swe nastawienie. Wybitny wódz Szaunisów Tecumseh, obrońca indiańskich ziem przed amerykańskimi osadnikami, wspomniany jest w jednym akapicie, po którym następują dwie strony opisu powodzi w dolinie Ohio. Potem Tecumsehowi autor poświęca drugi i zarazem ostatni akapit, robiąc jednak fatalny błąd, którego historyk nie ma prawa popełnić, a żadna redakcja przepuścić: informuje o śmierci słynnego wodza Szaunisów podczas bitwy „w północno-zachodniej części Ohio”. W rzeczywistości Tecumseh zginął w starciu nad rzeką Thames, niedaleko miejscowości Moraviantown w kanadyjskiej prowincji Ontario, podczas wojny angielsko-amerykańskiej 1812-1814.

Chciałbym też przeczytać u McCullougha, dlaczego w tworzonym przez

pięknoduchów z Nowej Anglii idealnym świecie postępu i równości zabrakło – jak się szybko okazało – miejsca dla tubylców. Dzisiaj w Ohio Delawarów, Szaunisów i Wyandotów nie uświadczysz. Większość z nich wywędrowała do Kanady albo Oklahomy, ale o tym McCullough nie wspomina.

Historie ze Wschodnich Lasów, które przywołałem na początku, to kontropowieści mające uzupełnić braki w wielkiej narracji o pionierach, podboju i krzewieniu Cywilizacji. Bez tego typu historii opowieść o Ameryce jest niepełna. Nie da się jej opowiedzieć bez Shickellamy’ego, Canasatego, Kapitana Fajki i Tecumseha.

© BARTOSZ HLEBOWICZ



David McCullough
**PIONIERZY. LUDZIE,
KTÓRZY ZBUDOWALI
AMERYKĘ**
przeł. Mariusz
Gądek,
Wydawnictwo
Poznańskie,
Poznań 2020

Okna i balkony

ANITA PIOTROWSKA

Projekt HBO „W domu” nie układa się w zwarty przekaz. Instynktownie jednak szukamy obrazu, który byłby olśnieniem. Który pogłębiłby nasze własne doznanie przymusowej kwarantanny.

PRZED TRZEMA TYGODNIAMI PRZYGLĄDaliśmy się na tych łamach, jak doświadczenie pandemii może inspirować zamkniętych w domu twórców światowego kina (czytaj na powszech.net/homemade). Dziś pora na dokonania rodzimych filmowców.

Polską produkcję HBO, zatytułowaną po prostu „W domu”, kręconą w szczytowej fazie lockdownu i obejmującą 14 około 10-minutowych tytułów, siłą rzeczy ogląda się z większą uwagą, a chwilami też z większym wzruszeniem. Dotyczy to zwłaszcza filmów dokumentalnych, bo pozwalają zajrzeć do prawdziwych domów, ujrzyć dawno niewidziane twarze, usłyszeć mniej lub bardziej znajome głosy. Albo, niczym w nowelce Jerzego Skolimowskiego „To nie my”, zobaczyć na ekranie, jak wyludniony pandemiczny pejzaż zamienia się w pejzaż wewnętrzny.

Zamknięcie dopadło reżysera „Bariery” aż na Sycylii, czego można by mu szczerze

pozazdrościć, gdyby nie złowrogi chwilami dysonans bijący z tego miniseju sfilowanego w czerni i bieli. Puste plaże, stadiony, ulice i kościoły, zamknięte restauracje – dziś to już raczej materiał archiwalny i oby tak pozostało. Jednak nałożony na ten obraz jeszcze bardziej archiwalny dźwięk w postaci beztroskiego gwaru sprzed pandemii przynosi cierpką refleksję, że nic już w nas nie będzie takie samo. Nawet jeśli świat w końcu odzyska utracone dźwięki i kolory.

Skolimowski sugeruje, że można spojrzeć na ową zmianę zupełnie inaczej – z nadzieją, że coś umiera, ale zarazem (brzydkie słowo) coś się odradza. Zamknięty w czterech ścianach Jan P. Matużyński, twórca „Ostatniej rodziny”, z nostalgią wspomina w swym filmie dawne wakacje nad morzem i jednocześnie oczekuje z żoną i synkiem, aż przyjdzie na świat jego drugie dziecko. Domowe wideo „sprzed” i zdjęcia USG zwiastujące to, co dopiero będzie, nadają ograniczeniom

dnia codziennego znacznie bardziej pojemny wymiar.

W końcu „nic nie zatrzyma tej wiosny”, jak głosi tytuł krótkometrażówki Mariusza Trelińskiego. Intymny wideodziennik kręcony w domu nad jeziorem to zapis przygotowań artysty do kolejnego spektaklu operowego, świadectwo „skradzionych obrazów” i przeczytanych lektur (wśród nich jest także „Tygodnik Powszechny”) czy małe epifanie związane z budzącą się do życia naturą.

Najbardziej jednak komfortowa i twórcza izolacja nie zastąpi obecności w domu (i w kadrze) bliskiego „czynnika ludzkiego”. Doświadcza tego reżyser Jacek Borcuch („Słodki koniec dnia”), który w kwietniu świętował samotnie swoje 50. urodziny. Jego szwendanie się po stylowym mieszkaniu przed obiektywem kamery ma w sobie zrazu coś narcystycznego. I choć reżyserowi zdarza się w filmie opuszczać swoje lokum, efekt zamknięcia jest tu szczególnie dojmujący. Albowiem wszystkie te życzenia, które spływają do solenizanta w wiadomościach głosowych, jeszcze bardziej zwielokrotniają jego samotność.

O tym, jak trudno za pomocą kamery oddać i przekazać komuś, kto znajduje się gdzieś daleko, swoje osobiste doświadczenie bycia w domu, opowiada nowelka Anny Zameckiej („Komunia”) i Sunga Rae Cho – pary rozdartej między Warszawą i Kioto. Ich film obnaża całą nieporadność i nienaturalność tego rodzaju emocjonalnych transferów. I sam, chcąc

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



#łąka powszechna

Pokażcie nam swoją Łąkę!

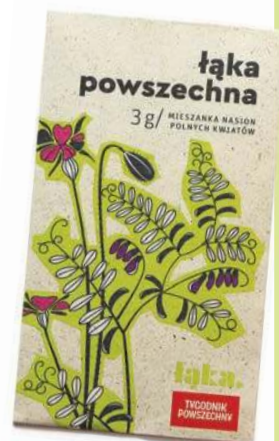
Toruń, Wieliczka, Kraków, Gdańsk, Sulejówkę, Gdynia, Ełk, Chomętowo, Lublin, Białystok, Grudziądz, Rzeszów, Piaseczno i Kocmyrzów-Luborzycę oraz Warszawa – to tylko niektóre miejscowości, gdzie wzrastają Państwa Łąki Powszechne.

Pokażcie nam, gdzie jeszcze wysialiście swoje nasiona; zróbcie zdjęcie rosnących kwiatów i oznaczcie się na FB lub Instagramie hasztagiem [#łakapowszechna](https://www.instagram.com/łakapowszechna) wraz z nazwą miejscowości lub adresem GPS albo wyślijcie na adres łaka@tygodnikpowszechny.pl

Stwórzmy razem mapę naszej wspólnej Łąki – niech zakwitnie!

pani łąka

Mieszanek nasion Łąki Powszechnej stworzyła Pani Łąka / panilaka.pl – profesjonalny sklep z autorskimi mieszanekami nasion łąk kwiatnych





MATERIAŁY PRASOWE HBO

Kadr z filmu Pawła Łozińskiego. Cykl „W domu”

nie chcąc, staje się zakładnikiem owej niemocy.

Siłą „W domu”, podobnie jak wielu innych seryjno-tematycznych projektów, miała być zapewne maksymalna różnorodność i całkowita wolność w podejściu do zadanego tematu. Zaproszono więc do współpracy uznanych artystów z bardzo różnych dziedzin: fabularzystów (Małgorzata Szumowska, Krzysztof Skonieczny, Xawery Żuławski), animatorów (Renata Gąsiorowska, Tomasz Popakul), fotografików i naukowców (Andrzej Dragan), a nawet twórców teatralnych chętnie sięgających po filmowe medium (Krzysztof Garbaczewski). Każde z nich wniosło do tej zbiorowej narracji własną kreatywność, z bardzo różnymi efektami.

Na szczęście antologia HBO nie ma układać się w zwarty przekaz i poszczególne tytuły można sobie wedle ciekawości i gustu selekcjonować bądź ustawiać w dowolnej kolejności. Instynktownie jednak szuka się choćby jednego takiego obrazu, który byłby olśnieniem. Który poszerzyłby albo pogłębił nasze własne doznania przymusowej kwarantanny. I wtedy okazuje się, że to wcale nie wycieczki w rzeczywistość wirtualną, nie apokaliptyczne wizje czy wielopiętrowe scenariusze autotematyczne najlepiej oddają dziwność całej sytuacji.

Przynosi ją pomysł najprostszy z możliwych. Paweł Łoziński, mistrz sąsiedzkich mikroobserwacji, stanął z kamerą na swoim balkonie i filmował przechodzących opodal zamaskowanych ludzi.

Niektórych tylko obserwował, do innych zagadywał. Z początku wygląda to na film przyrodniczy, rejestrujący skąpe ślady życia w pandemicznym mieście, po czym zamienia się w swego rodzaju „studium pierwszego kontaktu”. Przechodnie, czasem znani reżyserowi, czasem zupełnie obcy, opowiadają o tym, jak im się żyje w czas morowy. Narzekają, filozofują, wspominają, że właśnie zakisili buraki... Mówią o zmęczeniu, o zamkniętych złobkach, dzielą się teoriami spiskowymi. Na koniec pojawia się genialna puenta, którą mogło wymyślić tylko życie. I tylko wrażliwy dokumentalista mógł zobaczyć w tych pozornie banalnych, prawie nieruchomych ujęciach zapis momentu, który jest doświadczeniem indywidualnym i równocześnie uniwersalnym.

W etiudzie Szumowskiej i Michała Englerta zatytułowanej „Chłopiec z widokiem” nudzący się na wsi nastolatek porzuca gry komputerowe i włącza się po okolicy taszcząc niewielkich rozmiarów okno. Kadruje nim, odbija i filtruje otaczający świat – rozmaite przejawy życia i destrukcji, ale również samego siebie. Trudno o lepszą metaforę. Najciekawsze filmy w tym zestawie, a może i w ogóle w kinie, to przecież te, które na przekór zamknięciu (ograniczeniu, kadrowaniu, własnym obsesjom) równocześnie otwierają jakieś okna, niekoniecznie te wychodzące na zewnątrz. Choć oczywiście najlepiej mieć jeszcze balkon. ©

W DOMU – reż. zbiorowa. Prod. Polska 2020. Dostępny na HBO GO.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Pezet na Torwarze



Koncert, Polska 2020, HBO GO, od 30 VII
We wrześniu ubiegłego roku ukazał się jego długo oczekiwany album „Muzyka współczesna”, który wkrótce stał się bestsellerem. Premierowy występ rapera promujący tę płytę okazał się widowiskiem nie tylko muzycznym. Przed nami zapis prawie dwugodzinnej show z udziałem Pezeta i jego gości.

2. Niebieskie Chachary



Dokumentalny, reż. Cezary Grzesiuk, Polska 2018, Canal+ Dokument, I VIII, 21.35, Canal+ Sport, 3 VIII, 23.35

Twórca filmu okiem wiernego kibica przygląda się środowisku futbolowych ultrasów. Przez 11 lat towarzyszył z kamerą fanom Ruchu Chorzów, odnotowując wszystko to, co w kibicowaniu może być najpiękniejsze i najmroczniejsze. Wyłania się z tego gesty i złożony obraz stadionowej subkultury i jej przedstawicieli.

3. Drwale



Miniserial, tw. Elwood Reid, USA/Kanada 2020, National Geographic, odc. 1 2 VIII, 22.00, odc. 2 2 VIII, 23.00

Kolejna adaptacja prozy Annie Proulx („Tajemnica Brokeback Mountain”, „Kroniki portowe”) tym razem przenosi nas do XVII w., na dziewicze tereny dzisiejszej Kanady. O nowe terytorium, dostęp do jego zasobów i o przetrwanie w ekstremalnych warunkach rywalizują ze sobą osadnicy z Anglii, Francji oraz rdzenni mieszkańcy regionu. Występują m.in. David Thewlis i Marcia Gay Harden.

4. Bezpaństwowcy



Serial, reż. Emma Freeman, Jocelyn Moorhouse, Australia 2020, Netflix
Inspiracją była autentyczna historia Australijki bezprawnie przetrzymywanej w ośrodku detencyjnym dla uchodźców. Krzyżują się tu skomplikowane losy nielegalnych imigrantów i pracowników placówki, a sztywne procedury ścierają się z ludzkimi emocjami. Cate Blanchett, występująca w jednej z drugoplanowych ról, była też współtwórczynią serialu.

JAN

Klata:

Partyzanci Albo-albo



ANTYKWARIAT W WARSZAWIE, DZIELNICA Powiśle. Na wystawie widzę Kierkegaarda. Lubię Kierkegaarda. Wchodzę. Mimo wszystko. Nie pierwszy raz wchodzę, więc wiem, co mnie czeka, chcę szybko dokonać transakcji i opuścić lokal, ale tak się nie da. Wcześniej trzeba się nasłuchać, gdyż rzeczony antykwariat jest siedzibą partyzantów. Partyzantów nieprzejednanych i odwiecznych, którym od zawsze wraży wiatr w oczy. Teraz też, oczywiście, wbrew pozorom, oni sobie oczu nie dadzą mydlić prezydencką Dudy wiktoria, nie spoczywają na laurach, tylko szepczą wśród stosów książek. „Wygraliśmy, ale o włos, teraz trzeba pójść radykalnie albo Ojczyzna stracona”, „Bo wie pan, młodzież jest szkolowana, wodę z mózgu im zrobili z tymi pięcioma gwiazdkami, to jest

podprogowe programowanie”, „Następne wybory przegrane, jak się z tą propagandą obcą nie zrobi porządku ostatecznego”, „Trzeba było już dawno, zaniedbane, ale specjalnie, bo wiadomo, żeby tego niezdecydowanego elektoratu nie zrazić, bo tamci krzyk podniosą, ale teraz...”, „Niech sobie podnoszą, niech kwiczą”, „Teraz w ogóle jest skandal, wiadomo, nie wszystko się dało wyczyścić, no, ale wóz albo przewóz, na ostrzu noża, nie ma się co pieścić, bo będzie się jątrzyć”, „Pozamiatać i po sprawie. Do następnych wyborów nikt nie będzie pamiętał, że bolało”, „Albo Polska, albo TVN!”.

Szepty strzepują kurz z jednej kupy papieru na drugą, wieją, wieją i zawiewają na siebie... rapsodycznie, złowroźnie.

„Słyszał pan o tym niemieckim ambasadorze?”, „No ciekawe... z BND, wie pan, on jest z wywiadu, szef wywiadu do nas, do Warszawy”, „Podobno się kulturą ma zajmować, ha ha”, „Kulturkampfnam spróbuje zrobić!”.

Kupiłem Kierkegaarda u polskich partyzantów (oczywiście sprzedają tylko za gotówkę, wiadomo: Bilderberg monitoruje płatnicze terminale). Lubię Kierkegaarda pomimo jego ponurego nazwiska. A może właśnie dlatego, że ma takie nazwisko. W każdym razie kupiłem, bo mi się był zgubił uprzednio w przewodnikach. Dwa tomy: pierwszy „Albo”, a drugi „albo”. Akurat nie o Polsce, na szczęście. Ale tytuł o Polsce, niestety. ©

Lektor:

Gdy ślepnie noc



■ Giacomo Leopardi
PIEŚNI / CANTI

Przekład i opracowanie Stanisław Kasprzysiak, postawie Adam Zagajewski.
Czuły Barbarzyńca Press,
Warszawa 2020, ss. 210.

WĄTŁY, NADWRAŻLIWY chłopiec spędza dnie i noce na pochłanianiu kolejnych tomów z ogromnej biblioteki rodzinnego pałacu i poświęca się chaotycznym pracom pisarskim (jak kompilacyjna „Historia astronomii”) oraz przekładom z łaciny i greki. Jako 15-latek prosi o zgodę na czytanie książek z papieskiego indeksu. Z młodszym rodzeństwem (Giacomo, Carlo i Paolina urodzili się rok po roku) najchętniej bawią się

w odprawianie mszy albo odgrywają antyczne bitwy. Domem zarządza surowa i bigoteryjna matka („naprawdę ma w sobie nadmiar chrześcijańskiej doskonałości”) – napisze Paolina), wychowanie całej trójki należy do ojca, nieprzejednanego konserwatysty. W tle – Recanati, prowincjonalne miasteczko w Państwie Kościelnym. I w tym „grobowcu dla żywych” kształtuje się osobowość jednego z największych pisarzy eu-

ropejskiego romantyzmu. Postaci tragicznej, której życie naznaczyły „dotkliwe cierpienia bez śladu radości i palący wstyd z powodu ułomności” oraz nieodwzajemniona miłość do świata.

Giacomo Leopardi (1798–1837) długo czekał u nas na tłumacza prawdziwie oddanego, jak zmarły w grudniu minionego roku Stanisław Kasprzysiak. Zawdzięczamy mu przekład „Dziełek moralnych”, „Myśli” oraz wyboru z „Zibaldone” – zapisków obejmujących w oryginale 4526 stron. „Pieśni”, w wydaniu dwujęzycznym, z obszernymi przypisami oraz kroniką życia i twórczości Leopardiego, przygotował Kasprzysiak do druku nie długo przed śmiercią. W niezwyklej poezji Leopardiego skrajny pesymizm sąsiaduje z zachwytem, jej język, jak pisze Adam Zagajewski,

„jest językiem medytacji, smutku, ale i uniesienia – najczęściej spokojnego, niewymagającego wykrzykników, nieraz podszytego rozpaczą”. Te dwa bieguny spotykają się niekiedy w jednym poemacie, jak w „Sobocie na wsi”, gdzie idylliczny obraz sobotniego popołudnia, „najwdzięczniejszego dnia” tygodnia, złączony jest z pamięcią o tym, że już nazajutrz – w dniu święta! – wróci znużenie codziennością. W „Zachodzie księżyca” chwila, gdy szarzeje świat i ślepnie noc, staje się metaforą mijającej młodości, gdy „nikną cienie i ludzkie obrazy / urzekających złudzeń i wygasają / niespełnione nadzieje”, a życie zaczyna się jawić „poniechane, ciemne”. A „Do siebie samego”, apostrofę do własnego serca, kończy parafraza słów Koheleta: „nieskończona marność wszystkiego”. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Stopnie stołowości



OSIEM PROMILI. NIE MAM TYLE ALKOHOŁU we krwi, chociaż ostatnie dni spędzam na bezdrożach Piemontu, w każdej wiosce pytając, kto tu u was robi najlepszego musiaka. Taki bowiem sobie cel założyłem, aby metodycznie rozpoznać, co ten

kraj potrafi w kwestii bąbelków – a wiem skądinąd, że wiele, choć całe *show* skradło mu niesłusznie prosecco.

Jak poznać klasę musującego wina? Wśród wielu sposobów jest taki, by dać mu się odgazować i ogrzać je do kilkunastu stopni – wtedy poczucie, czy oprócz zimna i pienistości, które skutecznie zmniejszają doznania, coś jeszcze zostaje. W ośmiu przypadkach prosecco na dziesięć będzie to tylko woda, cukier i kwas. Stoi więc w mojej tymczasowej kwatrze sporo napoczętych butelek, ale piję z umiarem, więc o promilach nie krzyczy moja wątroba, lecz telewizor. A ściślej – reklama nadawana przez episkopat.

Osiem tysięcznych części podatku może każdy włoski obywatel przeznaczyć na swój Kościół. Lecą więc w mediach kampanie przypominające nasze kwietniowe zachęty do przekazania jednego procenta. Co jest tego lata głównym powodem, żeby wspierać Kościół rzymski podatkiem, a nie tylko dobrym słowem? Otóż, dowiaduję się, że nikt tak skutecznie nie opiekuje się kobietami będącymi ofiarami przemocy, i że walka z przemocą wobec nich to kluczowe dziś wyzwanie społeczne. Wbiło mnie w kanapę, gdy pierwszy raz zobaczyłem ten klip. Bo przecież dociera do mnie to i owo z dalekiego kraju, gdy na szczycie pagórka złapię na chwilę zasięg. Są jeszcze paradoksy i kontrasty, które potrafią mnie zaskoczyć.

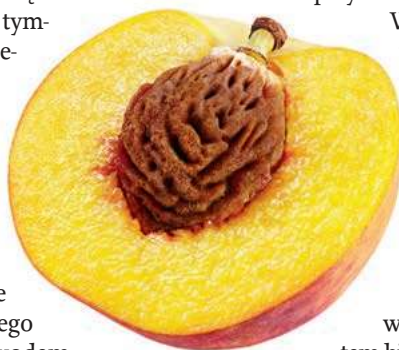
No i te wszechobecne tęczę. Ekipa „Wiadomości” zaraz nakręciłaby materiał o ataku dżeder – tak jak nadaje kłamliwe obrazy o ponownym najeździe „islamistów” na Lampedusę. Tęczę na furtkach, na szybach, na drzewach. Wsunięte w foliową koszulkę rysunki, mocno wyblakłe, czasem zostają tylko blade kontury, wiszą wszak od marca. Z koślawym napisem „*Andra’ tutto bene*”. Będzie wszystko dobrze. Tak jakby świat ludzi dorosłych, ugruntowanych i poukładanych, potrzebował dziecięcej naiwności, której te nieporadne napisy są emblematem, aby przypomnieć Bogu, że po każdym potopie zawiera z ocalałymi nowe przymierze. Tego, co ich spotkało, nie da się opowiedzieć równą czcionką. Patrzę na te wyblakłe tęczę i myślę, że choć raz przybysz z Polski, zazwyczaj głównego pechowca Europy, kręci się po tej niesprawiedliwie hedonistycznej krainie z poczuciem, że wcale nie miał najgorzej.

Chociaż i tutaj są znaczne kontrasty między wsią a miastem. – U nas dwóch było chorych, obaj z miasta przywiekli, ale tak w ogóle to każdy siedział u siebie, czego, znam panu, wcale nie żałuję – mówi mi zagadnięty winiarz. – Zamiast uganiać się po targach i jeździć do dystrybutorów, codziennie doglądałem winnicy, przypominałem sobie, co to znaczy niedziela, i żeby się wtedy wypaść. Z dwóch pracowników z Bałkanów jeden mi tylko został, drugi nie może wrócić na sezon, bo kwarantanna, więcej sam robię przy krzewach, no a czy to źle, że człowiek wyjdzie w pole pracować?

Nie każdego cieszy jednak odzyskana powolność. Odwiedzam tylko małych winiarzy – w tej branży duże jest nieciekawie – a takim łatwiej się przyciąć w chudych latach. Internet plus firmy kurierskie zapewniają sprzedaż, nawet jeśli mniejszą, to jednak wystarczającą, żeby przeżyć. Ale agrobiznes i cały łańcuch pokarmowy, jakiego wielkie uprawy są początkiem – przez przetwórstwo, aż po handel i gastronomię – drży. I tak już przed pandemią było z tym rynkiem krucho, ludzie wydawali coraz mniej, a jadalnej mozzarelli czy uczciwych pomidorów nie robi się za trzy centy, choćby przy zbiorach pracowali rzekomi „islamisci” z Afryki.

Włosi dalej gadają w kółko o jedzeniu, epidemia nic nie zmieniła, kiedy bary się zapełniły, w powietrzu wiszą dwa tematy: piłka i obiad. Ale żeby jeszcze chcieli lepiej jeść i więcej za jedzenie płacić! Dlatego państwo wkłada mnóstwo wysiłku i pieniędzy w kampanie społeczne, by ich do tego skłonić. Ta normalność, co ma jeszcze wrócić, będzie w pierwszym rzędzie oznaczać, że zasiądziemy do stołu: najpierw w gronie rodziny – i wtedy to będzie *tavola*; potem biesiadnie w dużej gromadzie – a to już jest *tavolata*, bo tutejszy język po leśmianowsku rozróżnia stopnie stołowości.

A kołyski? O, to już archaizm. Demografia wprawdzie zna pojęcie przyrostu kompensacyjnego po wojnach i kataklizmach, ale nic takiego się nie zapowiada. Ten naród gaśnie. Oby chociaż syty. © P



Bywalcy naszego kuchennego kącika znają moją słabość do piemontckiej kuchni – słabo mieszczącej się w stereotypie „włoskości”, bardzo mięsnej, jesiennej, ziemistej – w gospodach i zajazdach, w których mieszkam, szczyt sezonu gastro-turystycznego to wczesny listopad. Ale jest tu jeden deser bardzo jednak letni: brzoskwinie zapiekane alla piemontese.

Bierzemy dojrzałe **brzoskwinie** – ale na tyle zwaarte, żeby dały się równo rozkroić na połówki, i żeby wyszła z nich pestka. Łyżką wydłubujemy trochę miększu wokół dziury po pestce. W misce mieszamy go z 40 g **ciasteczek amaretti** utłuczonych na grube okruchy i 40 g **gorzkiego kakao**, trzema łyżkami cukru (proporcje tych składników można zmieniać wedle woli) oraz z **żółtkami**. Uzyskujemy dość gęstą paczkę, którą nadziewamy brzoskwinie „z górką”. Na wierzch można dać płatki migdałowe. Kładziemy je do brytfanki, na której dno wysypaliśmy nieco **cukru trzcinowego** i podpaliliśmy kieliszkiem **rumu**. Pieczemy w 180 stopniach ok. 10 minut, aż nadzienie stworzy skorupkę. Polewamy karmelem, jaki się wytworzył na dnie brytfanki.

ŚWIĘTY SPOKÓJ

WIKTOR SEDLAK, PSYCHOANALITYK:

Bardzo kibicuję piłkarzom Evertonu.
Jak wchodzi na boisko, to zawsze grają im hymn.
Więc poprosiłem syna, żeby ten hymn puszczono,
jak moją trumnę będą wnosić do kościoła.

JUSTYNA DĄBROWSKA: Ile masz lat, Wiktorze?

WIKTOR SEDLAK: W listopadzie skończyłem 69.

Spieszysz się do emerytury?

Dużo o tym myślę. Trzymam się z grupą kolegów, z którymi studiowałem psychologię – było nas dwanaście osób, co parę lat się spotykamy. Oni wszyscy dziesięć lat temu zaczęli już marzyć o emeryturze. Z naszej grupy tylko ja pracuję. Teraz jestem psychoanalitykiem szkoleniowym, czyli takim, który przygotowuje innych analityków do zawodu, i mam ich teraz troje. Zanim odejdę na emeryturę, muszę zakończyć pracę z nimi.

Mój syn mieszka w Turcji, córka w Portugalii, czasami myślę: ale byłoby fajnie pojechać do każdego z nich na sześć, osiem tygodni. Rano bym spokojnie pił kawę, wygrzewał się w słońcu... Tak, w ostatnich latach coraz wyraźniej mnie ciągnie do tej emerytury.

Do czego konkretnie?

No właśnie, dobre pytanie. Obawiam się, że do rezygnacji. Myślę wtedy o mojej matce. Przeżyła wojnę, wysiedlenie na Syberię, armię Andersa, w końcu wyłądownała w Anglii. Dużo mówiła o tym, że „marzy o świętym spokoju”. Jak tylko się pojawiały jakieś trudności, nie mogła ich znieść, zaczynała się bać i marzyła, żeby „to się szybko skończyło”. Coś z tego jest

i we mnie, dlatego myślę, że to nie jest do końca zdrowe. Ale jestem tego świadom, świadomie się z tym borykam.

A jak wygląda „zdrowa emerytura”?

Wyobrażam to sobie tak: nie mam pacjentów, ale codziennie przez kilka godzin prowadzę superwizję poprzez Skype. Mogłbym to robić z różnych miejsc na świecie. Kilka lat temu mieliśmy okazję pojechać do Japonii na sześć miesięcy, zostałem zaproszony jako profesor wizytujący na uniwersytecie w Kioto. Moja żona była już wtedy na emeryturze. W ciągu dnia trochę pracowałem, a ona sprawdzała, co jest w mieście ciekawego do zobaczenia, wracałem do domu i razem gdzieś szliśmy. Nie byliśmy turystami, nie spieszyliśmy się, bo żyliśmy tam spokojnie przez kilka miesięcy. Bardzo nam się to podobało. Myślę, że moglibyśmy pojechać na trzy, cztery miesiące do Berlina, do Warszawy czy do Rio de Janeiro. Ale jednocześnie obawiam się, że w tych pomysłach jest jakiś grząski grunt. Na emeryturze mógłbym dłużej pospać, myślałbym: a po co tak rano wstawać, potem byłaby już 11.00, to za późno, żeby pójść biegać... A potem jest 16.00 i można już wypić gin... Tak to się będzie pewnie rozłazić.

Myślisz o tym psychoanalitycznie, badasz swój wewnętrzny, nieświadomy konflikt.

To badanie samo się narzuca. Myślę o popędzie życia i popędzie śmierci.



Hanna Segal, psychoanalityczka polskiego pochodzenia, pisała, że jak niemowlę się rodzi, to najbardziej chce żyć, ale przecież w każdym życiu jest zawsze też jakiś ból. Dziecko jest głodne albo wściekłe, gdy przez chwilę nie ma przy nim matki. Segal pisała, że kiedy doświadczamy frustracji, to coś nas ciągnie w stronę tego „świętego spokoju”, żeby się już skończyło, żeby już nie bolało, żeby już się dłużej nie męczyć. Ja ten kawałek pragnący rezygnacji dobrze dziś w sobie czuję.

Ciało mi o tym przypomina. Lubię uprawiać sport: biegam, jeżdżę na rowerze. I widzę, że teraz coraz trudniej jest mi się zebrać. Budzę się w niedzielę, myślę: o, fajna pogoda, pojadę gdzieś na rowerze. A potem biorę gazetę do ręki, czytam, o, już jest 11.00, już nie warto wyjeżdżać.

Można z tym coś zrobić?

Trzeba być świadomym tego, że są w nas różne siły. Prowadzę seminaria



MIKOŁAJ GRYNBERG

Warszawa, styczeń 2020 r.

w Niemczech, w Polsce. Za każdym razem, gdy mam wyjechać, to myślę: a po co mi to, przecież potem będę zmęczony, lepiej już z tego zrezygnować. Potem jednak jadę i jest bardzo fajnie, i cieszę się, że jestem.

Jest trud, żeby się dźwignąć.

No właśnie. I ten trud rośnie wraz z upływającymi latami. Ciało mdle i duch też nie taki wyrywny. Ale nie każdy tak ma. Tak jak ci mówiłem, dużo jest w tym z mojej matki. Widziałem, jak zrezygnowała z życia. Mój ojciec umarł dość wcześnie i od tego czasu mieszkała już sama. Była młodą, atrakcyjną kobietą. Interesowali się nią jacyś mężczyźni, ale ona nie była nimi zainteresowana. Mieszkaliśmy więc sami, we dwoje. Nie mam rodzeństwa.

W jakiej formie rodzice byli po wojnie?

WIKTOR SEDLAK jest analitykiem szkoleniowym w Brytyjskim Towarzystwie Psychoanalitycznym, honorowym członkiem Polskiego Towarzystwa Psychoanalitycznego, mieszka w Leeds.

Matka miała 14 lat, jak ją wywieźli z Wilna na Syberię. Była inteligentną kobietą, ale nie poszła już do szkół, pracowała jako krawcowa. W innych warunkach może by została lekarką albo nauczycielką. Ojciec był ranny pod Monte Cassino, potem chorował na serce. Moim zdaniem był zniszczony przez wojnę. W Anglii pracował w fabryce, czasem pilnował banku w nocy jako ochroniarz.

Mentalnie wyszli pokaleczeni.

I to też mnie ciągnęło do analizy. Czuję, że jest we mnie coś z tego pragnienia „świętego spokoju” mamy. Taka identyfikacja z tymi, którzy już nie chcą na-

prawdę żyć, bo nie mają siły borykać się z tym wszystkim.

My jesteście drugim pokoleniem, niesiemy to.

Tak. Ale możemy przynajmniej być tego świadomi. W obozie dla repatriantów cała nadzieja była w dzieciach. Byliśmy okropnie biedni, każdy z nas miał najwyżej jedną parę butów, ale ja na prawdę nie mogłem narzekać. Mieliśmy bardzo dużo swobody, biegaliśmy po łąkach, po polach. Było nas bardzo dużo. Nie byłem sam jeden.

Zastanawiałem się, czy moi rodzice mieli depresję. Pamiętam, że pędzili wódkę. Kiedy miałem osiem lat, zamieszkaliśmy w małym miasteczku. Na każdym rogu był mały sklep. Jak miałem dziewięć lat, to już mogłem rowerem jeździć, ten rower miał bagażnik z tyłu, i raz na miesiąc w sobotę rano ojciec mówił: synku, potrzebujemy cukru, tylko →

→ pamiętaj, kupuj po jednej paczce w każdym sklepie, nie więcej, bo policja może cię złapać. Czasami w niedzielę po południu ludzie przychodzili, pili, więc to nie mogła być bardzo ciężka depresja.

A jaki był ojciec?

Ojciec był katolikiem, ale miał trzy żony, więc nie wiem, jaki to katolik...

Na swój sposób poszukujący.

Niech będzie. Zmarł, jak miałem 17 lat. To bardzo dziwne, ale jego testament znalazłem w papierach ciotki, kiedy miałem 37 lat. Przeczytałem, że ojciec zostawia mi młyn w Polsce. Pomyślałem: ale fajnie! I postanowiłem wziąć syna i pojechać, szukać tego młyna. Mama się przestraszyła, mówi: „Nie jedź, wezmą cię do armii i już cię nie zobaczę”. Ja mówię: „Nie, mogę spokojnie jechać, przecież mam brytyjski paszport, pojedź ze mną”. Nie dawała się namówić. W końcu dzwonię i mówię: „Słuchaj, jutro kupuję bilety na statek, bo autem jechałem”. A ona na to: „Nie znajdziesz tam żadnego młyna, ale może znajdziesz Janusza”. To ja pytam: „Kto to jest Janusz?”. Ona: „A, to twój brat”. „Jak to brat? Mam brata? Mam tyle lat i nic o tym nie wiem?”, ale ona mówi: „To ojca syn”.

Pojechałem do Polski i odnalazłem go. W Sosnowcu. Przyjechałem, pukam a tu... drzwi otwiera mój ojciec. Tak byli do siebie podobni. To było naprawdę coś. Mówi: „Moja mama jeszcze żyje”. Pojechałem do niej i ona tak ciepło wspominała mojego ojca. Ja mówię: „Proszę pani, ale...”, a ona na to: „Wiesz, on miał tylko jedną wadę – za dużo kochał”. Potem szybko zmarła po naszym spotkaniu.

Chciałem się dowiedzieć więcej o ojcu, pisałem do Londynu, do stowarzyszenia żołnierzy armii Andersa, i dostałem dużo informacji. Wiem, że był zawodowym żołnierzem, że miał jeszcze trzecią żonę. Po wojnie, jak wielu z armii Andersa, wyładował w Anglii i zrobił się bardzo podejrzliwy, paranoidalny. Uważał, że pa-

pież może dowiedzieć się, co zrobił, i bał się, że będzie miał problemy. Wymyślił, że jest luteraninem. Ale nigdy nie chodził do żadnego kościoła, tylko mnie wysyłał. Był związany z Polską. Ja też zawsze wiedziałem, że jestem polskiego pochodzenia, byłem dumny, jak Anglia grała z Polską.

Komu kibicowałeś?

Kiedyś – zawsze Polsce, ostatnio najpierw patrzę, kto ma większe szanse. Ale jak jest w miarę równo, to jestem jednak za Polską.

Z czym tu się czujesz związany?

Z językiem, z ludźmi. Pamiętam, jak przyjechałem pierwszy czy drugi raz do Polski i wsiadłem do tramwaju. Siedzę, patrzę w te twarze dookoła mnie i czuję się dobrze, spokojnie. Nagle zrozumiałem, że to są te same twarze, które widziałem w obozie dla tych, którzy się szykowali do repatriacji. Byłem wtedy, w tym tramwaju, bardzo poruszony i jak widzisz, teraz też się wzruszam. Te same twarze...

Udało się odnaleźć ten młyn?

On nie istnieje. Miał stać koło Zielonej Góry. Pojechałem tam z synem, szukamy. Widzę, jakiś staruszek idzie, zatrzymujemy się, opowiadam całą historię, pytam, czy tu była rodzina Sedlaków. On mówi: „Nie, ale znam jednego starszego pana, który wszystko pamięta, urodził się w 1910”. Jedziemy do niego. Staruszek siwiutki, ale głowa pracuje. Mówi: „Nie, Sedlaków tu żadnych nie było”. Nie wiem, czemu ojciec to wymyślił. Miał jakieś fantazje. Ale był dobrym ojcem. Mam tego świadomość.

Czy analitykowi trudno jest być optymistą?

Jak ktoś jest wyłącznie optymistyczny, to jest chory, w manii.

Czy wiesz, że psychoterapeuci, psychoanalitycy pracują i żyją najdłużej? Dlaczego tak jest, jak myślisz?

Widocznie jednak jest w nas jakiś nieprzesadny optymizm i chęć do życia. Mnie się zdaje, że to ma wpływ także na ciało.

Opowiem ci historię. Niedawno mój dobry kolega Graham musiał odejść na emeryturę. Nie chciał, ale miał kłopoty

kardiologiczne, nie było rady. Mieszkam i pracuję w Leeds, na północy Anglii, tam jest niewielu analityków i zasmuciło mnie, że on odszedł, że przestaliśmy mieć taki ścisły kontakt. Mieli mu wstawić rozrusznik i przed operacją musiał odbyć rozmowę z kardiologiem. I ten kardiolog mówi tak: „Zobaczysz, jaka to będzie fantastyczna zmiana, teraz trudno jest ci wejść po schodach, a jak ci wstawię ten rozrusznik, będziesz biegł z góry na dół. Nic się nie martw, ja takich operacji robię pięć, sześć dziennie”. A Graham mówi: „Pan sobie nawet nie wyobraża, jak ja panu zazdroszczę. Ja pracuję dziesięć lat z pacjentem, żeby mu się coś poprawiło w życiu, a tu w pół godziny przychodzi taka spektakularna zmiana”.

Z tej historii widać, że do analizy trzeba mieć zapał i cierpliwość. Analityk nie co dzień przeżywa wzloty. Ja mam może jedną taką sesję w tygodniu, po której czuję, że była fantastyczna. U nas nie ma spektakularnych rezultatów. Ale jest codzienne zainteresowanie tym, komu pomagamy.

Czyli napędza Cię ciekawość?

Właśnie odkryliśmy tajemnicę długowieczności! Zaciekawienie ma o wiele większe znaczenie niż to, że czuję się komuś potrzebny. I to jest szczególnie rodzaj ciekawości.

Kiedy natrafiamy na coś trudnego w naszym pacjencie, to to samo musimy zidentyfikować w sobie i jakoś opracować. Inaczej nie możemy pomóc. Kiedy analityk rozpozna w sobie ten kawałek, to w rozmowie z pacjentem może go opisać. Poza tym ta praca nieustannie nas konfrontuje z jakimiś trudami. Na przykład analityk złości się na swojego pacjenta, bo ten głosował za brexitem. Ale przecież nie może się zatrzymać na tym poziomie, musi zrozumieć, co się za tym kryje, co jest głębiej, co go tak naprawdę złości. Zazwyczaj, jak coś opisuję, to nie tylko zmienia się coś w pacjencie, ale także i we mnie. Poza tym to również oddziałuje na życie osobiste. Teraz z żoną nam się o wiele lepiej żyje niż kiedyś.

Ile lat Wam to zajęło?

Jakieś 48, tyle jesteśmy razem. Moja żona właściwie uratowała nasz związek. Na początku mieszkaliśmy na północy. Potem dostałem pracę w klinice, w Londynie, przeprowadziliśmy się. Miałem



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30

na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarke „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

bardzo małe doświadczenie jako psychoterapeuta, ale pracowałem z samymi gwiazdami: Johnem Steinerem, Davidem Malanem. Pomyślałem, co to za fantastyczne miejsce, co ja robiłem na tej północy, po co ja tam czas traciłem. W tym czasie urodził nam się syn i moja żona była z nim w domu. W Londynie mało kogo znała, spędzała całe dnie z dzieckiem, a ja w tym czasie byłem z tymi gwiazdami i to mi się bardzo podobało!

Jej pewnie nie?

Zacząłem myśleć o niej, że jest nudna, nic tylko w domu siedzi. W tym samym czasie jej koleżanki mówiły, że to ja jestem okropny, bo ją tak zostawiam. Ale ona, zamiast mnie zostawić, zobaczyła, że to nie tylko moja wina, że i ona ma w tym swój udział. Poszła na swoją analizę i zaczęła się zmieniać. I ja też zacząłem się zmieniać. Stawaliśmy się bardziej cierpliwi, łagodni, wyrozumiali. To nie przyszło od razu, musiało potrwać. Potem mieliśmy drugie i trzecie dziecko, wróciliśmy na północ, bo nie chcieliśmy dzieci wychowywać w Londynie. Kupiliśmy większy dom z dużym terenem, żeby dzieci miały swobodę. Mieszkaliśmy wśród przyrody. Istnienie dzieci też pomaga, żeby się chcieć dogadać.

Skąd wiedziałeś, że chcesz zostać psychoanalitykiem?

Nie od razu wiedziałem. Najpierw byłem psychologiem behawioralnym. W tamtych czasach wszyscy byli tacy. Ale miałem szczęście, bo dość wcześnie poznałem analityka Ronalda Markilliego i zwróciło moją uwagę, że zazwyczaj jak mam jakiś kłopot, to chcę iść do niego, pogadać, i że to mi pomaga.

Miałem pacjentkę z agorafobią. Bała się, że jak wyjdzie z domu, to może zobaczyć kogoś, komu brakuje ręki albo nogi. Leczyłem ją behawioralnie, uczyłem, jak ma się relaksować, „odwrażliwiać”. Mówiłem na przykład: niech pani wyobrazi sobie, że spotyka kogoś, komu brakuje tylko małego palca. Nagrałem dla niej specjalną taśmę z treningiem autogennym, żeby jej słuchała w domu, żeby mogła się relaksować. I pewnego dnia ona przychodzi do mnie na sesję i mówi, że ta taśma jest rzeczywiście fantastyczna, że zaprosiła koleżanki, włączyła ją i wszystkie koleżanki się strasznie śmiały. Po tej sesji opowiedziałam to Ronaldowi, a on też się zaczyna śmiać. Pytam, co jest w tym takiego

Mam może jedną
taką sesję w tygodniu,
po której czuję,
że była fantastyczna.

U nas nie ma spektakularnych
rezultatów. Ale jest codzienne
**zainteresowanie tym,
komu pomagam.**

śmiesznego, a on mówi: „Zobacz, jak ona ciebie kastruje, zupełnie się nie dziwię, że się boi, że zobaczy kogoś, komu czegoś brakuje – ręki, nogi czy penisa...”

I co to miało znaczyć?

Uzmysłowiłem sobie, że ona nie tylko śmiała się z tej mojej taśmy, ale ciągle podważała wszystko, co jej proponowałem. Wtedy dotarło do mnie, że dzięki analizie można zobaczyć w sobie coś ważnego, czego się na co dzień nie widzi. Postanowiłem, że sam pójde na analizę.

Ronald polecił mi Enid Balint, wtedy 70-letnią. Wszedłem do niej do gabinetu i poczułem okropny lęk, pomyślałem, że za nic się nie położę na kozetce. Na pierwszej sesji nie mogłem, na drugiej nie mogłem, przed trzecią pomyślałem, że muszę. Idę do niej na tę trzecią sesję i mówię, że się położę, a ona: „Nie, nie położysz się pan, bo ja myślałam o panu i doszłam do wniosku, że pan będzie się chciał szkolić, a ja już jestem za stara, żeby być szkoleniowym analitykiem, i przepraszam, ale to jest nasza ostatnia sesja”. Byłem wściekły, bo przecież się przygotowałem. Ale ona była nieugięta. I powiedziała wtedy coś ważnego dla mnie: „Raz pana przeprosiłam i wystarczy”. Była mocna, ale nie okrutna. Pomyślałem: ależ ona to musi być doświadczona, że potrafi mi coś tak trudnego powiedzieć, jest naprawdę czujna, też bym tak chciał.

Robisz już jakieś podsumowania, bilanse?

Ostatnio trochę chorowałem, miałem kłopoty gastryczne, a przecież pamiętam, że mój ojciec zmarł tak młodo właśnie na nowotwór żołądka, więc dużo myślałem o podsumowaniach.

W szpitalu powiedzieli, że wszystko jest w porządku, ale ja i tak miałem

obawy i zacząłem się zastanawiać, czy to nie jest początek mojej wielkiej kariery jako pacjenta. Myślałem: pewnie coś znajdą, pewnie będą dalsze badania, leczenie, operacja...

A kiedy nie jesteś w szpitalu, to myślisz o śmierci, porządkujesz sprawę?

Dość często. Napisałem z żoną testamenty. W Anglii, gdy rodzice umierają, to spadkobiercy muszą płacić 35 procent podatku, ale jeśli rodzice obdarują dzieci na siedem lat, zanim umrą, to żadnego podatku nie ma. Więc jakieś trzy lata temu zaczęliśmy rozdawać to, co mamy. Teraz zarabiam o wiele więcej, niż potrzebujemy, więc resztę dajemy dzieciom.

A o swoim pogrzebie myślisz?

Myślę, co o mnie powiedzą.

I co powiedzą?

Mam nadzieję, że dobre rzeczy. Że ktoś coś powie o zawodowym życiu, że dzieci coś powiedzą. W Anglii jest tak, że najpierw wszyscy się zbierają w kościele, a potem dopiero wchodzi trumna. Bardzo kibicuję klubowi Everton. Jak wchodzi na boisko, to zawsze im grają hymn. Poprosiłem więc syna, żeby ten hymn puszczone, kiedy trumnę będą wnosić do kościoła. Nie chcę smutku.

Co jest najbardziej warte starania?

Miłość i pasja oczywiście. Nie tylko do bliskich, ale także do zawodu. Mogę powiedzieć bardzo serio, że kocham analizę! Ona naprawdę może pomóc. Bardzo pomalu, ale bardzo realnie. I to mi się podoba. To są małe kroki, dzięki którym przez lata buduje się coś solidnego, trwałego.

Kiedyś miałem pacjenta, który chorował na depresję po śmierci swojego ojca. Okropnie bał się śmierci. Pewnego dnia jechałem do pracy i tak sobie myślałem, że już tak bardzo się nie boję jak ten mój pacjent, a tu nagle w radiu ktoś mówi, że jakiś antropolog odkrył, że po trzech pokoleniach to zwykle nikt już o nas nie pamięta. Pomyślałem: wnuki będą mnie pamiętały, ale ich dzieci już nie. Wyobrażasz to sobie – po trzech pokoleniach nikt już o nas nie myśli, nie ma śladu. I to mnie jednak bardzo dotknęło. Myślałem, że jestem przygotowany na śmierć, ale przecież nie na wieczne zapomnienie.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA

STANISŁAW

Mancewicz:

O zajęciach wakacyjnych



DZIŚ ZASTANOWIMY SIĘ NAD WAŻNYMI sprawami: czy – mianowicie – unijne pieniądze, właśnie rozdzielone, będą dawane państwu nieprzestrzegającym prawa, czy nie będą. Przeanalizujemy także, czy w Polsce jest jeszcze demokracja, czy zo-

stało tylko wspomnienie o niej, czy wybory odbyły się uczciwie, zgodnie ze standardem europejskim, i czy na terenie RP przestrzegane są prawa człowieka.

Tak sformułowanym wstępem chcieliśmy dla żartu zdezorientować naszych wiernych Czytelników, sprawdzić ich poczucie humoru, zdając sobie także sprawę, że ogromną ich rzeszę ów wstęp natychmiast zniechęcił do czytania ciągów dalszych. Być może część Czytelników zmieła teraz nasz tygodnik w kulę i cisnęła go w kąt namiotu, tam gdzie leżą oto puste butelki, obcięte nogi prawdziwków i kręgosłupy płoci. Nie tego bowiem na przełomie lipca i sierpnia Czytelnik oczekuje od umiłowanego felietonisty. Nie takich pytań i nie takich wyzwiań. Wszyscy jak jeden mąż chcielibyśmy móc skupić się na kwestiach chwilowo ważniejszych, takich jak prognoza pogody czy – to najwyższy czas – na fachowych ocenach tegorocznego pogłowia komarów. Chcielibyśmy móc dokładnie obejrzeć gigantyczną purchawkę, znalezioną przez zdezubekizowanego emeryta z czarną pensją, podpisującego się cyrylicą, chętniej zaś prawdziwka-monstrum, a na nim ślimaka-monstrum, znalezione przez harcerzy z finkami. Chcielibyśmy zobaczyć największy napotkany w świecie widzialnym łan świętych grzybów polskich, czyli kurek, a także posłuchać o schwytanym okoni, którego rozmiary po równo zbiły z nóg wszystkich polskich ichtiologów, to znaczy i tych lewicowych, i żarliwie prawicowych.

Doprawdy, zamiast gwarzyć o stanie polskiej demokracji, każdy woli teraz popatrzeć na długi film dokumentujący akcję ochotniczej straży pożarnej, sprawnie likwidującej największe od czasu rozwiązania PZPR gniazdo szerszeni.

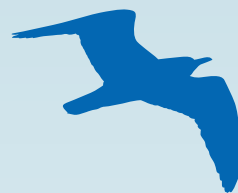
Takie jest życie i takie jest zapotrzebowanie. Taka jest roku pora, że mianowicie sprawy trudne nie mają szans na skupienie uwagi nawet najsurowszego czytelnika i zatroskanego obywatela, miłującego porządek prawny i wartości konstytucyjne. Tymi sprawami zajmiemy się kiedy indziej, w październiku może. Dziś zaś trzeba szukać innych dróg dotarcia do gorących czytelniczych serc i rozumów, do ludzi opalonych i akurat opalających się. Są to – dajmy na to – wiadomości ogórkowe. Są, a raczej były, bowiem sezon na brednie w mediach rozciągnął się na dwanaście miesięcy i prędko się to nie zmieni. Do czytelnika aktywnego umysłowo można dotrzeć organizując raczej konkursy i zgaduj-zgadule, do nadaktywnego fizycznie – biegi i marszobiegi. Na tym się skupmy, bowiem tu widzimy wielkie szanse, zwłaszcza że okoliczności bardzo nam sprzyjają. Po pierwsze mamy wspólną pogodę, po drugie państwo polskie w swym rozmazaniu jest bardzo podatne na bycie nie byle jaką atrakcją. Niestety, w zabawie polegającej na poszukiwaniu tzw. wyborczego „pakietu Sasina” ubiegł nas wszystkich reporter dużej, codziennej gazety. Szkoda, bo wybieraliśmy się marszobiegami, by pogrzebać w niestrzeżonych magazynach wielkiej spółki skarbu państwa. Pogrzebać i poszukać. Niewątpliwie „pakiet Sasina” będzie miał kiedyś niezłą cenę na aukcjach antykwarycznych. No więc już wiadomo, gdzie, w którym magazynie pocztowym „pakiet Sasina” leży i zabawa jest jakby skończona. *Finis*.

Ale to nie wszystko, na szczęście. Na drugą część urlopu została solidna atrakcja. Oto jak się dowiadujemy z Monitora Sądowego i Gospodarczego, Poczta Polska zgubiła w s z y t k i e swoje akcje. I to jest właśnie znakomite zadanie wakacyjne. Dla czytelnika i lewicowego, i prawicowego, opalającego się i nie, łowiącego okonie i okoni niełowiącego, dla grzybiarzy, harcerzy, dla każdego. Poszukajcie w okolicy, po wsiach, lasach, na plażach, gdziekolwiek, tzw. „odcinka zbiorowego akcji”, zanim zostanie umorzony. To może być naprawdę niezła forsa, czyli skarb. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Spróbuj na lato, zostań na lata

Kup prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” w ofercie **#lato**

- otrzymasz 13 numerów pisma
– pod wskazany adres bez
dodatkowych kosztów wysyłki

oraz

- GRATIS natychmiastowy
3-miesięczny dostęp online
o wartości 50 zł

~~170 zł~~ → **120 zł!**

Nie przejmuj się zasięgiem – czytaj,
jak chcesz, gdzie chcesz i kiedy
chcesz dzięki połączeniu wydania
papierowego i cyfrowego na **#lato**

Sprawdź szczegóły oferty i kup na
powszech.net/lato

Kontakt w sprawie prenumeraty:

Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075
lub e-mail: prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
– wydania drukowane

Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl
– wydania cyfrowe

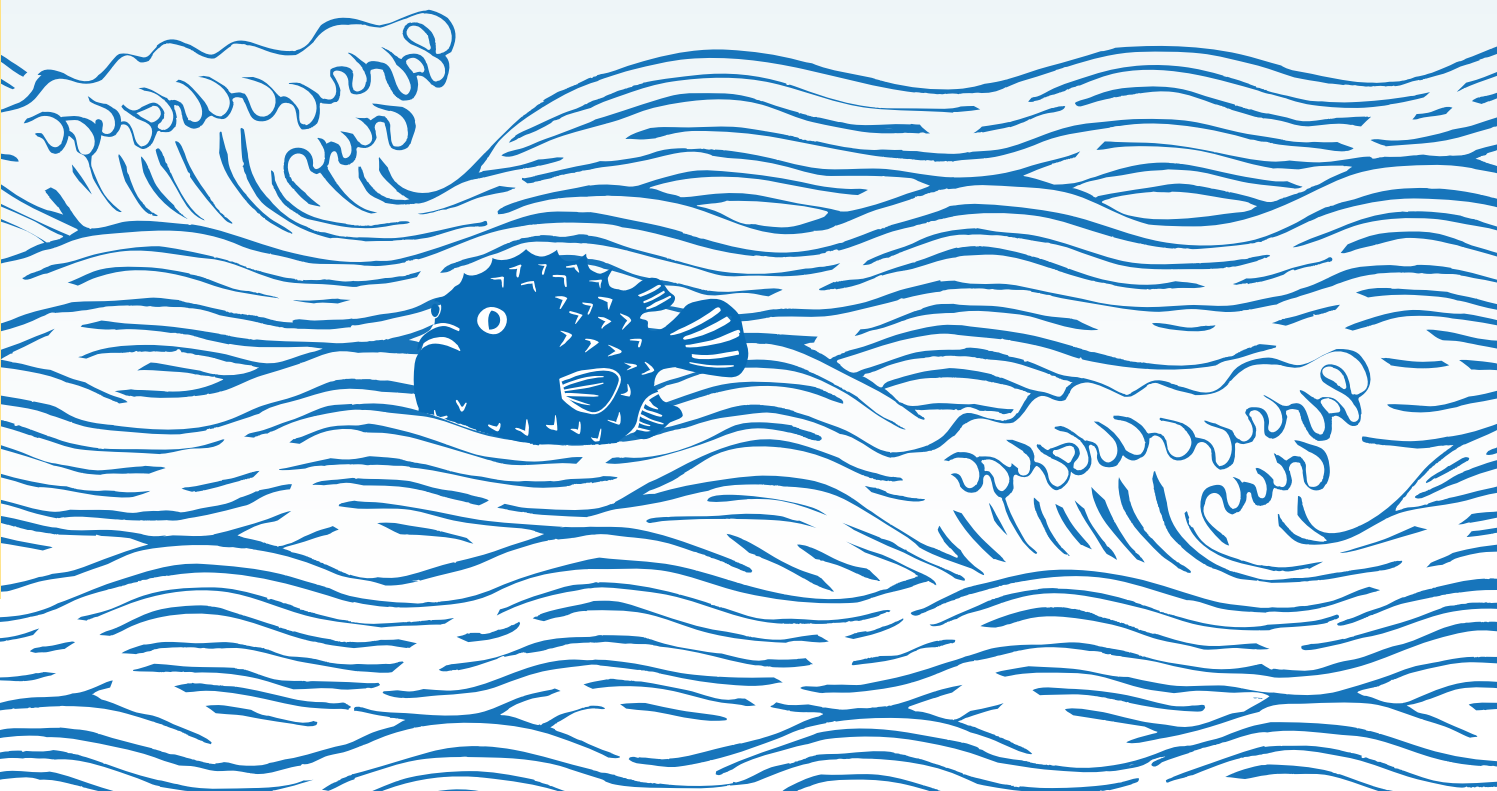
Regulamin prenumeraty i promocji na
powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES | **manago**
marketing automation



62%

osób w Sudanie
Południowym
nie ma dostępu
do czystej wody

**TO NIE SĄ TYLKO
SUCHE FAKTY**

POMÓŻ. WPŁAĆ:
www.pah.org.pl

